



PIOTR

ADAMCZYK

.....
POWIEM CI

== COS ==

THRILLER MIŁOSNY

**PIOTR
ADAMCZYK**
.....
POWIEM CI
== COŚ ==



Dobra Literatura

*Strzeżcie się pisarzy,
mogą was zamknąć w jednym zdaniu.*

96.82

- W porządku?
- Nie. W porządku jest bardzo daleko stąd.

96.83

Miłość, cóż to jest miłość; wszyscy o niej tyle mówią, że aż sprawdziłem w Wikipedii, a tam napisane jest: „Miłość – wieś w Polsce położona w województwie śląskim, w powiecie myszkowskim, w gminie Koziegłowy. W latach 1975–1998 miejscowość administracyjnie należała do województwa częstochowskiego”.

I tyle. Po prostu wioska, a gadania co najmniej jak o metropolii.

96.84

W domu po przeciwnej stronie ulicy nikt nie mieszka. Stara przedwojenna willa z kariatydami podtrzymującymi balkon. Chodnik zasłany jest liśćmi i połamanymi gałęziami, ze skrzynki pocztowej wysypują się druki reklam. Rolety okienne opuszczone są tak długo, że na styku z parapetem zdążył pojawić się mech. Wieczorem jednak zobaczyłem przy furtce dostawcę pizzy. Podjechał na skuterze, nacisnął dzwonek, a gdy nie było żadnej reakcji, sprawdził druk zamówienia i wyjął telefon. Rozmawiał przez kilkanaście sekund, wsiadł na skuter, minął narożną posesję i skręcił w stronę parku, aleją dojeżdżając do drugiej strony domu, gdzie kiedyś znajdowało się wejście dla służby. Tam na chwilę mrok rozjaśniło światło wypuszczone z otwartych drzwi, pojawiły się dwa cienie, po czym znów nastąpiła ciemność, jak to w domu, w którym nikt od dawna nie mieszka.

96.85

Powiem ci coś. Czasami jest tak, że spotykasz kogoś przez przypadek, ledwie muśniesz go dłonią i potem o tym krótkim dotyku nie możesz zapomnieć, czujesz na opuszkach palców tęsknotę taką, jaką byś czuła całym ciałem, więc przypominasz sobie tę sekundę na dziesiątki sposobów, w myślach odtwarzasz krótki gest po wielokroć, zupełnie jakby to były zastygłe kadry w filmach animowanych, którym suma martwych punktów nadaje życie.

96.86

Nie lubię końca lata, żal mi kolorów, ciepła, liści – opadają, suche po tegorocznych upałach. Jeszcze wczoraj park na Julianowie pachniał nimi jak wielka herbaciarnia pod gołym niebem. Dziś o świcie wychodzę z psem – wszędzie leży szron. Lekko trzeszczy drobinami lodu. Jak półprzezroczyste miraże unoszą się nad stawem smugi mgły. Udają watę cukrową dla kaczek. Te zdezorientowane płyną między nimi, patrzą, jak Pan Bóg pije mrożoną herbatę przez słomkę.

Jesień – niby kolorowo, ale sny mi wyblakły bez ciebie.

96.87

W nocy znów widziałem tego dostawcę pizzy. Tym razem nie zatrzymał się przy froncie

opuszczonego domu, od razu pojechał ku wejściu od parku, między pniami drzew migotało białe światełko skutera. Z ciekawości wybrałem się na spacer i zobaczyłem, że od strony parku rolety także są zasunięte.

Noc to sytuacja niejasna.

Patrzę w okno,
mleczną drogą idą czarne koty.

00.01

Porwanie

Zmierzchało. Mężczyzna w czarnym bmw z uwagą przyglądał się kobiecie wychodzącej z dworca.

– Wydaje mi się, że kilka minut temu już ją tu widziałem – rzucił przez ramię do kolegi siedzącego z tyłu.

Tamten ostrożnie wyjrzał przez okno.

– Niezła jest – powiedział.

Wysoka, zgrabna. Szerokie biodra uwypukliła džinsowymi szortami, przewiązanymi w wąskiej talii złotym paskiem. Złoty kolor miały również jej buty na wysokim obcasie oraz płaska torebka wisząca na błyszczącym łańcuszku. Długie nogi, falujące blond włosy, głęboki dekolt.

– Ma czym oddychać – jęknął z podziwem kierowca bmw. – Moim zdaniem osiemdziesiąt D.

– Pewnie silikon – prychnął kompan z tyłu. – Nie lubię tego wynalazku.

– Masz rację. Silikon dobry jest do uszczelniania kabiny prysznicowej. Powinien być w tubce, a nie w kobiecie.

Zarechotali.

Podeszła bliżej. Mogła mieć dwadzieścia, dwadzieścia dwa lata. Duże zmysłowe usta mocno podkreśliła czerwoną szminką. Czarny makijaż położyła niemal na całych powiekach, z wyjątkiem wewnętrznych kącików oczu obrysowanych srebrnym kolorem.

– Lalunia – gwizdnął z podziwem ten z tyłu.

– I na kilometr widać, że bez stanika.

To nie był kilometr, najwyżej pięć metrów. Po chwili – cztery, trzy, dwa.

– Sama się prosi – orzekł mężczyzna siedzący za kierowcą.

Mimo późnej pory i zupełnej pustki panującej już przed dworcem Łódź Kaliska kobieta nieroztropnie zbliżała się do czarnego samochodu.

Kierowca uchylił szybę.

– Podwieźć panią?

Spojrzała niezdecydowana na mężczyznę siedzącego z tyłu.

– Chłopak miał po mnie przyjechać, ale coś go nie ma – wyjaśniła. – Chyba pojedę taksówką.

– Ja jestem taksówkarzem – uspokoił ją kierowca bmw. – Ale dziś już po pracy. A ten z tyłu to szwagier. Podrzucimy panią. Jak ma pani na imię? Może Magda? Znałem jedną Magdę, podobna była do pani.

– Lena.

– O, moja żona też tak ma. To serdecznie zapraszam.

– No nie wiem – wahała się jeszcze.

– Przesiądę się do przodu, żeby była pani spokojniejsza – zaproponował siedzący z tyłu

mężczyzna. Wysiadł z wozu i gestem ręki zaprosił dziewczynę do środka.

– Chyba nie powinnam – powiedziała.

Słowa te padły bez przekonania, ale stojący na chodniku mężczyzna nie czekał na ostateczną decyzję. Objął kobietę ramieniem, tak jakby dobrze się znali, i coś jej szeptał do ucha. Potem pchnął na tylne siedzenie auta, wsiadł za nią i zatrzasnął drzwiczki. Bmw cicho ruszyło z miejsca, początkowo bez świateł, by nie zwrócić nikomu uwagi. Jeszcze wyciągnęła rękę w kierunku klamki, ale kierowca był szybszy. Krótki metaliczny odgłos przesuwającej się zapadki świadczył o tym, że właśnie nacisnął przycisk ryglujący drzwi od wewnątrz.

96.88

Niby wszyscy składamy się z takich samych atomów, ale niektórzy mają wredniejsze.

96.89

Minął rok, odkąd przeniosłem się z redakcji Fun TV do Era TV – zdecydowanie bardziej odpowiada mi format tej drugiej, czasy takie, że nie zawsze jest człowiekowi do śmiechu, zwłaszcza gdy wiadomości telewizyjne przypominają kabarety. Jak same nazwy wskazują, ta pierwsza stacja nadaje programy poświęcone zabawie, a druga zjawiskom naszej ery. Mam tam swój kącik literacki, co tydzień przygotowuję epizod powieści w odcinkach. To pastisz kryminału, akcja toczy się w Łodzi i jest prezentowana też na łamach „Expressu Ilustrowanego”, najpopularniejszego dziennika w regionie.

96.90

Gdy przejeżdżałem koło dworca, dostrzegłem czarne bmw zatrzymujące się przy młodej kobiecie. Zgrabna, szczupła blondynka. Kocia miękkość w ruchach. Ktoś uchylił drzwi, coś powiedział, kobieta odwróciła się i odeszła szybkim krokiem. Ale potem wróciła, wsiadła do samochodu i zatrzasnęła za sobą drzwiczki. Samochód szybko odjechał, a wtedy z ukrycia w ślad za nim ruszył motocyklista w czarnej kurtce ze skóry i czarnym kasku.

96.91

Wczoraj na spotkaniu autorskim pewien bardzo młody człowiek zapytał mnie, jak można zdobyć kobietę. Bo się zakochał, a ona nie. Wiem, jak można zdobyć żółty czepek albo prawo jazdy, ale kobietę?

Znam tylko dwa sposoby.

1. Przez zasiedzenie.
2. W niewyjaśniony sposób.

Ad 1. Jest takie osobliwe prawo, które pozwala na zdobycie mieszkania przez zasiedzenie. Potrzebny jest do tego przede wszystkim upływ czasu. Wprowadzasz się i mieszkasz tak długo, aż wszyscy się przyzwyczają, łącznie z urzędem meldunkowym. Wydaje mi się, że podobnie bywa z kobietami. Pamiętam, że przed drzwiami mieszkania swojej pierwszej dziewczyny dzień w dzień siadałem na schodach, aż pół roku później wpuściła mnie do środka. Nadal przychodziłem codziennie, przynosiłem pieczywo na śniadanie i przez kolejne pół roku grzecznie siadałem przy stole. Przez trzecie pół roku czytałem jej na noc, siedząc przy łóżku. W końcu poddała się i pewnego wieczoru uchyliła koldrę. I tak, po półtora roku, zdobyłem ją

przez zasiedzenie.

Ad 2. Swoje następne kobiety zdobyłem w niewyjaśniony sposób. Do dziś mianowicie nie potrafię wyjaśnić, jak mi się to udało.

96.92

Nie mogę zasnąć, coś we mnie tyka.

Chodzi we mnie zegar nakręcony na ciebie.

00.02

Żelazna klatka

Dziewczyna wcisnęła się w kąt tylnego siedzenia.

– Wypuście mnie! – krzyknęła.

– Śliczna Leno, nie drzyj się, a wszystko będzie dobrze – syknął mężczyzna z fotelu pasażera. – Bo inaczej...

Sięgnął do płaszcza po nóż sprężynowy. Szczęknęło wyciągnięte ostrze.

Czarne bmw powoli wyjechało spod dworca Łódź Kaliska i skręciło w aleję Włóknarzy. Kierowca spojrzął we wsteczne lustro.

– Ktoś za nami jedzie – rzucił przez ramię.

Dziewczyna nacisnęła guzik otwierający okno. Bezskutecznie. Było zablokowane przez kierowcę razem z drzwiami.

Mężczyzna siedzący obok kierowcy odwrócił się i złapał ją za nadgarstek.

– To boli! – jęknęła.

– Nie rób głupot, bo cię potnę – zagroził. – Chcesz się przekonać?

– Czego ode mnie chcecie? – zapytała drżącym głosem.

– Uległości i współpracy – wyjaśnił kierowca. – Wyobraź sobie, że my jesteśmy Rosją, a ty Ukrainą. I albo przejdiesz do nas dobrowolnie, albo cię weźmiemy siłą. Taką reprezentujemy ogólnonarodową politykę.

Ukryła twarz w dłoniach.

– Ja nie interesuję się polityką...

– I nawet ani prezydent Trump, ani jego poprzednik Barack Obama ci nie pomogą – wtrącił jego towarzysz. – Swoją drogą, co to za imię dla prezydenta? To tak jakby nasz nazywał się Szopa.

Zarechotali.

Kierowca ponownie spojrzął we wsteczne lustro.

– No mówię ci, że ktoś za nami jedzie – powtórzył, tym razem z niepokojem.

Kobieta odwróciła głowę.

– To twój chłopak? – zapytał siedzący przy niej mężczyzna.

– Nie. Nie, nie, nie znam go – odpowiedziała pośpiesznie.

Jakoś zbyt pośpiesznie.

– Zwolnię, zobaczymy – powiedział kierowca, sięgając jednocześnie pod fotel. Błysnęła maczeta.

Skręcili w kierunku ulicy Drewnowskiej. Samochód jadący za nimi zniknął. Minął ich motocyklista. Na chwilę zwolnił i mężczyźni mieli wrażenie, że zagląda do wnętrza samochodu. Ale może im się wydawało.

Po kilku minutach czarne bmw minęło park na Julianowie i skręciło w ciche i spokojne

uliczki osiedla. Mijała północ. Tylko w nielicznych oknach paliły się światła. Samochód podjechał pod okazałą willę, która od lat wyglądała na opuszczoną. Skrzydła automatycznie otwieranej bramy uchyliły się bezszelestnie. Zniknęli w podziemnym garażu. Nikt z trójki pasażerów nie zauważył samotnego motocyklisty, który na chwilę zatrzymał się przy bramie, zrobił kilka zdjęć, po czym odjechał. W domu naprzeciwko ktoś opuścił żaluzje, jakby nic nie chciał widzieć.

96.93

Konkurencyjna Toya TV zaprosiła mnie na talk-show o miłości. Na początku szło sprawnie. Miła charakteryzatorka, sympatycznie nastawiona publiczność. Prowadzący czyta mój biogram, opowiada, jakim to byłem przez lata popularnym aktorem, przedstawia tytuły napisanych przeze mnie powieści, a potem pyta o mechanizm powstawania uczuć. Tłumacząc więc, że ludziom się wydaje, że miłość przychodzi nie wiadomo skąd, że dana jest nam raz na zawsze jak bonus w supermarkecie. I z takiego myślenia potem się biorą kłopoty. Jeśli miłość przychodzi nie wiadomo skąd, to później odchodzi nie wiadomo dokąd. Często jest tak: spotyka się dwoje ludzi, oboje mają różowe okulary. Ona ogląda wyłącznie komedie romantyczne? On myśli: słodka jak mała dziewczynka. On kupuje najtańsze kwiaty? Ona myśli: dobrze, widać, że jest oszczędny. W fazie fascynacji nie warto zakochanym mówić, że są ślepi, bo są także głusi. Publiczność słucha z zainteresowaniem, brylują:

– Ślepa miłość powstaje wtedy, gdy Amor nie trafia strzałą w serce, lecz w oko.

Prowadzący wstaje z kanapy i przerywając mi, pyta:

– A czy pan jest szczęśliwy?

– Oczywiście! – odpowiadam z uśmiechem.

– A pana była żona?

Co za pytanie? Dlaczego Magdalena miałaby nie być szczęśliwa?

– Sądzę, że tak – odpowiadam ostrożnie. – Mam nadzieję, że jest szczęśliwa.

– Ale ja pytam o to, czy była szczęśliwa z panem.

– A dlaczego mnie pan o to pyta?

– Bo skoro jest pan takim znawcą kobiet, to dlaczego odeszła do innego mężczyzny?

– Nie wiem – mówię, czując zbliżającą się złość. – To ją powinniście zapytać.

Prowadzący robi efektowną pauzę i zwraca się w stronę kamer.

– A teraz niespodzianka! – podnosi teatralnie głos i ręką wskazuje wejście. – Witamy byłą żonę naszego gościa.

Wchodzi Magdalena. Urocza jak zawsze, uśmiechnięta. Lekko pokonuje dwa schodki i siada na brzegu kanapy, splatając nogi w kostkach.

– Czy pani jest rzeczywiście szczęśliwa?

– Jestem – uśmiecha się szeroko.

– A co jest głównym powodem pani szczęścia?

– Mój związek.

– A z tym panem, poprzednim swoim mężem, też pani była szczęśliwa?

Czuję się jak na sądzie ostatecznym, a nawet gorzej, bo tam przynajmniej nie ma kamer i telewizja nie transmituje grzechów.

Cisza. Cisza jak makiem zasiał. Tak się mówi, ale nie wiem, jak to jest, nigdy nie siałem maku. Czuję, jak krople potu spływają mi po twarzy; kamera robi zbliżenie i widzą to miliony widzów.

– Tak, byłam bardzo szczęśliwa – mówi Magdalena spokojnym głosem.

– Czy aby na pewno?

Wszyscy widzą – kamera pokazuje to bardzo dokładnie – jak wielka kropla potu zawisa na moim czole. Wydaje mi się, że już słyszę łoskot, z jakim spada.

Widzi to tylko Magdalena.

– Lęk jest sposobem otwarcia drzwi dla zła – mówi nieoczekiwanie zupełnie nieswoim głosem.

96.94

Magdalena uważała, że niczego nie należy naprawiać. Jak coś się zepsuło, to się zreperuje. Dotyczyło to zarówno kranu w łazience, jak i związków między ludźmi. Rzeczywiście, krany w naszym domu naprawiały się same. Podobnie jak zepsute zamki w drzwiach i przepalone żarówki. Te ostatnie trzeba było po prostu zamienić miejscami. Raz nawet sama wstawiła się wybita szyba. Magdalena twierdziła, że nasz związek też z czasem sam się naprawi. Być może miała rację. Może właśnie się naprawia. Na razie jednak znudziło jej się na to czekać, więc rok temu przeprowadziła się do faceta młodszego o pięć lat, a ode mnie o piętnaście. Kult młodości, normalna sprawa. Chrystus też miał tylko trzydzieści trzy lata.

96.95

To cudowne, że człowiek ma zdolność do regeneracji. Wątroba odbudowuje nam się co sześć tygodni, skóra co miesiąc, kości co trzy miesiące, krew co cztery miesiące, DNA co pół roku, a mózg co rok. Nikt jednak nie wie, jak długo odbudowują się nam zakochane serca.

00.03

Kolekcjoner

Dwie dziewczyny zamknięte były w klatce, którą zespawano z metalowych prętów i ustawiono pod ścianą podziemnego garażu. Mogły mieć najwyżej po osiemnaście lat. Obie brudne, posiniaczone, w porozdzieranych ubraniach. Siedziały na kocu, blisko siebie, wzajemnie grzejąc się ciepłym ciałem. Skuliły się, widząc samochód wjeżdżający do garażu. Dziewczyna siedząca na tylnym siedzeniu auta się wzdrygnęła.

– Boże – szepnęła.

Mężczyzna obok niej uśmiechnął się zadowolony.

– Lena, jak nie będziesz grzeczna, też tam wylądujesz – powiedział.

– Będę... – wydusiła z trudem.

– Dla mężczyzny kobieta grzeczna to kobieta grzeszna – zarechotał mężczyzna. –

Wystarczy jedną literę zmienić, a taka różnica.

Był w dobrym humorze. Coś sobie gwizdał. Potem kazał wysiąść z samochodu. Zabrał torebkę, buty i pasek. – Wysokie obcasy są niebezpieczne – wyjaśnił. – Mieliśmy tu jedną taką, która o mało mnie nie zabiła.

Pokazał bliznę na lewej skroni i ślady po szwach. Podeszedł do metalowego regału stojącego nieopodal klatki. Chwilę szukał na nim miejsca, po czym postawił buty na najwyższej półce.

– To moja kolekcja – pochwalił się. – Powoli brakuje już miejsca.

Półki były pełne damskich butów. Ustawiono je parami, równo, jedna obok drugiej. Większość czerwonych. Sporo czarnych i białych. Kilka zielonych. Mężczyzna delikatnie

przejechał dłonią po ich czubkach.

– Nie lubimy kobiet w zielonych butach, prawda? – zapytał jakby w głąb siebie. – One chyba wierzą, że zielony to kolor nadziei, bo najdłużej odmawiają współpracy. Dlatego nie porywamy już tych w zielonych butach. Zabawne, przyznasz, koteczku?

Zwrócił się do kobiety, która z osłupieniem patrzyła na jego koszmarną kolekcję. Znów złapał ją za gardło.

– Do klatki czy do pokoju? – wycedził przez zęby.

– Puśćcie mnie, proszę!

– Do klatki?

– Nie chcę do klatki... – jęknęła dziewczyna.

Pchnął ją na schody prowadzące w głąb domu. Przewróciła się. Kazał wstać i iść na górę. Minęli kilka pomieszczeń. Zza niektórych drzwi słychać było jakieś głosy, zza innych tylko muzykę. Otworzył ostatnie w korytarzu i wepchnął kobietę do środka. Usłyszała tylko przekręcany w zamku klucz i odgłos oddalających się kroków. Została sama w ciemnym pomieszczeniu.

Drżącymi rękami odpięła haftkę ukrytą pod szeroką szlufką dżinsowych spodenek.

Wyciągnęła mały podłużny przedmiot. Delikatnie przesunęła paznokciem włącznik.

Mikroskopijna dioda zamrugała na zielono. Lena zbliżyła przedmiot do ust.

– Już jestem – szepnęła jakby z ulgą, chociaż niemożliwe, by jakkolwiek inna kobieta chciałyby być w tym miejscu.

96.96

W teorii liczby są bezwzględne, w życiu – ludzie.

96.97

Przypomina mi się rozwód z Magdaleną. Jej nowy mężczyzna czeka w korytarzu pachnący hugo bossem, w garniturze z naszywką „Hugo Boss” na rękawie; nie wiem, może to był sam Hugo Boss, skoro taki podpisany. Od tej pory nie cierpię Hugo Bossa. Na sali rozpraw jej adwokat dwoi się i troi, żeby sprawy nie przeciągać, po czym w nagłym przypływie natchnienia mówi tak:

– Wysoki sędzie, w tym przypadku rozkład pożycia małżeńskiego osiągnął już ten stopień, że moja klientka nie ma swojego męża nawet wśród znajomych na Facebooku.

Na tej samej rozprawie dostaliśmy rozwód.

Miłość to produkt o krótkim terminie ważności.

96.98

Głowę mam pełną niepotrzebnych tęsknot. Pod pewnymi względami człowiek jest gorzej wymyślony niż pierwszy lepszy laptop – ten ma przynajmniej kosz na śmieci w rogu pulpitu. Też chciałbym mieć w głowie takie miejsce, do którego mógłbym bezpowrotnie wrzucić wszystkie niepotrzebne myśli.

Mądrość zaczyna się wtedy, gdy nie tracisz nadziei, ale pozbywasz się złudzeń.

96.99

Z okna widzę opuszczone rolety domu naprzeciwko. Wczoraj pod bramę podjechał motocyklista. Zajrzał do skrzynki na listy, jakby sprawdzając, czy ktoś w ogóle ją opróżnia. Ubrany był tak samo jak ten, którego widziałem kilka dni temu przed dworcem. Czarna kurtka ze skóry, czarny kask. Myślę o tamtej kobiecie, która wsiadła do czarnego bmw. Co usłyszała? Co odpowiedziała? I kim jest ten motocyklista? Czego szuka naprzeciw mojego domu?

00.04

Handlarze kobiet

Miała na imię Marysia, ale uwielbiała Louisa Armstronga, więc mówili na nią Mary Jazz. Jęknęła ze zgrozą, spoglądając na leżące przed nią wydanie „Expressu Ilustrowanego”. Gazeta opisywała balangę w łódzkim komisariacie. Zdjęcia nie pozostawiały wątpliwości. Alkohol, rozochoceni funkcjonariusze w erotycznych pozach, kobiety.

– Szef będzie wściekły – rzuciła do koleżanki siedzącej za biurkiem.

– Obawiam się, że pani komisarz też się dostanie – odparła dziewczyna, odruchowo zapinając pod szyją guzik policyjnej koszuli.

– Mnie? A niby za co? – zdziwiła się Mary Jazz.

– Za cokolwiek. Wszystkim się dziś dostaje. Ja oberwałam za odpięte guziki.

– To niech tu założą klimatyzację.

Drzwi otworzyły się z impetem. Pojawiła się w nich twarz młodego aspiranta.

– Ratuj się, kto może! – zawołał. – Inspektor Groch idzie!

Po chwili do pokoju wszedł wysoki, zwałisty mężczyzna.

– Co jest, do ciężkiej nędzy!? Co tu się dzieje? – krzyknął wzburzony.

Mary Jazz spojrzała na leżącą przed nią gazetę.

– To przecież nie nasz komisariat, panie inspektorze, to ten przy Wysokiej – próbowała tłumaczyć.

– Jakie to ma znaczenie? – warknął Groch. – Komendant jest wściekły i wszystkich się czepia. Awans może mu przejść koło nosa. Mnie się dostało dziś za ciebie!

– Dlaczego za mnie? Przecież ja nic nie zrobiłam. – Mary Jazz bezradnie rozłożyła ręce.

– No właśnie. Sam bym tego lepiej nie ujął! Nie wiem, po co przysłali cię z komendy głównej. Od pół roku prowadzisz śledztwo w sprawie tych kobiet i nic! Jaj nie masz! Facet już dawno by sobie poradził!

Mary przygryzła wargi. Sporo pracy ją kosztowało, by powierzono jej w końcu to śledztwo. Handel kobietami na międzynarodową skalę. Z Rosji, Ukrainy i Białorusi młode dziewczyny trafiały do klubów nocnych i agencji towarzyskich w całym kraju. Potem te najlepsze przierzucano dalej – do Hamburga, Berlina, Amsterdamu. Zdaniem Interpolu kilka tropów prowadziło do Łodzi. Mary Jazz marzyła o pracy w Interpolu. Gdyby wszystko poszło tak, jak sobie planowała, mogłaby ją dostać dzięki temu śledztwu.

– Chyba pan inspektor nie przeczytał mojego raportu – powiedziała drżącym z wściekłości głosem. – Normalnemu człowiekowi do czytania nie trzeba jaj, wystarczą oczy. Ale nie wiem, czy tak samo jest w przypadku facetów.

Groch spojrzał na nią, zdumiony bezczelnością wypowiedzi. Chciał coś odpowiedzieć, ale poza brzydkimi wyrazami rzadko mu coś przychodziło do głowy. Ugryzł się w język. Pomyślał, że tym razem odpuści. Przez tę balangę na komisariacie atmosfera wśród policjantów zrobiła się nerwowa. Jeszcze by mu tego brakowało, żeby smarkula poleciała do komendanta ze skargą, że niby traktuje ją w seksistowski sposób. To modne – uskarżać się na molestowanie w pracy lub seksizm. Teraz zachowa spokój, ale zemści się inaczej.

– Za pół godziny czekam na ciebie w swoim gabinecie – powiedział ostrym tonem i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Ze złości tak mocno, że znad framugi wypadł gwoździak, na którym wisiał krzyżyk poświęcony jeszcze za czasów papieża Polaka.

97.00

Na studiach moim marzeniem był motocykl. Wyobrażałem sobie, jak pędzę nim przez polne drogi, zostawiając smugę piaskowego kurzu, a na tylnym siedzeniu przytula się mocno do moich pleców blondynka. Blondynki najlepiej wyglądają na motorach, zwłaszcza wtedy, gdy wiatr rozwiewa ich długie włosy. Ale jak to z marzeniami bywa – skończyło się na rowerze.

Czasami na ramie podwoziłem Marysię Jezus. Miała takie dwa imiona, bo jej ojciec pochodził z Hiszpanii, a tam Jezus to bardzo popularne imię, chłopcy często otrzymują je na pierwsze, a dziewczynki na drugie. Była blondynką, więc kiedy zaczęliśmy ze sobą chodzić, wiedziałem już, że marzenia spełniają się na raty. Wprawdzie wciąż nie miałem motocykla, ale miałem już blondynkę, którą wiozłem rowerem. Czyli byłem w pół drogi do realizacji marzeń.

Mężczyzn, którzy nie wiedzą, warto ostrzec, że takie podwożenie dziewczyny może być dla kawalera bardzo niebezpieczne. Dziewczyna siedzi przed tobą, oboje trzymacie dłonie na kierownicy, co i rusz dotykasz jej rąk przedramieniem. Choćbyś nie chciał. No, wiadomo, że byś chciał, ale trzeba przecież zachować fason i pozory. Jednak przy braniu zakrętów nie da się nie dotknąć. A jak pomimo rozumu chcesz dotykać z własnej woli i świadomie, to robisz to na swoją odpowiedzialność. Z takiego małego dotykania od razu chce ci się dotykać coraz więcej i więcej. Dotykanie kobiet jest uzależniające bardziej niż narkotyki albo alkohol. W dodatku cały czas masz twarz tuż przy jej włosach i nie możesz się nadziwić, jak one pięknie pachną. Nie mam pojęcia, jak to się dzieje, że włosy kobiet pachną tak pięknie. Albo jak łąka, albo jak owoce rozgrzane słońcem, albo – w ostateczności – jak kisiel żurawinowy. Zawsze jest to zapach ujmujący i na tyle ulotny, że wciąż go za mało. Wciąż się za nim tęskni. Dlatego tak bardzo niebezpieczne jest podwożenie dziewczyn na rowerze.

97.01

Miłość. Wyszła z domu i nie wróciła.

Ktokolwiek wie o losie zaginionej, proszony jest.

97.02

W warzywniaku starsza pani wybiera jabłka. Powoli, starannie, każdemu przyglądając się z uwagą. Wzięła cztery, po chwili, z wahaniem, jedno odkłada z powrotem. Prosi jeszcze o koperek, płaci trzy dwadzieścia i wychodzi, kłaniając się z elegancją nieco przesadną jak na warzywniak.

– To poetka – mówi sprzedawczynie do następnej klientki. W jej głosie brzmi duma, bo nie w każdym sklepie warzywnym kupują poeci.

– Poetka? – dziwi się klientka. – Nawet nie wiedziałam, że poeci jeszcze istnieją.

– No a Szymborska?

– Przecież nie żyje.

– Co pani powie? A ten ksiądz, jakże mu tam? Taki znany. I uczciwy, łatwo go było zapamiętać. Twardowski? – Sprzedawczynie nie daje za wygraną.

– Też chyba nie żyje.

Zapada chwila kłopotliwego milczenia.

– No ale ta jeszcze żyje – wraca do tematu sprzedawczyni.

– Może to ostatnia.

Znowu milczenie.

Po czym sprzedawczyni:

– A ja ten koperek taki zwiędnięty jej podałam.

00.05

Śledztwo

Mary Jazz z obawą zapukała do drzwi gabinetu inspektora. Ten stary seksista zabierze mi śledztwo i skończą się moje marzenia o pracy w Interpolu – myślała rozżłoszczona.

– Wejść! – dobiegło zza drzwi.

Inspektor Groch siedział za biurkiem i grzebał w stercie papierów.

– Jaki raport? Gdzie ten raport? – zwrócił się do Mary Jazz z pretensją. – Nie dałaś mi żadnego raportu, przecież bym pamiętał.

Podeszła i z samego spodu wyjęła zieloną teczkę, opatrzoną kryptonimem „Magda/Lena”.

– Proszę bardzo.

Spojrzał wściekły.

– To przez ten nadmiar roboty – próbował się usprawiedliwić.

Wzruszyła ramionami. Inspektor otworzył teczkę, zaczął czytać. Zauważyła, że stopniowo robi się czerwony. Najpierw poczerwieniała mu szyja, potem policzki i uszy, w końcu cała twarz. Wygląda zupełnie jak dojrzewający pomidor, zaraz pęknie i zmieni się w keczup – pomyślała z satysfakcją.

– Czyś ty zwariowała, do ciężkiej nędzy? – Skończył wreszcie czytanie, uchodząc z życiem, niestety.

Ciężko oddychał. Ocierał pot z czoła. Sapał. Może jednak pęknie – pomyślała z nadzieją.

– Nie miałaś na to mojej zgody! – wyrzucił w końcu z siebie.

– Raport złożyłam w kwietniu – powiedziała spokojnie. – Formalnie wie pan więc o Magdzie od ponad miesiąca.

– To jakiś obłądny pomysł! Ryzykujesz przecież życiem tej kobiety! A jej ciałem to już na pewno!

– Pan wybaczy bezpośredniość, inspektorze, ale jeśli chodzi o ciało naszej Magdy, to nie ma już czym ryzykować. Pracowała w kilku agencjach towarzyskich. Potem zajęła się sutenerstwem. W dodatku zatrudniała nieletnie dziewczyny, więc grozi jej do dziesięciu lat więzienia. Sama zaproponowała nam współpracę. W zamian za wolność, oczywiście.

– Trzeba to przerwać! Na jakim jesteś etapie?

– Udało nam się podszyć pod sutenera z Amsterdamu, który szuka odpowiednich Polek. Mają to być naturalne blondynki z dużym biustem, bo takie preferowane są na tamtym rynku. Magda, to znaczy Lena, dokładnie taka jest. Biust osiemdziesiąt D. Wiemy, gdzie polują handlarze kobiet, więc od paru dni podprowadzamy ją na porwanie.

– Ale nie możesz organizować prowokacji policyjnej bez wiedzy komendanta wojewódzkiego!

– Ale mogę za wiedzą Krajowego Biura Interpolu.

Położyła palec na ustach. Z kieszeni jej munduru dobiegło ciche pikanie. Odpięła guzik i wyjęła przedmiot przypominający mały nadajnik z diodą migającą na zielono.

– To właśnie ta dziewczyna – wyjaśniła Mary Jazz, pospiesznie podpinając słuchawki

iPhone'a.

Przez chwilę słuchała w skupieniu.

– Świetnie, a teraz moja kolej – powiedziała po chwili do mikrofonu wbudowanego w miniaturowe urządzenie. – Znajdź mi tam jakieś bezpieczne zajęcie. Tylko pamiętaj, że jak mnie zdradzisz, to zgnijesz w pierdłu.

Zielona dioda zgasła.

97.03

Marzyłem o niej śmiało, bez zahamowań, czasami wręcz bezczelnie, w ogóle nie pytając o zgodę, bo wierzyłem, że marzenia należą do świata, w którym o zgodę nie trzeba pytać. Marzyłem o niej perfekcyjnie i totalnie, w śnieniu miałem opanowany każdy centymetr jej ciała i każdą zmianę w tonie jej głosu, wypowiadała nim zdania, od których odbierało mi najpierw mowę, potem rozum, a na końcu oddech – wtedy zrozumiałem, że z marzeniami trzeba się obchodzić ostrożnie.

Tylko marzeń nie trzeba się uczyć, człowiek umie fantazjować od dziecka, chociaż tych pierwszych wizji już nie pamięta. W marzeniach każdy z nas jest doskonały, każdy potrafi ułożyć sobie najpiękniejszą przyszłość, a gdy ona już się zdarzy i wcale nie jest tak piękna, wówczas niektórzy potrafią wymarzyć sobie równie wspaniałą przeszłość i odtąd żyją wspomnieniami zjawisk i rzeczy, które się nie zdarzyły.

97.04

Powiem ci coś.

Marzenie to szczęście we wczesnej fazie realizacji.

97.05

Dzwonili z Polsatu z propozycją nowej pracy. Solorz kupił oba kanały stacji, w której pracuję, Fun TV oraz Era TV, i połączył w jeden – wyszło im Funeral TV.

97.06

Początek był obiecujący.

– Dobry jesteś?

– Oczywiście. Rankiem przynoszę rogaliki i świeżo zaparzoną kawę.

Byliśmy ze sobą pięć lat, chociaż we wszystkich poradnikach małżeńskich napisane jest, że kryzys przychodzi po siedmiu. Może ich autorzy nie biorą pod uwagę tego, że w naszych czasach wszyscy się spieszą. Kryzysy też.

97.07

A wracając do tego podwożenia dziewczyn na rowerze, to po raz pierwszy podwoziłem Marysię Jezus, gdy kończyłem trzeci rok studiów. No a przed wakacjami już jej wyznałem miłość. Potem spędziliśmy ze sobą miesiąc na Mazurach. Jeszcze była ostrożna, wzięła swój śpiwór, ale po kilku dniach spaliśmy już w jednym. Pod koniec wakacji się oświadczyłem.

– Jesteś wariat! – krzyknęła. – Sypiamy ze sobą dopiero trzy tygodnie, a ty chcesz się już

żenić?

– Tak! Tak! Tak! Po trzykroć tak! – Objąłem ją w talii. – Chcę z tobą zamieszkać i mieć pół tuzina dzieci. A każde ma być do ciebie podobne.

– Sześcioro dzieci? Czyś ty zwariował? Nikt tyle nie ma.

– Dlatego, gdy będziemy ich tyle mieć, dostaniemy duże mieszkanie komunalne.

– To jest jakiś pomysł. Urządzimy w nim prywatne przedszkole, dostaniemy dotację z budżetu miasta i nic nie będziemy robić, tylko się kochać, a dzieci będą nas utrzymywać.

– I będą za nas sprzątać.

– I nam gotować.

– I przynosić nam książki z biblioteki.

– Oraz zakupy.

– A ja wszystkie nauczę jeździć na motorze, żeby obsługiwały nas jak najprędzej.

97.08

W metrze dwie panie po czterdziestce:

– Ty nie masz pojęcia, co to znaczy trudne dzieciństwo. Kiedy wszystkie dzieci jadły wate cukrową, ja miałam normalną.

00.06

Mężczyzna na ścigaczu

Motocyklista na ścigaczu wyjął ze skórzanej sakwy aparat z teleobiektywem. Wycelował go w czarne bmw stojące pod dworcem Łódź Kaliska. Do auta zbliżyła się młoda blondynka. Kierowca ścigacza nacisnął spust migawki. Z auta wysiadł mężczyzna i wepchnął kobietę do środka. Zaterkotała szybka seria zdjęć.

– Złapałeś haczyk, bydlaku – szepnął motocyklista w kierunku odjeżdżającego samochodu i powoli ruszył za porywaczem.

Wjechali na aleję Włókniarzy. Przed pierwszym skrzyżowaniem zatrzymało ich czerwone światło. Motocyklista zatrzymał się w bezpiecznej odległości od bmw. Nagle usłyszał ryk sześciocylinrowego silnika i poczuł pęd powietrza. Dwustukonny opel calibra przeleciał z prędkością minimum stu pięćdziesięciu kilometrów. Tuż przed stopami pieszych wchodzących na pasy.

Kierowca ścigacza odruchowo przekręcił manetkę gazu, jakby chciał ruszyć w pościg za piratem. Od razu jednak zreflektował się i zwolnił obroty. Dziś nie mam czasu na wyścigi – pomyślał.

Kwadrans później czarne bmw zatrzymało się przed domem, sprawiającym wrażenie dawno opuszczonego. Brama wjazdowa otworzyła się automatycznie i wóz wjechał w głąb podziemnego garażu. Mężczyzna na ścigaczu ponownie wyjął aparat i zrobił serię zdjęć. Potem przejechał powoli i niemal bezszelestnie uliczkami sennego osiedla. Kiedy jednak znalazł się znów na Włókniarzy, przekręcił manetkę gazu do oporu i pognał tak, jakby chciał zrekompensować sobie niedoszły pościg za sześciocylinrową calibrą.

Wjechał na dziedziniec komisariatu. Zeskoczył ze ścigacza i pobiegł w kierunku dyżurki.

– Interpol – rzucił krótko przyszczatemu sierżantowi.

Pryszczaty obejrzał z podziwem legitymację i bez słowa wpuścił go do środka.

Mary Jazz z zaskoczeniem spojrzała w kierunku drzwi, w których stanął mężczyzna w kompletnym stroju motocyklisty. Wysokie buty, skórzane spodnie, kurtka z ochraniaczami

wzdłuż kręgosłupa, na głowie kask.

– Petr?

Mężczyzna zdjął kask.

– A spodziewałaś się kogoś innego?

Rzuciła mu się w ramiona. Żaden mężczyzna nie całował tak jak on. Mocno, z determinacją, jakby był na wiecznym głodzie. Ale nawet gdy przygryzał jej wargi, to delikatnie – tak, że nie czuła odrobiny bólu, tylko lekki dreszcz na plecach, ramionach i w końcu na policzkach.

– Mamę ich – powiedział po chwili. – Porwali Lenę, zrobiłem zdjęcia.

– Wiem, przed chwilą dostałam od niej informację. Teraz czas na mnie.

– Boję się o ciebie.

– Nic się nie bój.

Zaczęła znów go całować, czując ten dreszcz.

97.09

Chciałem porozmawiać na temat mojego przeniesienia, ale od razu po wejściu do redakcji zobaczyłem, że nie ma żadnego z dyrektorów, bo sekretarce nie było widać majtek. Gdy szefowie są w firmie, ona przychodzi w spódnicy tak krótkiej, że musi wkładać wiele wysiłku w to, by je zasłaniać. Cały czas obciąża spódnicę, zakłada nogę na nogę i wierci się na krześle. Wtedy człowiek ma wrażenie, że na tym właśnie polega jej praca. Na zasłanianiu swoich majtek. A gdy tylko dykcja wyjeżdża w delegację, to ona przychodzi w spódnicy za kolana, jakby dla nas szkoda było widoku.

97.10

Powinienem być czuć się zaniepokojony, gdy pewnego dnia powiedziała:

– Tyłek masz niczego sobie. Dobrze poruszasz się na parkiecie. Może chcesz zarobić?

– Odbiło ci?

– Możesz zostać facetem, który tańczy przed panienkami.

– Żartujesz.

Nie żartowała. Okazało się, że to dość popularne i w każdym większym mieście jest przynajmniej kilka grup tancerzy erotycznych. Zespół jej znajomego miał już zakontraktowanych kilka najbliższych tygodni. Głównie weekendy. Czasami dziewczyny chcą zrobić niespodziankę swoim przyjaciółkom, np. z okazji imienin. Choreografia jest rozłożona na czterech tancerzy, ale akurat wczoraj jeden zrezygnował, więc pilnie potrzebują kogoś nowego. Pilnie, czyli od jutra.

– To nic skomplikowanego. Masz ruszać tyłkiem i się uśmiechać!

– Marysiu, ale ja ledwo potrafię tańczyć! – zaprotestowałem.

– Dziewczyny nie po to przychodzą, by patrzeć na kroki. Interesują się tylko twoim tyłeczkiem.

Prawdę mówiąc, do tej pory nie wiedziałem, że mam tyłeczek. No, dupa, owszem, była, do siedzenia, zasadniczo, ale jaki jest sens, żeby na nią patrzeć? A jednak. Zaprawdę powiadam wam, mężczyźni nie mają pojęcia o tym, jak bardzo kobiety lubią ich pośladki.

Pewnie bym się na to nie zgodził, gdyby nie stawka. Za krótki występ, kwadrans, na prywatnej imprezie tancerz dostaje minimum dwieście złotych, ale w klubie płacą już kilka razy tyle. Za jutrzejszy, półgodzinny, miałem dostać osiemset złotych. Pół godziny gibania się na scenie i problemy z czynszem znikają.

Z oporami, ale się zgodziłem.

Nazajutrz menedżer klubu, łysy czterdziestolatek, zaprowadził mnie do garderoby, w której przebierało się kilku facetów.

– No, macie nowe ciacho – oznajmił, po czym uszczypnął mnie w pośladek.

Chciałem mu przywalić, ale Marysia Jezus mnie powstrzymała.

Przebraliśmy się w coś obrzydliwego. Na górę założyliśmy kuse kamizelki wyszywane cekinami. Bez guzików, oczywiście, tak że od razu widać było tors i pępek. Do tego takie idiotyczne spodnie z szerokimi nogawkami rozciętymi do połowy uda. Też z cekinami, jak dla pajaców. I jeszcze kapelusz. Najgorsza była jednak bielizna. Miałem założyć stringi! Ja w stringach? Nigdy w życiu! Nawet za osiemset złotych. Od razu powiedziałem to Marysi.

– Załóż, słowo ci daję, że lepsze stringi niż twoje bokserki – przekonywała.

Oczywiście, że nie dałem się przekonać. W końcu mam swój honor. Zostałem w bokserkach.

– Jak chcesz – zachichotała Marysia. – Ale zobaczysz, że miałam rację.

Gdy weszliśmy na salę, widziałem tylko światło. Snopy dwóch jupiterów oślepiająco waliły nam w oczy. Zabrzmiały werble, po czym rozległa się głośnie muzyka, rytmiczny jazz, trąbka i głos Armstronga, za którym Marysia z niezrozumiałych powodów przepadała. Ruszyła pierwsza, my za nią. Od razu zniknęła. Mężczyźni, a ja wśród nich, zaczęli tańczyć. Mimo głośnie muzyki słyszałem radosne okrzyki dziewcząt. Światło przygasło, reflektory zmieniły się w punktowe i wtedy z przerażeniem zobaczyłem, że na sali jest z kilkadziesiąt, a może i ze sto roztańczonych, rozradowanych dziewczyn. Te najbliżej sceny coś pokrzykiwały, wyciągając do nas ręce.

Zacząłem liczyć minuty do końca naszego występu. Mniej więcej od jego połowy mieliśmy zacząć się rozbierać. Nie całkiem, tylko do majtek, które dodatkowo mogliśmy przesłaniać kapeluszami. Kiedy zdarliśmy z siebie kamizelki, salę wypełniły gwizdy. Trwały do czasu, w którym każdy z nas jednym szybkim ruchem pozbył się spodni zapinanych na rzepy. Dziewczyny zamruczały zadowolone, a gwizdy ustąpiły owacjom. Zasłoniliśmy naszą bieliznę kapeluszami, a gdy co kilka taktów unosiliśmy je ku górze, cała sala rozbrzmiewała piskiem. Dziewczyny chichotały, krzyczały, rzucały się w naszym kierunku, starając się odebrać nam kapelusze i złapać za gumkę od majtek. I wtedy zrozumiałem, na czym polegał mój błąd.

Nie da się zedrzyć stringów z mężczyzny, który tańczy, trudno złapać za gumkę, ale bez trudu można tancerza pozbawić bokserek. Nawet nie zauważyłem, kiedy to się stało. Nagle moje bokserki znalazły się poniżej kolan, potknąłem się, zaplątałem i leżałem jak długi wśród ogłuszającego wrzasku zachwyconych dziewcząt. Po sekundzie moje bokserki znalazły się w powietrzu i podrzucane jako trofeum zniknęły gdzieś w końcu sali. Chłopaki kończyły występ, a ja siedziałem goły na podłodze. Na scenę posypały się pieniądze.

– Nadstaw kapelusz! Nadstaw kapelusz! – krzyczały rozbawione dziewczyny.

Na kilka sekund światło litościwie przygasło i wtedy mogłem się wycofać do garderoby.

– Ten numer z bokserkami menedżer wpisuje do repertuaru – ucieszyła się moja dziewczyna. – Wszystkim bardzo się spodobało.

Taka była ta moja Marysia Jezus.

97.11

Kiedy kobieta mówi „weź mnie”, mężczyzna nawet się domyśla, ile to go może kosztować. Pamiętam swoje zdziwienie, gdy zacząłem znajdować w domu różne przedmioty. Pierwszym było pióro kulkowe ystudio z tajwańskiej manufaktury, na pudełku widniała cena

dwieście dolarów. Wprawdzie Marysia chodziła jeszcze do liceum, ale wciąż gubiła długopisy i sama takiego gadżetu z pewnością by sobie nie kupiła. Potem zauważyłem u niej najnowszy model nokia, rzadkiego jeszcze wówczas telefonu komórkowego, wart był majątek. Poza nią znałem najwyżej trzy osoby, które używały komórek. Zasięg był jeszcze tak kiepski, że z całej ulicy wszyscy ich właściciele schodzili się wieczorami na plac między garażami a śmietnikiem, bo tylko tam od osiemnastej do dwudziestej można było coś usłyszeć w tych telefonach. Zazwyczaj stali tam prezes banku PKO, prezydent miasta i dwaj handlarze walutą, no i moja Marysia Jezus między nimi, dzwoniąca Bóg wie do kogo. Gdy zapytałem, odpowiedziała, że to nie moja sprawa. Coś mnie tknęło i zacząłem szukać. I bardzo dziwne rzeczy znalazłem. W kilku miejscach. Wewnątrz tapczanu stojącego w dawnym pokoju gościnnym kilkadziesiąt opakowań kosmetyków. Damskich, fabrycznie zapakowanych, z metkami sklepów i cenami takimi, że każda miała jedno zero za dużo. W górnej szufladzie biurka zobaczyłem złote łańcuszki, kolczyki, bransoletki. Wszystkie jeszcze z ceną, zazwyczaj wysoką. Otworzyłem następną szufladę. Leżał w niej zestaw gadżetów erotycznych. Nie używała ich ze mną. Najdziwniejsza była jednak znaleziona w pawlaczu nieco pognieciona trąbka z certyfikatem informującym, że piętnastego stycznia 1934 roku podczas koncertu w Nowym Orleanie używana była przez Louisa Armstronga i warta jest piętnaście tysięcy dolarów.

A kobiety dwulicowe nakładają rano dwa makijaże czy jeden?

97.12

Siedziałem z chłopakami przy piwie. Było nas czterech. Rozmowa zesłała na muzykę, potem na Marysię Jezus. Lubiła jazz, a któryś z nich powiedział, że to zrozumiałe w jej przypadku, bo gatunek ten powstał w Nowym Orleanie, w dzielnicy prostytutek Storyville.

Pomyślałem o tej trąbce. Marysia często słuchała pochodzącego stamtąd Louisa Armstronga, którego ojciec był marnie zarabiającym robotnikiem w fabryce produkującej terpentynę, a matka i siostra z konieczności zostały prostytutkami.

– Nie żeń się z nią – rzekł jeden z nich. – Ten jej jazz jest podejrzany. A poza tym rude są fałszywe, mówię ci.

– Bredzisz, stary – zaprotestowałem, dając mu w mordę. – Wiewiórki też są rude. A czy widziałeś chociaż jedną fałszywą wiewiórkę?

– Może nie wiesz, ale przynajmniej dwóch z nas z nią spało – dodał drugi.

Nie wiedziałem. Łącznie ze mną to trzech z czterech. Trzy czwarte męskiej populacji, statystycznie rzecz biorąc. Temu drugiemu na wszelki wypadek też dałem jednak w mordę. I od tej pory po prostu nie wierzę w statystyki.

97.13

W kwestii dalekosiężnych perspektyw warto mieć świadomość, że nawet najpiękniejsze nogi kończą się dupą.

Marysia Jezus często żądała, żebym ją klepał po tyłku. Z całej siły, żeby potem były czerwone ślady. No to ją klepałem, co mi tam. Każdy by klepał. Lubiła dominujących mężczyzn, może dlatego w końcu wybrała pracę w policji. Dla wszystkich to był szok, zwłaszcza gdy po czterech latach została komisarzem, co jak na dziewczynę z niepewną przeszłością było dość dziwne.

97.12

W irlandzkim pubie

Ten klient od razu zwrócił uwagę Tymona. Potężnie zbudowany, długie włosy, czarna broda. Nie wyglądał na Irlandczyka. W dodatku zamawiał wódkę, a nie piwo lub whisky. Do nikogo się nie odzywał, tylko pił. Od czasu do czasu łypał złym okiem na dwóch rudowłosych młodzieńców siedzących przy sąsiednim stoliku.

Tymon przyjechał z Łodzi do Irlandii trzy lata temu. Od dwóch lat pracował w pubie odwiedzanym głównie przez Polonię i Polaków, po akcencie potrafił poznać, że ci dwaj to rodowici Irlandczycy.

Irytowali go. Wolałby, żeby poszli już do domu, chociaż zamawiali sporo i nie szczydzili napiwków.

– Jakie jest zdanie zawierające dziewięć wyrazów, w tym cztery kłamstwa? – zapytał jeden z nich.

– Nie wiem – przyznał drugi.

– Uczciwy Polak jedzie na trzeźwo własnym samochodem do pracy! – wypalił ten pierwszy.

Zarechotali.

– A to znasz? – zapytał ten drugi. – Przychodzi Irlandczyk do hotelu, w którym na recepcji pracuje Polka. I prosi ją: „Two tea to room two”. „Tam ta ram tam tam”, odpowiada mu recepcjonistka.

Znowu zarechotali.

Tymon zacisnął zęby. Codziennie słyszał takie dowcipy. Nie potrafił się jednak przyzwyczaić.

– A wiesz, że dziś siedmiu na dziesięciu Polaków żyje w stresie, a pozostałych trzech w Dublinie? – ponownie zaczął ten pierwszy.

Zanim zdążyli po raz kolejny zarechotać, rosły brodac z sąsiedniego stolika cisnął butelką. Rzut był celny. Jeden z mężczyzn osunął się na podłogę, trafiony w środek czoła. Drugi, chudy i wysoki, natychmiast się poderwał i ruszył w kierunku brodacza. Złapał za klapy i zamachnął się z całej siły. Tamten odskoczył, unikając ciosu. Rozpędzona pięść trafiła w pustkę. Chudy Irlandczyk lekko się zachwiał, a wtedy brodacz natarł na niego barkiem. Rudowłose, przerzucony w ułamku sekundy przez plecy, padł na środek stołu, przewracając szklanki.

Goście pubu zerwali się z sąsiednich stolików. Okrzykami zagrzewali do walki. Irlandczyk wstał i otrzepał się z okruszków szkła jak pies wychodzący z wody. Z kilku miejsc na twarzy sączyła mu się krew. Złapał butelkę po piwie i denkiem uderzył o kant stołu. Denko odpadło i w rękę mężczyzny pozostała część butelki o krawędziach ostrych jak sztylety.

– Wal w Polaka! – podpuszczał ktoś z tłumu.

Skąd oni wiedzą, że to Polak? – przemknęło przez myśl Tymonowi. – Trzeba jakoś ratować rodaka.

Wyjął spod blatu kij bejsbolowy i wyszedł z kontuaru. Tymczasem brodac sięgnął do kieszeni. Sekundę potem w jego dłoni zaśniło ostrze sprężynowego noża. Przez chwilę stali tak w bezruchu. Trzech uzbrojonych mężczyzn. Jeden miał nóż, drugi stłuczoną butelkę, trzeci kij bejsbola. Pierwszy ruszył ten wysoki Irlandczyk.

97.14

To miała być, jak zawsze, miłość wieczna. Byłem już z Magdaleną, ale czasami spotykałem się jeszcze z Marysią Jezus. Już bez seksu, bo świata nie było poza Magdaleną.

Pamiętam jedno z naszych spotkań.

– Nadal bierzesz pieniądze od mężczyzn?

– Jasne. Co miesiąc od pewnego grubego inspektora.

– Nie masz już tego dość?

– Nie, przecież od niedawna pracuję w policji.

Kupowałem róże. Dla Marysi trzy czerwone, bo zawsze takie ode mnie dostawała, dla Magdaleny trzy żółte. Raz przez pomyłkę wręczyłem Magdalenie te przygotowane na imieninową imprezę Marysi Jezus. Uśmiechnęła się wtedy i rzuciła mi na szyję.

– Czerwone! Nareszcie czerwone jak miłość.

Zrobiło mi się gorąco. Ale nie dlatego, że miłość to efekt cieplarniany w środku człowieka.

97.15

Takie ogłoszenie bym dał: „Szukam kobiety, doświadczonej specjalistki od nieporządku, która zrobi bałagan w mojej głowie. Tylko poważne oferty”.

Na pewno sporo kobiet by odpowiedziało, bo powodowanie bałaganu w głowach mężczyzn kobiety traktują misyjnie.

97.16

Radzę sobie nieźle, to znaczy, że wewnątrz jako tako, ale zewnątrz jestem strasznie wymiętolony. Potrzebna mi przynajmniej pomoc do prasowania, raz w miesiącu na kilka godzin. Z prasowaniem zupełnie sobie nie radzę. Dałem ogłoszenie. W ciągu dnia odpisało dziesięć dziewczyn, w tym trzy z kwalifikacjami na międzynarodową stację kosmiczną, a nie na żelazko.

Pierwsza z nich: „Ukończony Uniwersytet Medyczny (ratownictwo drogowe), obecnie: Wydział Elektrotechniki Politechniki Warszawskiej, znajomość programów Microsoft Office, Excel, Lotus, pakiet Adobe, PowerPoint, assembler programisty, język hiszpański – certyfikat DELE Intermedio, język angielski – certyfikat IELTS, język niemiecki – certyfikat ZMP”.

Druga: „Licencjat na Wydziale Anglistyki Uniwersytetu Jagiellońskiego, obecnie Akademia Ignatianum, Instytut Kulturoznawstwa, zaoczne studia językowe w Łodzi (italianistyka i germanistyka), dodatkowo znajomość angielskiego i hiszpańskiego, podstawy francuskiego”.

Trzecia: „Akademia Sztuk Pięknych (malarstwo), indywidualne wystawy w Bremie i Londynie. Języki: polski i litewski, angielski na poziomie podstawowym”.

Patrzę na kwalifikacje tych dziewczyn i myślę, że to nie one mnie, lecz ja im powinienem prasować. Za moich czasów w szkole uczyło się tylko rosyjskiego. Tej trzeciej boję się więc najmniej, przynajmniej nie straszy tymi językami jak siedmiogłowe smoki.

97.17

– Nazywam się Migle, Migle Tulicka.

– Migle? Co to za imię?

– Migle to po litewsku mgła. Urodziłam się na Litwie.

Mgła Tulicka. Czy można się pięknie nazywać?

– Dobrze, niech pani jutro przyjedzie.

97.18

Mam prowadzić nowy program w Funeral TV. To przyszłościowa stacja z propozycjami dla tych, którzy mają dość programów o remontowaniu domów, przeprowadzkach, sukniach ślubnych i organizowaniu urodzin dla dwuletnich dzieci. Będzie się zajmować rzeczami funeralnymi, czyli ostatecznymi. Niestety, nic śmiesznego, ale przeprowadzili badania, z których wynika, że na świecie nie ma ani jednego człowieka, którego śmierć nie dotyczy. No, może z wyjątkiem Chrystusa, ale i on został przecież na trzy dni pogrzebany.

97.19

Powiem ci coś. Jako ludzie jesteśmy nieskończenie głupi. Uczymy się, pracujemy, gromadzimy przedmioty. Z czasem człowiek staje się stary, a przedmioty – zabytkowe. Zaczynamy łykać tabletki, by pamięć w odpowiedniej chwili podpowiedziała nam, że powinniśmy umrzeć. Tymczasem ludzie znacznie więcej czasu spędzają po śmierci niż za życia.

97.20

Gdyby przyszła policja, to nic nie wiem, niczego nie pamiętam. Rozmawiałem akurat przez telefon. Zadzwoniła ta dziewczyna, Tulicka. Otworzyłem drzwi, zbaraniałem na jej widok, bo to nieziemsko urocza, piegowata, ruda piękność o szarych oczach. Wskazałem kierunek, poszła do prasowni, uśmiechnęła się po drodze, też się uśmiechnąłem, ale to taka cała wymiana uprzejmości między nami, a nawet komunikatów. Potem, czytając książkę, przysnąłem na kanapie; obudziła mnie po trzech godzinach, wychodząc:

– Hej, może się dogadamy, tam przy prasowni ma pan zupełnie pusty pokój. Wynajmie mi pan? Zależy mi, bo na uczelnię mam stąd pięć minut.

– Nie myślałem o tym.

– To może spróbujemy na okres próbny?

– Nie, raczej nie, dziękuję.

– Będę panu w zamian prasować i organizować jedzenie.

– Nie trzeba organizować, przecież mam kuchnię.

– Niech pan nie żartuje. Kuchnia jest tak brzydka, że po wejściu tam chce się zamówić jedzenie na telefon.

97.21

Pokój na parterze od lat jest pusty. Kiedyś myślałem, by go komuś wynająć, powstrzymywała mnie jednak wizja codziennej konieczności rozmawiania z obcą osobą, uśmiechania się i zagadywania o pogodę z niezmiennym zdumieniem, że dziś jest akurat taka. Pogoda zawsze się nadaje do zdziwienia, jest albo za gorąco, albo za zimno, albo zbyt długo pada lub od tygodni nie pada wcale. Zdziwienie słyhać też wówczas, gdy pogoda przestaje się popisywać i w końcu jest w sam raz.

Bałem się też wspólnego korzystania z kuchni, zwłaszcza rano, gdy rozespany schodzę nastawić kawę, nieogolony i w samych bokserkach, a tu ktoś robi sobie śniadanie, smaruje chleb masłem, kroi pomidora albo smaży jajecznicę. Gdy jednak patrzę na tę dziewczynę, wydaje mi się, że miło byłoby widzieć każdego ranka, jak się krząta przed wyjściem z domu, szuka portfela i dokumentów albo na przykład kluczy do mieszkania. Z samego rana kobiety zawsze czegoś

szukają. Nie spotkałem takiej, która opanowała kosmos swoich drobiazgów, nie mówiąc już o torebce, czarnej dziurze, gdzie wszystko znika i nic się nie może odnaleźć.

Miło byłoby rano widzieć jej śmieszny, nieco zbyt zadarty nos – wygląda, jakby dzieciństwo spędziła przyklejona do szyby wystawowej. Białe, prawie niewidoczne rzęsy i oczy tak szare, że w każdej chwili można się spodziewać burzy. No i te piegi. Nawet uszy, powieki i wargi ma piegowate. Plecy pewnie też.

Na pewno nie jest piękną. Ale ma w sobie coś urzekającego. Dziewczęcy wdzięk, dołeczki w policzkach, zalotny uśmiech. Ma też coś brzydkiego. Kształt uszu, spiczastych jak u elfa, i równie spiczasty podbródek – taki na ilustracjach dla dzieci mają zazwyczaj złe czarownice. Usta, dla odmiany, ma przegadane. Bardzo duże, pełne obietnicy. Ale oczy od razu są innego zdania i ostrzegają, że usta zwodzą i obietnica nie będzie spełniona.

97.22

Wcale nie marudzę, ale są takie dni jak dzisiejszy, że nikt do mnie nie dzwoni, nie pisze, nie kocha mnie, ani nawet o mnie nie myśli, i mam wrażenie, że nawet ziemia mnie przyciąga tylko z przyzwyczajenia. Dom prowadzę samodzielnie, gotuję dwa razy w tygodniu, nie przeszkadza mi ta sama zupa kilka dni z rzędu. Sprzątać też wolę sam, robię to niemal odruchowo – myję od razu każdy użyty nóż albo talerzyk. Czasami łapię się na tym, że podczas przyrządzania śniadania sięgam po ten sam nóż kilkakrotnie, za każdym razem płucząc go potem i wycierając. Może to jakaś nerwica. Nie wnिकam, nie chcę wiedzieć.

Kiedy mieszkałem z Marysią Jezus, a potem z Magdaleną, zauważyłem, że osoba przy zlewie traktowana jest inaczej niż pozostali domownicy. Nikt od niej niczego nie chce, bo ma mokre ręce, nikt o nic nie prosi, bo jest w wyraźny sposób zajęta. Dlatego po każdym posiłku od razu zajmowałem miejsce przy zlewie. Kiedy uczyłem się roli, pisałem albo przeglądałem nowe scenariusze, zawsze ktoś wchodził do pokoju i zwracał głowę. Bo wiadomo, jeśli pracujesz w domu, nie jesteś zajęty. Mycie garnków i talerzy to co innego, konkretna robota. Dlatego w naszym domu nigdy nie było zmywarki. Za nic w świecie nie zrezygnowałbym ze swojego azylu przy zlewie. Teraz mam go niby w całym domu, ale azyl rozciągnięty na całą przestrzeń staje się pułapką.

97.23

Prasa donosi, że brytyjskim astronomom z Keele University po raz pierwszy udało się zaobserwować planetę podobną do Ziemi. Jest ona jednak o tyle lepsza od Ziemi, że bez Ziemian.

97.24

Codziennie wrzucam do kosza w pralni jeden T-shirt lub koszulę, dzinsy co dwa tygodnie, na wizytę Tulinki musiałbym za długo czekać, więc coś mnie kusi i pod pretekstem nagle nagromadzonych rzeczy do prasowania pieroż wszystkie swoje czyste ubrania i dzwonię po dziewczynę. Przyjeżdża w południe, częstuję ją kawą, potem herbatą i ciastkami. Bardzo jej przeszkadza w tym prasowaniu, ale jest gorąco, a ona pochyla się nad żelazkiem w mocno wydekoltowanej bluzce. Piersi kobiety są jak góra lodowa, zazwyczaj tylko jedna dziewiąta na wierzchu, ale i tak jest to widok tak wspaniały, że co kwadrans przynoszę kolejną herbatę; na szczęście nie jestem głupi i parzę w małych filiżankach, a nie w półlitrowym kubku. Ale i tak po

godzinie kończą mi się wszystkie ciastka i widzę też, że dziewczyna już nie wypije więcej herbaty.

00.08

Noc, która była koszmarem

Ochroniarz zamknął za dziewczyną drzwi do podziemia willi. Wchodząc po schodach, czuła jego wzrok na swoich biodrach. Niech patrzy – życzyła sobie w duchu – niech o niczym innym nie myśli. I rzeczywiście, niczego się nie domyślił. A to on, rozpoznała go, był przecież wśród tych mężczyzn, którzy zabrali jej klientowi teczkę z dokumentami o ukrytym majątku Grohmanów.

Pamięta tamtą noc doskonale. Siedziała na tylnym siedzeniu taksówki, jechali Zgierską. Jej stały klient, znany w Łodzi biznesmen, siedział obok niej, rozmawiał przez telefon z kimś, kto miał mu pomóc w dostaniu się do jakiejś skrytki. Starał się mówić półsłówkami, ale mężczyznom po alkoholu półsłówka przechodzą często w wylewne zdania. Zrozumiała więc wystarczająco dużo. Wiedziała znacznie więcej niż ci, których niebawem miała spotkać. Domyśliła się wtedy, że jej klient został przez swojego rozmówcę zdradzony.

W drodze zebrało mu się na amory i kazał zatrzymać taksówkę na parkingu przy Zgierskiej. Kierowca dyskretnie udał się na spacer. Musieli być śledzeni, bo po paru minutach podeszło do nich dwóch mężczyzn. Jeden wyciągnął ją z samochodu, wyzwał od dziwek i kazał się wynosić. Odbiegła kilkadziesiąt metrów i schowała się za drzewem.

Widziała, jak mężczyźni szarpali jej współpasażera. Chcieli się czegoś dowiedzieć, ale on tylko rozkładał ręce. W końcu powlekli go na tyły cmentarza. Wtedy wrócił kierowca taksówki. Zaskoczony, rozglądał się w poszukiwaniu swoich pasażerów. Być może pomyślał, że zrezygnowali z dalszego kursu, bo zajrzał do bagażnika, by sprawdzić, czy zniknęły również ich rzeczy. Zobaczył teczkę, wyjął ją i otworzył. Wtedy zaskoczył go pierwszy z tych zbiorów. Obezwładnił kierowcę jednym ciosem karate. Zawartość teczki wysypała się na trawę. Podbiegł drugi, pośpiesznie zebrali porozrzucane rzeczy i z teczką zniknęli w ciemnościach.

Zanim dobiegła na miejsce, kierowca wstał z ziemi i chwając się, wsiadł do samochodu. Zdyszana patrzyła, jak odjeżdża. Zrezygnowana padła na kolana i zanurzyła ręce w trawę. Pod palcami poczuła dziwny dotyk. Metaliczny, ale jednocześnie miękki, ciepły. Wyłuskała przedmiot z trawy i podniosła do oczu. Złota nitka nawinięta na drewnianą szpulkę?

Wrzuciła do torebki i ruszyła w kierunku wyjścia z parku. Usłyszała syrenę radiowozu, a zaraz potem zobaczyła ostre światło jego reflektorów. Auto pędziło wprost na nią. Oślepiąca zasłoniła dłońmi oczy. Usłyszała, jak wóz ostro hamuje, potem w nocnej ciszy rozbrzmiał stanowczy męski głos:

– Na ziemię! Kłąć się na ziemię! Policja!

Pomyślała, że to jakiś koszmarny sen. Posłusznie położyła się na ziemi, mając nadzieję, że zaraz zacznie świtać i się z tego koszmaru obudzi.

97.25

– Tu Tulicka – dzwoni z samego rana. – Dostałam wypowiedzenie z mieszkania, muszę za tydzień się wyprowadzić. Mogę u pana zamieszkać na miesiąc, a będę panu prasować? Proszę, proszę.

To ich taki podstęp. Kuszą tymi swoimi głosikami „proszę, proszę” i wiedzą, że nikt się temu nie oprze.

– Przez miesiąc? Ale ja nawet nie mam tylu rzeczy do prasowania.
– To ja będę na bieżąco gniotła.
– Zastanowię się.
Dzwoni ponownie po minucie.
– Przepraszam, to chyba dziwnie zabrzmiało.
– Nie, całkiem przyjemnie.
– To dobrze, bo ja jednak lepiej prasuję, niż gniotę.
– A ja na odwrót.
– No widzi pan, jak bardzo się w takim razie przydam? Nie wiem, jak kobiety to robią, że wystarczą dwa zdania, a niedopowiedzeń jest jak z dziesięciu.
Słowa i ręce łatwo utrzymać przy sobie, ale nie myśli. Wiodą mnie na pokuszenie.
Kończy pod wieczór, wyciągam z piekarnika pizzę, Tulinka zjada z apetytem, za oknem pada deszcz, a z radia akurat śący się piosenka ze słowami Agnieszki Osieckiej.

„A na deszczu diabły rosną, diabły sieje wiatr.

Trzymaj mnie za rękę mocno, bo się skończy świat”.

Rozmawiamy o jej przeprowadzce, do której jestem już absolutnie przekonany, na dowód czego wręczam jej klucze. Od razu wrzuca je do torebki, przy okazji wyciąga pomadkę i maluje usta, a ja wiem, że kiedy odejdzie, znów wszystko stanie się szare jak pogoda za oknem, smutne i dżdżyste, więc gdy na chwilę idzie do łazienki, zaglądam do torebki, którą zostawiła na krześle, i wyciągam czerwoną szminkę. Chowam ją do kieszeni i przez resztę wieczoru patrzę na wargi dziewczyny, żeby zapamiętać ich kształt i później wyobrazić je sobie na swoich. Potem odprowadzam ją na przystanek, a kiedy wracając, biegnę przez park, tak ponury i ciemny, że przestaję wierzyć w kolory, ściskam czerwoną szminkę w dłoni. Kiedy to nie wystarcza, otwieram ją i przypominam sobie, jak ten czerwony kolor wyglądał na ustach.

97.26

Przygotowuję pokój dla panny Tulickiej. Na okres próbny, jak to powiedziała. Wynoszę z pokoju kaktusy i książki. Kaktusy są po Magdalenie. Książki moje, jeszcze z czasów najodleglejszej młodości. Miałem wtedy kilkanaście lat i absolutną szajbę na punkcie czytania. Nie do uwierzenia.

Pamiętam, jak pożyczyłem z biblioteki *Księżę strachów* – tak mi się spodobała, a w księgarniach jej nie było, że przepisałem ją sobie ręcznie. Całą – do trzech brulionów. Mogłem po prostu powiedzieć, że zgubiłem, ale przepisałem. Nie mam pojęcia dlaczego. Może byłem tchórzem i bałem się przyznać do zguby.

Ojciec cały czas się złościł, że kupuję za dużo książek. Sam miał tylko jedną – poradnik naprawy fiata 125p. Na studiach mieszkałem jeszcze z rodzicami. Zajmowaliśmy dwupokojowe mieszkanie, nieco ponad czterdzieści metrów kwadratowych. Ojciec chciał obszerniejsze, co jakiś czas pisał podania, ale przepisy w PRL-u były takie, że na trzy osoby większy metraż nie przysługiwał. Wszędzie wisiały półki. Nawet w przedpokoju. Na jednej były kapelusze, na pozostałych książki. Kiedyś przyszedł ktoś ze spółdzielni mieszkaniowej, zobaczył je i powiedział, że jest taki przepis lokatorski, zgodnie z którym można się starać o dodatkowy pokój, jeśli ma się bibliotekę zawierającą trzy tysiące egzemplarzy. Ojciec zabrał się do liczenia. Wyszło dwa tysiące dziewięćset pięćdziesiąt. Złożył wniosek do spółdzielni, a ja dostałem od niego pieniądze i polecenie, by dokupić brakującą liczbę. W sumie się sfrajerował, bo potem nikt z administracji już nie policzył tych książek. Po roku otrzymaliśmy przydział na większe mieszkanie. Dobrze, że w tamtych czasach nie było e-booków.

Książka – porozumienie między rozdziałami.

00.09

Bójka w pubie

Trzymając w ręku stłuczoną butelkę, Irlandczyk ruszył w kierunku brodacza. Ten podrzucił w dłoni nóż sprężynowy, złapał za ostrze i podniósł rękę, gotowy do rzutu.

Tymon jednym susem znalazł się między nimi. Dla barmana pracującego w tej części Dublina, gdzie przychodzą głównie robotnicy z doków portowych, takie bójki to nie pierwszozna. Uniósł kij bejsbolowy i krzyknął ostrzegawczo:

– Dostanie w łeb ten, który natychmiast nie odrzuci broni!

Tamci się zawahali. Brodacz opuścił rękę. Zwolnił blokadę ostrza i powolnym ruchem dłoni wsunął je w rękojeść. Irlandczyk natychmiast wykorzystał okazję. Skoczył do ataku.

Tymon nawet nie ruszył się z miejsca. Wykonał półobrót nadgarstkiem. Nie za mocny, nie za lekki, taki w sam raz, żeby lekko ogłuszyć. Widać było wprawę. Dwudziestosześcioletni kij głucho uderzył w głowę napastnika. Ten się zachwiał, upuścił szkło i miękko klapnął na podłogę.

Za oknem słychać już było sygnał zbliżającego się radiowozu. Tymon przez chwilę się wahał. Nie chciał kłopotów.

– Jesteś z Polski? – zapytał brodacza.

– Tak. Z Sieradza.

– A ja z Łodzi.

Podali sobie ręce.

– Maks jestem – przedstawił się brodacz.

– Potem pogadamy – rzucił krótko Tymon. – Jest już policja. Stawaj za barem.

Sam nie wiedział, dlaczego chciał pomóc temu Polakowi. Ale nie było czasu, żeby się nad tym zastanawiać.

Brodacz jednym susem znalazł się za barem.

Radiowóz z napisem GARDA gwałtownie zahamował przed wejściem do pubu.

Wyskoczyło dwóch funkcjonariuszy z pałkami teleskopowymi w dłoniach. Tymona od początku dziwiło, że tutejsza policja nosi tylko pałki i gaz pieprzowy. Nie to, co w Polsce, gdzie nawet straż miejska może nosić broń palną. Pamiętał swój pierwszy zatarg ze strażnikami w Łodzi. Fakt, trochę pyskował, bo był wstawiony z okazji urodzin, może i się szarpał, ale to nie powód, żeby prowadzić go pod lufą pistoletu.

Policjanci weszli do pubu. Jeden z nich podszedł do leżącego na podłodze.

– Kto to zrobił? – zapytał.

– Była bójka – wyjaśnił Tymon. – Dwóch lekko wciętych po prostu się pobilo.

– A gdzie ten, co wygrał?

– Uciekł.

Drugi funkcjonariusz podszedł do baru. Coś mu nie pasowało. Z uwagą przyglądał się Maksowi.

– Nalej mi małe piwo – powiedział w końcu. – Na dziś skończyłem już służbę.

Maks rozejrzał się dookoła, sięgnął po kufel, postawił przed policjantem. Potem przypomniał sobie o tekturowych podkładkach. Sięgnął po jedną i podłożył pod kufel.

– Przestań tak macać to szkło, tylko nalej w końcu – fuknął policjant.

Po raz trzeci Maks złapał za kufel i postawił go pod nalewakiem. Potem złapał za uchwyt i przekręcił w lewo. Nic. Przekręcił w prawo. Nadal nic. Rękawem otarł pot z czoła.

– Barman, który nawet piwa nie potrafi nalać? – zapytał podejrzliwie funkcjonariusz. – Coś ty za jeden?

Mężczyźni przy stolikach zamarli w milczeniu. Bo w pubie można we wszystko uwierzyć, z wyjątkiem barmana, który nie potrafi nalać piwa.

97.28

Gdy w niedzielne popołudnie wchodzę na Facebooka, mam wrażenie, że na całym świecie nic nie budzi takiej grozy jak poniedziałek.

97.29

Jeśli przestawiasz meble w pokoju, to pamiętaj, że fotele bujane powinny stać przy zmyślonym stole.

Wszystko miało być gotowe na przyjęcie panny Tulickiej. Ale! Życie to jednak jest poezja. Gdy okazało się, że nawaliła spłuczka i na Facebooku zacząłem szukać wśród znajomych pomocy, znalazłem ośmiu poetów, pięciu literatów, trzech filozofów, lecz ani jednego hydraulika.

97.30

Ojciec Marysi Jezus był hydraulikiem. Już podczas drugiej wizyty w jej domu przeprowadziłem z nim męską rozmowę. A raczej – to on przeprowadził ją ze mną. Cały majątek należy do niego, więc niech na nic nie liczę. Jak zrobię dziewczynie krzywdę, to naśle na mnie bandziorów. Jak, nie daj Boże, dojdzie co do czego i będzie chciała wziąć ślub, a ja nie będę chciał, to naśle na mnie bandziorów. Jak będzie chciała zamiast ślubu alimenty, to mam regularnie płacić, bo jak nie, to naśle na mnie bandziorów. Tak czy owak, od początku wyglądało na to, że w każdej sytuacji naśle na mnie bandziorów.

97.31

Znalazłem hydraulika. Przyjeżdża, rozkręca spłuczkę, wyciąga trzy części, wkłada z powrotem, odjeżdża. Mija godzina, spłuczka znów przelewa. Dzwonię. Przyjeżdża, wyciąga trzy części, wkłada z powrotem, odjeżdża. Na drugi dzień to samo. Rezygnuję z hydraulika, dzwonię do autoryzowanego serwisu. Przyjeżdża serwisant. Logo firmy na samochodzie, logo na koszuli i na czapeczce. Na walizeczce też. Pełen profesjonalizm. Robi dokładnie to samo, co poprzednik. Mówię mu to. A on tłumaczy:

– Wie pan, tam jest taki popychacz, który trzeba dobrze włożyć. Wyobraź pan sobie, że wkłada pan codziennie takie same majtki i takie same spodnie. I wszystko leży jak należy. Aż przychodzi taki poranek, że wkłada pan wszystko jak zazwyczaj, a w majtkach nic się nie układa i kutas przez cały dzień wychodzi. I widzi pan, że spłuczka jest dokładnie tak jak z kutasem.

Aha. Nie ma to jak przejrzysta komunikacja z klientem. Nadal nie wiem, dlaczego przestało cieknąć.

97.32

Tymczasem znów w warzywniaku. Nad pomidorami włączone radio informuje o jakiejś decyzji prezydenta Donalda Trumpa.

- I co pani powie na to, co się dzieje w Ameryce?
- To jakieś niepoważne. Widziała pani jego żonę? Jakaś studentka...
- Nie, ona ma czterdzieści sześć lat.
- Niemożliwe.
- Mówię pani, syn sprawdzał. Ona tylko tak młodo wygląda.
- Co za niegodziwość z jej strony.

97.33

Nierozwiązywalny konflikt między kobietą a mężczyzną polega na tym, że kobieta chciałaby znaleźć mężczyznę, przy którym mogłaby się spokojnie zestarzeć, natomiast mężczyzna szuka kobiety, przy której mógłby się gwałtownie odmłodzić.

97.34

Stare, młode. Jak w koncepcji yin i yang z filozofii chińskiej, opisującej dwie pierwotne i przeciwne, lecz uzupełniające się siły obecne w całym wszechświecie.

Wszędzie znajduje się pierwiastek yin i yang, na przykład psy mają smutne oczy, ale wesoło przy tym merdają ogonem.

97.35

À propos. Przed chwilą usłyszałem w radiu prezesa partii rządzącej, który stwierdził w parlamencie, że trzeba zmienić konstytucję, bo „ta ma już prawie dwadzieścia lat”.

Nie wnika, czy trzeba zmienić, czy nie, ale przypomniała mi się taka scena z pewnego filmu polskiego. Dialogu dokładnie nie pamiętam, ale brzmiał mniej więcej tak:

- Słuchaj, ależ ta twoja dziewczyna ma przecież osiemnaście lat, a ty czterdzieści!
- I co z tego?
- No a co zrobisz za dziesięć lat, jak ona będzie miała dwadzieścia osiem, a ty

pięćdziesiąt?

- Rzucę staruchę.

97.36

Jeszcze raz à propos. Taki cytat mi się przypomniał:

„Kobieta nie musi być inteligentna. W porównaniu z wykształconymi intelektualistkami moja matka była na pewno prostą kobietą, która żyje dla swojego męża i dzieci, w towarzystwie naszych wykształconych pań czułaby się chyba nieswojo – ale dała narodowi niemieckiemu wielkiego syna!”

To Adolf Hitler.

Oraz taki:

„Kobieta przesiąka poglądami człowieka, z którym sypia. Ostatecznie (Natura czy Bóg – nie będziemy się spierać) nie po to tak skonstruowano mężczyzn, by setki tysięcy plemników się marnowały; wnikają one w ciało kobiety i przerabiają ją na obraz i podobieństwo mężczyzny, do którego ona należy”.

To dla odmiany Janusz Korwin-Mikke, polski europoseł, były kandydat na prezydenta Rzeczypospolitej. Taka sama żenada.

97.36

Niespodziewany atak

Policjant splótł dłoń na rękojeści pałki teleskopowej. Maks cofnął się o krok. Zerknął w kierunku zaplecza, jakby zamierzał uciec. Tymon skoczył za kontuar.

– Ja jestem tu barmanem, a to mój znajomy z Polski – powiedział, wskazując na Maksa. – Dopiero się przyucza.

Podszedł do nalewaka, nacisnął dźwignię. Na widok pianistego płynu policjant się rozpozgodził.

– Na koszt firmy – oznajmił Tymon, stawiając przed nim kufel pełen piwa.

– Z Warszawy? Czy może z Krakowa? – zapytał funkcjonariusz, jakby się chciał pochwalić wszechstronną wiedzą z geografii.

– Z Łodzi, *from the Boat* – przetłumaczył nazwę miasta.

– A, wiem, to nad morzem.

– W pewnym sensie.

Barman wołał nie wchodzić w szczegóły, zaś policjant nie dopytywał, w jakim sensie Łódź leży nad morzem. Spokojnie pił piwo, a jego towarzysz podszedł do Irlandczyka leżącego na podłodze. Ten akurat dochodził do siebie. Otrzeptał się i zaczął tłumaczyć, że nic takiego się nie stało – takie tam drobne nieporozumienie między znajomymi. Jak to przy piątym piwie.

Po kilku minutach policjanci wyszli. Obaj Polacy odetchnęli z ulgą.

– Jestem twoim dłużnikiem – podziękował Maks.

– To pomóż mi posprzątać – zaproponował barman. – Zaraz zamykamy, możesz mi potem postawić coś mocniejszego.

Kwadrans później pub opustoszał. Maks uwijał się między stolikami, zbierając opróżnione kufle. Tymon zamknął drzwi od wewnątrz i opuścił rolety. W półmroku, który wtedy zapadł, nie zauważył, że zza uchylonych drzwi toalety wysuwa się jakaś postać. Powoli, krok za krokiem, bezszelestnie przesuwała się wzdłuż ściany.

Maks odnosił na zaplecze ostatnią tacę z kufkami, gdy nagle silny cios zwałił go z nóg.

Leżał na plecach i gdyby nie potworny ból głowy, wydawałoby mu się, że to sen.

Wszystko dookoła wirowało, butelki, szklanki i kinkiety, kręciło się w tańcu, do którego zapewne był zaproszony. Chwilowo nie mógł jednak wstać, bo ciężka zmora z tego snu siedziała mu na klatce piersiowej, a jej lepkie palce dusiły go, mocno ściskając gardło.

Hałas zaalarmował Tymona. Przybiegł z wnętrza pubu i z przerażeniem znów zobaczył tego chudego Irlandczyka. Siedział na Maksie i z całej siły go dusił. Maks miał usta szeroko otwarte i wyglądał jak ryba łapiąca ostatnie hausty powietrza, którym bardziej się już dusi, niż oddycha.

Nie było czasu na myślenie. Tymon złapał ciężki stołek barowy i z całej siły uderzył nim napastnika. Cios odrzucił go na dwa metry.

Barman wypuścił stołek z rąk i ze zgrozą spojrział na dwa ciała leżące bez ruchu na podłodze.

97.37

Byłem w redakcji Funeral TV. Omówili program: bezbolesna śmierć, eutanazja, pogrzeby.

Eleganckie nekrologi. Przedstawili zarys biznesplanu. Imponujący spis zainteresowanych reklamodawców. Od firm odzieżowych (bo w odróżnieniu od żywych każdy nieboszczyk musi być porządnie ubrany) poprzez kwiaciarnie aż do zakładów pogrzebowych, które – jak się okazuje – w gronie firm średnich należą do najbogatszych w każdym mieście i nigdy nie bankrutują. Są jedynymi przedsiębiorstwami, które zawsze mają w bankach otwarte linie kredytowe, bo nigdy nie zabraknie im klientów. W kwestii organizowania domowych uroczystości sprawa jest oczywista: z wesela można zrezygnować, ale nie z pogrzebu. Śmierć trafia się częściej, niż nam się wydaje.

Założenie jest takie, że za rok będziemy mieli większą oglądalność niż wszystkie kanały o weselach i sukniach ślubnych razem wzięte. Na początek mam prowadzić cykl programów o mowach pożegnalnych. Tych, które wygłasza się uroczyście w domach, kościołach i na pogrzebach. Naczelnym zaznaczył, że podobało się, jak na deskach Teatru Starego deklamowałem monolog Hamleta. Fakt, w scenie I aktu V byłem tam z czaszką Yoricka w dłoni, wzorując się na gestach, które wypracował Laurence Olivier, ale nie sądziłem, że może to być odebrane jako mowa pogrzebowa.

Życie – tylko dwie sylaby. Brzmi tak krótko. Ale lepiej niż dwa razy dłuższa wegetacja.
97.38

W przymierzalni. Jakaś ona i jakiś on. Ona coś przymierza, on co rusz zagląda za zasłonę.
– Ten czy ten? – pyta w końcu ona.

A on na to:

– I tak najbardziej mi się podobają w moich dłoniach.

97.39

Dom z naprzeciwka zaczyna mnie niepokoić. Po zmroku od strony jego ogrodu obserwuję jakies cienie. Niekiedy w środku nocy słyszę odjeżdżający z rykiem silnika motocykl. To trochę dziwne jak na posesję, w której nikt nie mieszka.

97.40

– Kiedy chce się pani wprowadzić?
– Piekielnie mi się spieszy, więc gdy tylko znajdę wśród znajomych kogoś, kto mi przywiezie pudła z rzeczami.

– Dużo tych pudeł?

– Sześćset sześćdziesiąt sześć.

– Żartuje pani.

– Ale zredukuję je do czterech.

– Pani Migle, to może po nie podjadę?

– Świetnie! Ale proszę do mnie mówić Tulinka.

– Tulinka? Jej, dziękuję, to brzmi bardzo osobiście.

– Ale to od nazwiska. Najbliżsi mówią do mnie Mgiełka, od imienia.

97.41

Myślałem, że anioły mieszkają w niebie,

a tu patrzę na twój adres i nie mogę uwierzyć:
ul. Kota Trzpiota, gmina Wodzierady.
97.42

Ten moment, w którym winda nie działa, on wchodzi do ciebie na dziewiąte piętro, a ty, ubrana we wstążkę zamiast spódniczki, łapiesz go za dłoń, patrzysz słodko w oczy i pytasz:

– No, powiedz, co sprawia, że twoje serce bije tak szybko?

A on bez zastanowienia odpowiada:

– Schody.

97.43

Mieszka na dziewiątym piętrze wieżowca w jagodowym pokoju. Sama go malowała. Kupiła tylko puszkę farby, więc biała ściana prześwituje spod jagodowego koloru jak dno koszyka spod jagód. Podchodzę do okna, spoglądam w dół: czeluść. Strach stać przy takim oknie, do ziemi równie daleko jak do nieba.

– Wymarzone dla samobójcy – mówię, wychylając się ostrożnie.

– Tak – przyznaje Tulinka – to dlatego okna na klatkach schodowych pozbawione są klamek.

– Jak to?

– Skakali.

– Skakali?

– Przynajmniej raz w miesiącu, jesienią nawet częściej. Mieszkańcy tak się już przyzwyczaili, że tylko najbardziej ciekawscy wychylali się potem przez okna. W końcu administracja przysłała ekipę, która wymontowała wszystkie klamki.

– Przerazające.

– Ale jak ktoś jest zdeterminowany, to i brak klamki go nie powstrzyma – mówi Tulinka.

– To znaczy? Wybijają okna?

– Różnie. Do sąsiadki kiedyś zadzwoniła dziewczyna, mówiąc, że studiuje ze mną i chce zostawić podręcznik, który pożyczyła tydzień temu. Sąsiadka otworzyła drzwi, a tamta wbiegła, okno było uchylone, bo to lato, hyc i już jej nie ma.

Patrzę na okno. Łatwo wyskoczyć. Dwuskrzydłowe drzwi balkonowe sięgają od podłogi niemal do sufitu, przy czym z powodu oszczędności zamiast balkonu jest tylko ażurowa balustrada z kilkoma metalowymi prętami sięgającymi nieco powyżej pasa.

– Kurczę – usiłuję sobie przypomnieć – takie okna mają jakąś specjalną nazwę...

– Portfenetr albo *porte-fênêtre* – podpowiada Tulinka. – Od 2002 roku są dozwolone tylko w budynkach do dwudziestu pięciu metrów.

– A ten ile ma?

– Ponad trzydzieści.

– To twoje okno jest nielegalne.

Myślę o tej dziewczynie, która przyszła wtedy do sąsiadki.

– Niewiarygodne. Jak można tak wejść do cudzego mieszkania i skoczyć mu przez okno? – pytam Tulinkę.

– Ludzie w ogóle nie mają empatii, proszę pana, zwłaszcza samobójcy. Sąsiadka przez miesiąc chodziła na lekach uspokajających. Nikogo już nie wpuszcza. A jak ktoś dzwoni dwa razy, to w ogóle drzwi nie otwiera.

– Dlaczego?
– Bo samobójcy, zwłaszcza ci z miłości, są niecierpliwi jak listonosze i dzwonią przynajmniej dwa razy.

Miłość to błogi stan nieważkości, dopóki cię nie dosięgnie grawitacja.

00.11

Sekretne przymierze

Tymon z przerażeniem wpatrywał się w dwóch mężczyzn leżących na podłodze. Martwi czy może tylko nieprzytomni? Pochylił się nad Maksem. Dłonią dotknął tętnic szyjnych. Wyczuł regularny rytm. W porządku. Podszedł do Irlandczyka. Dostrzegł sączącą się krew. Widocznie padając, rozbił sobie nos, ale poza tym głowa wyglądała na nienaruszoną. Cała siła ciosu poszła w jego szerokie bary, mógł mieć pęknięte kości, ale wciąż żył.

Strach pomyśleć, co by było, gdyby stołkiem trafił tego Irlandczyka nie w bary, lecz głowę. Tymon odetchnął z ulgą. Niewiele brakowało, a zostałbym mordercą – przebiegło mu przez myśl. Przeszedł go dreszcz.

Maks jęknął i usiłował wstać z podłogi. Tymon pomógł mu usiąść na krześle. Spojrzeli na Irlandczyka.

– Musimy go stąd zabrać – zdecydowali zgodnie.

Furgonetka stała na tyłach kamienicy. Gdy Maks doszedł do siebie, wzięli nieprzytomnego pod pachy, powlekli najpierw przez zaplecze, potem przez ciemne podwórze.

Przez kilka minut kluczyli pustymi ulicami Dublina. W końcu Tymon zatrzymał wóz pod budynkiem z napisem National Hospital. Wytaszczyli Irlandczyka i wciąż nieprzytomnego posadzili na pobliskiej ławce. Odjeżdżali, gdy osunął się bezwolnie. Z daleka sprawiał wrażenie śpiącego.

Mężczyźni wrócili do pubu, żeby usunąć ślady bójki. Dopiero teraz zauważyli but Irlandczyka. Widocznie mu się zsunął, gdy go wlekli. Tymon zaklął.

– Zajmę się tym – zaproponował Maks. – Zabiorę ze sobą i wyrzucę po drodze.

– Dzięki.

– To ja ci dziękuję. W ciągu jednego wieczoru trzy razy uratowałeś mi skórę. Jestem twoim trzykrotnym dłużnikiem.

Tymon rozejrzał się po pomieszczeniu i ponownie zaklął.

– Co jest? – zaniepokoił się Maks.

– Zapomniałem o monitoringu. – Tymon wskazał na kamery wiszące pod sufitem. – Ta cała awantura się przecież nagrała.

– Nie możesz podmienić taśm?

– Jakich taśm? – zachnął się Tymon. – Starych filmów się naoglądałeś. Teraz to wszystko jest cyfrowe. Właściciel ma nagrania na twardym dysku swojego komputera. Gdy je przejrzy, to od razu wywali mnie z roboty.

Podszedł do baru, wyjął dwie kryształowe szklanki i butelkę whisky.

– Najdroższa, jaką tu mam, trzydziestoletnia – powiedział. – Chrzanić to wszystko. Czas wracać do Łodzi.

Nalał do szklanek. Potem drugi raz, trzeci. Kiedy w butelce było widać już dno, Maks nieoczekiwanie powiedział:

– Zawrzyjmy sekretne przymierze. Chcesz być bogaty?

A potem zaczął opowiadać. Nie wyglądał na pijanego, język tylko lekko mu się plątał, a gadał jakby od rzeczy. Jednak im dłużej mówił, tym coraz bardziej Tymon mu wierzył

i otwierał usta ze zdumienia.

97.44

Plaut, pisarz rzymski, jest autorem wyrażenia *nomen est omen*, w skrócie *nomen omen*, co znaczy mniej więcej to, że imię lub nazwa jest spełniającą się wróżbą. Tak mi się to przypomniało, gdy rozmawiałem z Tulinką, wioząc jej rzeczy do Łodzi.

– Wiesz, kiedyś mieszkałam we Wrocławiu na ulicy Dobrej, chociaż wolałabym na Złej, jak w domu, przynajmniej wiadomo, czego się spodziewać. No i na tej Dobrej dwa razy pobili mojego chłopaka, raz włamali nam się też do samochodu i raz do mieszkania.

– To jeszcze nic. Ja na studiach wynajmowałem mieszkanie w starej kamienicy. Na piątym piętrze bez windy, toaleta była wspólna dla trzech mieszkań, w piecu paliło się węglem przynoszonym z piwnicy, a ulica paradoksalnie nazywała się Wygodna.

– A we Wrocławiu mieszkałam też na Osiedlu Kosmonautów. I sąsiad zza ściany raz tak się nawalił, że wyszedł na balkon i wyskoczył z dziewiątego piętra. A ulica nosiła nazwę Lotników.

97.45

Fakt, pan Bóg stworzył wspaniałe niebo i piękną Ziemię. Jednak dla człowieka warunki do życia na Ziemi nie są sprzyjające, jak do tej pory nikt nie przeżył.

Zainspirowany opowiedzianą przez Tulinkę historią o samobójcach przygotowuję w redakcji pierwszą mowę pogrzebową dla Funeral TV. Mowa taka musi być podniosła i dostojna, z drugiej strony jednak kojąca. Zaczynam od słów świętego Antoniego z Padwy: „Nic pewniejszego od śmierci. Nic bardziej niepewnego od jej godziny”.

97.46

Poranek. Cudzoziemka w domu:

– Łazienka wolna? Wzięłaś już prysznic? – pytam.

– Nie, wolałam wziąć wannę.

Dobrze jest z kimś mieszkać. Nawet przez ścianę. Wieczorem słyszę, jak Tulinka znów bierze prysznic i idzie do swojego pokoju. Od wewnątrz przekręca klucz. Zamek jest stary, zapadka zaskakuje głośno, obwieszczając nieufność dziewczyny.

97.47

Po babci zostało kilka pojemniczków ze słynną wodą z Lourdes. Bardzo popularna uzdrawiająca woda zamknięta w plastikowych figurkach o kształcie Matki Boskiej. Aby się do niej dostać, trzeba odkręcić głowę, bo jakoś nikomu nie przeszkadza pomysł, że głowa Matki Boskiej jest zakrętką. Babcia miała opór przed tym i nie odkręciła figurek, a przecież woda nie mogła uzdrowić, gdy była zamknięta w butelkach. Inni takiego oporu nie mają, rocznie sprzedaje się kilka cystern wody po pięć euro za sto mililitrów.

Stały w pokoju, który oddałem Tulince. Zrobiło mi się przykro, gdy w koszu na śmieci zobaczyłem puste plastikowe korpusy oddzielone od głów. Ale nic nie powiedziałem, myśląc, że pewnie dziewczyna źle się poczuła w obcym miejscu, może ogarnęły ją niedobre myśli, przebiegł niepokojący dreszcz (kim chciałbym być? chciałbym być dreszczem przebiegającym po twojej

skórze), może dopadła ją chandra albo inny smutek i chciała się z tego wyleczyć.

97.48

Dom jest po babci. Pokój Tulinki wynajmowała kiedyś studentce ze szkoły muzycznej. Pamiętam wakacje spędzone kiedyś u babci. Miałem wtedy chyba dwanaście lat. Dziewczyna uczyła się grać na skrzypcach, strasznie rzępoliła.

Wynikła jednak pewna korzyść z jej obecności w tym domu. Łazienka była obok kuchni, miały wspólny pion wentylacyjny. Gdy dziewczyna brała prysznic, wchodziłem w kuchni na taboret i odsuwałem kratkę wentylacyjną. Z obu krutek zdjąłem siateczki, więc było widać doskonale. Dziewczyna miała ciężkie, wielkie piersi, namydłone lśniły jak dwa księżycy w pełni. Marzyłem o tym, żeby poczuć je w dłoniach. Pochwaliłem się chłopakom, przychodzili więc, żeby też popatrzeć. Brałem od nich za to po dwa złote. To nie było dużo za widok księżyców. Wstęp do zwykłego planetarium w Chorzowie kosztował wtedy pięć złotych.

97.49

W południe widzę Tulinkę w ogrodzie, ma na sobie sprane dżinsy i spłowiały podkoszulek, w ręku trzyma pędzel i maże nim coś po stojącym przed nią blejtranie, nawet nie zauważyłem, kiedy przywiozła sztalugi. Przez kilka minut przyglądam się bosej dziewczynie na rozświetlonej słońcem trawie. Stoi w jakiejś absurdalnej pozycji, lewą nogę ma zgiętą i opartą stopą o kolano prawej. Gdzieś widziałem zdjęcie wojownika, który znieruchomiał w podobnej pozycji, ale przynajmniej wspierał się oszczepem trzymanym w ręku, stał w tej postawie na czatach, co jakiś czas zmieniał nogę, mógł tak tkwić godzinami.

Dopiero teraz dostrzegam, że ma tatuaże. Na udzie – oplatającego je węża, na karku – dwie błyskawice, a na prawej łopatce – głowę kozła: z każdym pociągnięciem pędzla łopatka delikatnie się porusza, co wygląda tak, jakby kozioł z aprobatą kiwał głową.

Dziewczyna kołysze się lekko, zerka gdzieś w bok – na obiekt, który maluje, potem na obraz. Mam wrażenie, że coś na nim pisze, później kilka razy dotyka obrazu pędzlem, delikatnie, jakby stawiała kropki po napisanych zdaniach. Ciekawe, czy obraz, na którym są słowa, maluje się, czy pisze.

Nagle wojownik mnie spostrzega i szybko odkłada pędzel. Opuszcza drugą nogę na ziemię i przesuwa sztalugę tak, żebym na pewno nic nie zobaczył. Jestem teraz pewien, że naprawdę stał na czatach.

Dziewczyna się uśmiecha i macha do mnie ręką, po czym mówi, że na dzisiaj już dość i zasłania obraz płótnem wiszącym na sztaludze.

Pytam, co maluje, ale wojownik kładzie jej palec na ustach i widzę, że razem z nim przyszedł jakiś przesąd albo tajemnica i nic się nie dowiem, zanim praca nie zostanie skończona, o ile w ogóle on zechce, żebym się czegoś dowiedział.

Dziewczyna przynosi zawinięty obraz do domu i od razu wstawia go do swojej sypialni, a wojownik robi się spokojny, widząc, że drzwi są zamykane na klucz. Dostrzegam na jego twarzy ulgę, która mnie nie dziwi, bo w nocy bał się o śpiącą dziewczynę, a teraz się niepokoi o niedokończony obraz. Głupio jednak myśli ten wojownik. Przecież gdybym rzeczywiście miał wejść do tej sypialni po kryjomu, to z pewnością wolałbym zsunąć kołdrę z dziewczyny niż płótno z obrazu.

97.50

Dzwonili z Funeral TV, bardzo zadowoleni z moich mów pogrzebowych. Pierwsza zgromadziła sto tysięcy, druga sto pięćdziesiąt tysięcy widzów – to dużo jak na początek startującego kanału. Reklamodawcy zadowoleni. Przybywa klientów. Episkopat Polski zasugerował wszystkim księżom prowadzącym parafie kupno rocznego abonamentu. Ciekaw jestem, co sądzą na temat mów pogrzebowych – kto jak kto, ale oni dobrze się na tym znają, fajnie byłoby wymienić uwagi. Na jutro przygotowuję kolejną mowę. Tym razem zaczniemy od świętego Jana Dwudziestego Trzeciego: „Życie przypomina podróż przez morze. Wyjeżdżamy, żegnając się i płacząc z powodu oddalenia od osób nam drogich, ale oto, kiedy przybijamy do drugiego brzegu, są inne osoby, które stoją już w porcie i na nas czekają”.

97.51

Mam urodziny. Czterdzieste trzecie. Chrystus w tym wieku obchodził dziesięciolecie zmartwychwstania. Ciekawe, czy nadal obchodzi tę rocznicę z poczuciem spełnionej misji.

97.52

Od rana pada. Tulinka wychodzi z pokoju i skarży się na brak w nim odpowiedniego światła, przez który nie może malować. Pyta o strych. Mówię, że ma do dyspozycji znacznie więcej. Dom składa się z parteru i piętra, ale tylko na parterze pokoje są wyposażone w drzwi. Piętro jest ciągiem pomieszczeń, niemal amfiladą, z pustymi ościeżnicami. Tulinka przynosi swój obraz owinięty płótnem, stawia w kącie, wędruje po jasnej, pustej przestrzeni i się nie może nadziwić:

– Moja matka cierpi na lunatyzm, musieliśmy ją zamykać na klucz. A tu całe piętro i żadnych drzwi do klucza nie ma.

Patrzy na mnie pytająco. Nie widzę powodu, żeby jej opowiadać, ta historia mieszka w tym domu i nie jest na wynos.

– To nie powieściowy catering, każde z nas ma swoje tajemnice – mówię. – Ty chowasz przede mną swój obraz, ja mogę schować historię.

Wydawało mi się, że jestem wysoki i przystojny, ale zmierzyla mnie wzrokiem i od tej pory mam metr siedemdziesiąt.

97.53

W Funeral TV nowy naczelny. Poprzedni zmarł na zawał. W redakcji mówią, że za bardzo wziął do serca tematykę programów. Relacja z pogrzebu będzie na żywo.

00.12

Niewłaściwa kobieta

Maks opróżnił duszkiem szklaneczkę whisky.

– Wszystko zaczęło się od tego, że spotkałem niewłaściwą kobietę – zaczął swoją opowieść.

– To tak jak większość z nas – roześmiał się Tymon. – Każda kobieta na początku wydaje się właściwa, a z czasem traci tę cechę.

– Ona nie tylko była niewłaściwa, była zła i zepsuta – uzupełnił Maks i opowiadał dalej.

W Łodzi pracował jako taksówkarz. Ale co to była za praca... Więcej stania niż jeżdżenia. Najczęściej czekał na postoju w pobliżu skrzyżowania Julianowskiej ze Zgierską. Nieopodal była mała agencja towarzyska. Dziewczyny chętnie korzystały z jego usług. Miły, uprzejmy, nie zadawał pytań, budził zaufanie. No i jeździł głównie w nocy. Czasem dzwoniły do niego i wiozł je do klientów, czasem robił po prostu zakupy. Przede wszystkim papierosy i alkohol.

Jedna z tych dziewczyn, Magda, zatrudniła się później w nocnym klubie. Takim na poziomie, z drogimi trunkami, tańcami na rurze i pokojami, które na sufitach miały lustra. Sporo musiała tam zarabiać, bo nie dawała już Maksowi pięciu złotych napiwku, jak do tej pory, lecz dziesięć, a gdy była pijana, to trafiło się nawet sto. W końcu został jej kierowcą. Nie stał już na postoju, lecz codziennie po południu podjeżdżał pod dom dziewczyny, wiozł ją do klubu i tam czekał. Czasami odwoził z klientami do restauracji lub ich domów.

Nasłuchał się przy tym zdumiewających historii. Mężczyźni w objęciach kobiet zachowują się nieobliczalnie. Zwłaszcza jeśli są to obce kobiety, takie na jedną noc. Potem można o nich zapomnieć i po miłych chwilach rozstać się bez zobowiązań. To pozbawia mężczyzn czujności. Mówią o wszystkim, zwierają się z najgłębszych sekretów. Skarżą się na swoje żony, chwalą dziećmi, opowiadają o kłopotach w pracy. Więcej powiedzą niż księdzu, bo łóżko to nie jest miejsce, w którym oczekuje się rozgrzeszenia.

Czasami chcą zaimponować. Zwłaszcza ci starsi, kiedy po sześćdziesiątce natrafią na młodą dziewczynę i rozum im odbiera. Magda miała trzech takich stałych klientów. Jeden potrafił powiedzieć żonie, że jedzie w delegację, a wyjeżdżał z Magdą na tydzień do ciepłych krajów. Drugi brał ją do najdroższych lokali. Płacił rachunki po kilkaset złotych, a gdy Maks odwoził go potem do domu, to widział, że mieszka na Limanowskiego, w kamienicy tak biednej, że część okien zabita była deskami. Najciekawszy był ten trzeci. Pracował w jakimś urzędzie, bo wiedział wszystko o mieście i polityce. Znał kilku łódzkich posłów i dwóch ministrów. Afiszował się tymi znajomościami. Dzwonił czasami do któregoś z nich i włączał w telefonie głośnik, żeby Magda słyszała.

Maks szczególnie dobrze zapamiętał jedną z takich rozmów. To była rozmowa z kimś z ministerstwa kultury.

- Miałeś mi powiedzieć, ile to może być warte – słychać było głos z głośnika.
- Miliony – odparł klient Magdy.
- Żartujesz? Miliony złotych?
- Euro.
- I nikt o tym nie wie?
- Tylko ja. Bo ten, który wiedział przede mną, już nie żyje. Wtedy Maks zaczął słuchać z uwagą.

97.54

Ojciec miał kochankę, do której chciał odejść, więc co i rusz szukał pretekstu. Chociaż dzięki trzem tysiącom książek otrzymaliśmy większe mieszkanie, on uważał, że z czasem znów staje się za ciasne. Nie potrafił sobie tej ciasnoty wytłumaczyć. Gdy uznał, że sytuacja stała się trudna do zniesienia, wezwał specjalistę od za ciasnych domów.

Ten obejrzał z uwagą wszystkie mury i powiedział:

- W państwa domu ściany i podłogi się zmniejszają.
- Jak to? Ściany nie mogą się zmniejszać! – zaprotestował ojciec.
- Wszystko jest kwestią globalnych przyzwyczajęń – odrzekł specjalista od za ciasnych domów. – Fizycy odkryli, że wszechświat się zmniejsza. Gdy był wielki wybuch, to się

rozszerzał, teraz ponownie się kurczy.

– Ale co to ma wspólnego z domem?

– Przestrzeń się kurczy, pana dom też.

Nad ranem dom stawał się niekiedy tak ciasny, że budził nas ucisk sufitu na piersi.

Pewnego dnia ojciec się wyprowadził i wtedy dom doszedł do siebie.

97.55

Czasami śni mi się to, co już kiedyś mi się śniło. Co znaczy, że niektóre sny nam się powtarzają. Ciekawe, czy można też śnić czyjeś sny i mieć je z drugiej ręki, czy może raczej z drugiej głowy. To mnie trochę brzydzi, nie chciałbym mieć snów używanych przez kogoś.

97.56

Chowam przed Tulinką historię domu babci, ale nie dość starannie, wręcz niechlujnie nawet, wystają z niej nie tylko pojedyncze słowa, lecz także całe zdania, które przy śniadaniu dziewczyna powoli wyciąga.

– W tym domu nigdy nie było więcej drzwi?

– Nigdy.

– Nie przeszkadzało wam tak mieszkać?

– To znaczy jak?

– No, bez drzwi wewnątrz domu.

– Jesteś tu pierwszą osobą, której to przeszkadza.

– Jakoś tak jestem przyzwyczajona, że drzwi raczej są i się je za sobą zamyka.

– Widzisz, wszystko jest kwestią przyzwyczajenia. Ja w ogóle nie wiedziałem, że powinny być jakieś drzwi. Nigdy ich tu nie było, myślałem, że to normalne, że właśnie to jest norma. Dopiero gdy kiedyś poszliśmy w odwiedziny do krewnych, zauważyłem, że coś jest nie tak. To było takie małe mieszkanko, chyba trzy pokoje, a kiedy weszliśmy do ciasnego przedpokoju, to widzieliśmy tylko drzwi – nic, tylko pozamykane przed nami drzwi. Pięć par zamkniętych drzwi. Zapamiętałem to, bo babcia od razu zemdląła.

– Opowiedz mi o niej. – Dziewczyna wstaje z krzesła i podchodzi tak blisko, że czuję ją przez cienką koszulkę. To jest ten rodzaj ciepła, który się chce zatrzymać w sobie, pachnący rozgrzanym ogrodem lub domem czekającym na święta. Mam ochotę zbliżyć się bardziej do źródła tego ciepła i zapachu, przytknąć nos, policzek, usta. Myślę: tak, to prawdziwa energia kobiety, najpiękniejsza na świecie, cenniejsza niż wszystkie inne źródła energetyczne, w tym ropa naftowa i gaz ziemny – gdybym tylko potrafił rozprowadzać je rurociągiem, byłbym najbogatszym człowiekiem na świecie.

– O czym myślisz? – niepokoi się Tulinka, widząc, że dziwnie się w nią wpatruję.

Odpowiadam zgodnie z prawdą:

– O rurociągu.

97.57

Trochę się wstawiłem na stypie naczelnego Funeral TV, w dodatku transmitowanej na żywo. Gdy jestem wcięty, zawsze przychodzą mi do głowy absurdalne pomysły. Nie wiem, po co się mówi, że pomysły przychodzą do głowy, no bo niby gdzie indziej mają przychodzić, jeśli nie do głowy, przecież do dupy nikomu nie przychodzą, chociaż czasami na to wygląda.

Zaproponowałem zarządowi nową usługę: uroczyste nekrologi. Pomysł się spodobał, co jest dla mnie istotną nauczką: nie mów po pijaku rzeczy absurdalnych, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto największy idiotyzm potraktuje na serio i wprowadzi w życie. Pamiętam, że Józef Pinior tak mawiał, ten, który tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego pobrał z banku osiemdziesiąt milionów złotych składek delegalizowanej wówczas Solidarności i zdeponował je u kardynała Henryka Gulbinowicza we wrocławskiej kurii, ach, piękne to były czasy, księża pasali owieczki boże, a nie swoje brzuchy. No i ten Pinior zawsze przestrzegał, żeby nie żartować na tematy totalitarne, bo władza to usłyszy i potraktuje jako rozwiązania na serio. Do dziś ta przestroga wydaje mi się za rzadko brana pod uwagę.

97.58

Świt, patrzę przez okno – czarny kot siedzi na brzegu chodnika. Wygląda tak, jakby się zastanawiał, czy przejść na drugą stronę ulicy, czy jeszcze trochę poczekać. Ludzie nie mają pojęcia o odpowiedzialności, jaka spoczywa na czarnych kotach – ledwie się one obudzą, a już muszą się zastanawiać, komu dziś przynieść pecha.

97.59

Bawi się wisiorkiem, który zawsze nosi na łańcuszku – złotym liściem paproci.
– Piękny – mówię, nie mogąc oderwać wzroku od jej szyi, smukłej, o subtelnie zarysowanych mięśniach sięgających obojczyków.
– Uwielbiam paprocie – odpowiada. – Przetrwały epokę dinozaurów, są stare jak zło, rosną prawie wszędzie, ale najchętniej na granicy światów, tam, gdzie kończy się światło i zaczyna ciemność.
– Moja babcia miała całą ich hodowlę, kiedyś ci opowiem.
– No właśnie. Dlaczego twoja babcia wtedy zemdląła? – Tulinka nie daje za wygraną i wraca do tematu.
– Kiedy?
– No, jak byliście w tamtym małym mieszkaniu, o którym ostatnio mówiłeś.
– Miała fobię, uraz taki. Gdy poznała mojego dziadka, była już mężatką. Mąż nie chciał słyszeć o rozwodzie. Akurat remontowali dom, ten dom, w przedpokoju było pełno cegieł. Raz pokłócili się na temat tego rozwodu, babcia zamknęła się w sypialni na klucz, a jej męża coś opętało. W nocy, gdy zasnęła, zamknął od zewnątrz okiennice i zamurował wejście do pokoju. Rano, gdy otworzyła drzwi, zobaczyła przed sobą świeżo postawiony mur. Ten jej mąż trzymał ją za nim przez dwa dni.
– A potem?
– Kupił jej kwiaty. Siedem goździków, bo tyle lat byli po ślubie.
– A ona co na to?
– Nie znosiła goździków. Powiedziała, że powinien to wiedzieć, a skoro nie wie, to jednak się z nim rozwiedzie.

97.60

Trwa ogólnonarodowa dyskusja na temat powrotu zajęć wojskowych do szkół, więc przypomniała mi się pewna historyjka z moich młodzieńczych czasów. Przytaczam ją, bo to jedyna rzecz, jaką zapamiętałem ze wszystkich paramilitarnych lekcji.

Zajęcia, które ma prowadzić major Talerzak. Wchodzi do klasy, a tam ktoś napisał na tablicy: „Major Talerzak jest głupi”. Wkurzony Talerzak biegnie po dyrektora. Tymczasem dyżurny zmazuje napis. Talerzak wraca i widząc pustą tablicę, odświeża napis: „Major Talerzak jest głupi”.

Po chwili wchodzi dyrektor i wskazując tablicę, surowym głosem pyta:

– Kto to napisał?

Major Talerzak pręży się i odpowiada:

– Ja, obywatelu dyrektorze!

97.61

Pierwsze uroczyste nekrologi dla Funeral TV przygotowujemy, trochę opierając się na filmie *Closer*, gdzie grali Natalie Portman, Julia Roberts i Jude Law. Dwie nominacje do Oscara i pięć do Złotych Globów. Jude Law wcielił się w postać osobliwego dziennikarza, który pisał nekrologi. To takie zajęcia, żadne dziwactwo, nie trzeba wzywać psychiatry, każdy musi z czegoś żyć. Jedni piszą wiersze, drudzy robią coś sensownego, na przykład leczą, uczą albo budują domy, inni na sam koniec piszą im nekrologi. No to Jude Law je pisał. Fragment jego rozmowy z Portman:

„– Dlaczego piszesz nekrologi?

– Marzyłem, że zostanę pisarzem, ale nie miałem własnego stylu. Właściwie brakowało mi talentu. Wylądowałem więc w dziale gazety z nekrologami, na Syberii dziennikarstwa.

– Opowiedz o tym, chcę wyobrazić sobie ciebie na Syberii.

– Naprawdę? Mówimy na to strona «neko». Jest nas trzech, ja, Graham i Harry. Kiedy umiera ktoś ważny, otwieramy zamrażarkę. Jest to plik komputerowy z nekrologami i życiorysami słynnych osób.

– Piszecie nekrologi żywych ludzi?

– Niektórych. Harry, wydawca, decyduje, kiedy pójdzie pierwszy. Sprawdzamy fakty.

O osiemnastej stajemy wokół ekranu i oglądamy stronę nowego wydania. Dokonujemy ostatnich poprawek, dodajemy eufemizmy dla zabawy.

– Na przykład?

– Był towarzyski, znaczy, że był alkoholikiem. Cenił prywatność – był gejem. Cieszył się swoją prywatnością – był zaciętym pedałem.

– Jakim eufemizmem byś mnie opisał?

– Była rozbrajająca.

– To nie jest eufemizm.

– Właśnie, że jest”.

Uroczyste nekrologi są drogą usługą, więc nie przerywamy ich reklamami. Zwłaszcza że nie jesteśmy telewizją publiczną. To byłoby niestosowne – przy pogrzebach, w chwilach ostatecznych reklamować piwo lub tabletki na wzwód – nie znam przypadku, żeby jakiś nieboszczyk po nich się podniósł.

97.62

Nie wiedziałem, że Tulinka jest w łazience, więc otworzyłem drzwi. Stała tyłem, w samych majteczkach pochylona nad wanną nakładała odżywkę na włosy. Udawała, że mnie nie widzi, chociaż zauważyłem drobny ruch jej bioder spłoszonych moją obecnością. Stałem tak przez kilka sekund i oboje udawaliśmy, że nas tam nie ma.

Zauważyłem, że nie goli pach, ale włoski ma tak delikatne, że chyba żadnemu mężczyźnie nie mogłoby to przeszkadzać.

Powinienem jutro oddać nowy odcinek powieści, ale do końca dnia nie mogłem napisać ani jednego zdania.

Nagie kobiety mają asa w rękawie. Oksymoron czy sofizmat?

97.63

Biłem się z myślami, w końcu dałem za wygraną. Nie robię dziś nic. Mam lekkie wyrzuty sumienia.

97.64

Nadal nie robię nic i mam wyrzuty sumienia. Ale powoli się z nimi oswajam.

Dzisiejsze lenistwo to tylko punkt wyjścia do jutrzejszej pracowitości.

97.65

Nigdy nie odkładaj do jutra tego, co możesz odłożyć na pojutrze.

Wyrzuty sumienia się oswoiły, merdam je za uchem.

Mam bardzo dużo zdolności, ale pochowały się ze strachu, że je wykorzystam.

97.66

W życiu nie widziałem tak czarującego uśmiechu, niemal nie schodzi jej z ust, tak jakby stanowił trwałe element jej wyrazu twarzy, to jest taki sympatyczny uśmiech z lekkim podniesieniem kącików ust, czasami jednak jej twarz jaśnieje w sposób prawdziwie szczodry, pokazując rząd idealnie białych i równych zębów, wtenczas zaczynają się śmiać do mnie także jej oczy, błyszczą, iskrzą się w nich małe ogniki, bywa, że odchyła głowę do tyłu, wtedy uśmiecha się także jej delikatny nosek, a skóra na małym dekolcie napina się lekko i wydaje się, że rozpromieniają się do mnie również jej drobne obojczyki.

97.67

Byliśmy w Luwrze.

Ale to od Ciebie

nie mogłem oderwać wzroku.

97.68

Zauważyłem, że maluje głównie akty.

– Skąd u ciebie taka fascynacja nagim ciałem? – pytam.

– Po prostu lubię nagość. Chyba przez matkę.

I opowiada. Jej matka jest charakteryzatorką. Zafascynowana kinem, z przejęciem po wielokroć opowiadała o współpracy z Waldemarem Pokromskim, najlepszym polskim charakteryzatorem, znanym w świecie filmowców bardzo dobrze, głównie z *Listy Schindlera*, *Pachnidła* i *Pianisty*. Była z nim w trakcie ekranizacji thrilleru Patricka Süskinda, wspaniałej

powieści przetłumaczonej na ponad czterdzieści języków; film kosztował pięćdziesiąt milionów euro i należy do najdroższych w kinie europejskim. Grali w nim Dustin Hoffman oraz Alan Rickman, którego poznała podczas kręcenia sceny orgii prawdziwie diabelskiej i bodaj największej na świecie. Brało w niej udział kilkaset osób, a tym z pierwszego planu najpierw trzeba było dorobić próchnicę, bo mieli zbyt porządne zęby jak na ubogich mieszczan z osiemnastego wieku, mama Tulinki więc im ją dorabiała. Potem pojawiły się problemy z tatuażami, bo znaczna część statystów miała bardzo nowoczesne, także kolorowe, w różnych miejscach ciała – kobiety na przykład kolibry, motyle i kotki na pośladkach, a mężczyźni trupie czaszki, węże oraz błyskawice. Trzeba było je zamalować. Jednak w trakcie prób okazało się, że podczas miłosnych uniesień silikonowe farby się ścierają, więc z kilkoma innymi charakteryzatorami mama Tulinki przebrała się w kostiumy z epoki i weszła w tę ludzką nagą cizbę, by w krótkich przerwach do dubli na bieżąco zamalowywać wyłaniające się tatuaże. Jeszcze ciekawiej było z owłosieniem łonowym i tym pod pachami, bo dziś, wiadomo, wszyscy wydepilowani, nierzadko także mężczyźni, więc tym rozkraczonym trzeba było domalować odpowiedni zarost, a i tak – mimo pracy pięćdziesięciu charakteryzatorów, pracujących od trzeciej nad ranem – paru nagusów zostało niedopilnowanych i współczesnego irokeza nad cipką można zobaczyć parę razy na filmie, jeśli się prześledzi arcydzieło klatka po klatce.

97.69

Dziś dwanaście tysięcy czterysta pięćdziesiąty dzień sporu o uchodźców. Uciekają z Bliskiego Wschodu i Afryki, ale nie tylko. Unia Europejska chce ich przygarnąć, Polska stanowczo odmawia, bo to są muzułmanie, a my – katolicy. Nie bardzo jednak wiadomo, co począć z kwestią miłosierdzia, bo Pan Jezus do niego namawiał, nie przewidując jednak okoliczności bieżącej polityki. Kościół czeka na objawienie, a tu w obszarze cudów jest flauta i nic się nie objawia.

Tymczasem dwie śliczne w poczekalni gabinetu stomatologii estetycznej.

– Zerwał z tobą, naprawdę?

– Powiedział, że jestem niegospodarna.

– Ty? Niegospodarna? Ocipiał czy co? Chyba nie po to byłaś dwa razy miss nastolatek, żeby być gospodarną?

– No.

– Ale o co mu konkretnie poszło?

– Przyszły do mnie dziewczyny i wrzuciłam do ekspresu całe opakowanie kawy, ale malutkie, takie na dziesięć deko, i całe przez wieczór poszło.

– Jaja se robisz. O dziesięć deko kawy się obraził?

– Bo to była specjalna kawa, kopi luwak się nazywa. Pięćset złotych dał za te dziesięć deko.

– Obłąd jakiś. Taka dobra?

– Jak dodasz śmietanki, to dobra. Ale powstaje z ziaren, które zjada jakieś takie zwierzę w Azji, podobne do lisa, potem jednak nie może ich strawić, wydała je i oni je wtedy zbierają, takie lekko sfermentowane, i sprzedają jako najlepszą kawę na świecie.

– Wkręcasz mnie.

– Przysięgam, jak mnie opierdolił, to sprawdziłam w internecie.

– Chcesz powiedzieć, że piłaś kawę wyjętą z kupy jakiegoś lisa?

– No tak się ją produkuje.

– To się nie dziwię, że cię rzucił. W życiu bym nie pocałowała nikogo, kto miał w ustach

wysraną kawę.

– Aleś ty głupia, przecież ją umyli.

– Swoją drogą, to dobrze, że rząd nie chce tych uchodźców z Azji. Nigdy nie wiesz, czego się można po nich spodziewać.

– No.

Mam uwagę nie tylko à propos polityki. Gdy przyjdzie odwilż, bałwany będą miały przechlapane.

97.70

W pociągu matka i dwie córki. Jedna tak pod dwadzieścia, druga z piętnaście lat. Ta starsza rozmawia przez telefon i co chwilę rzuca: „Mam na to wyjebane”, „Na to też mam wyjebane” i tym podobne. Ogólnie widać, że na wszystko ma wyjebane. Gdy kończy rozmowę, matka łagodnym tonem:

– Prosiłam cię, żebyś tak się nie wyrażała przy młodszej siostrze.

Na co młodsza siostra:

– Daj spokój, mamo, niech mówi, jak chce, i tak mam na to wyjebane.

97.71

Byłem na poczcie. Na pięć okienek jedno czynne, siedem osób w kolejce. Stoję, z nudów patrzę, co mają na półkach. Po prawej stronie okienka: *Księga patrioty*, *Obrona Poczty Gdańskiej*, *Ojca Grande przepisy na zdrowe życie*, Biblia. Dalej – mydło, obrusy, świece.

Nareszcie moja kolej.

– Poproszę kopertę bąbelkową A cztery.

– Nie ma.

Patrzę, co wystawione jest po drugiej stronie okienka: *Dania z grilla siostry Marii*, *Desery siostry Marii*, *Wypieki siostry Marii*, *Salatki siostry Marii*. Obok – batony, wafelki, guma do żucia.

Mam ochotę zapytać, czy ma kiszoną kapustę, bo przyszedł mi na myśl bigos.

00.13

Podsluchana rozmowa

Magda z klientem siedziała na tylnym fotelu samochodu. Maks obojętnie spoglądał przez okno na puste o tej porze ulice, udając, że nie podsłuchuje. Zresztą, jego pasażerowie byli na tyle pijani, że nie zwracali na niego uwagi.

Mężczyzna rozmawiał przez telefon. Głośnik nadal był włączony.

– Czego oczekujesz ode mnie? – dobiegł z niego głos.

– To jest wysokiej klasy zabytek, więc nie mogę tak sobie w nim grzebać. Potrzebuję jakiegoś pretekstu – wyjaśniał mężczyzna. – Najlepiej pozwolenia z ministerstwa, że niby inwentaryzacja czy coś...

– Czyj to zabytek?

– Grohmana.

– To ktoś z Platformy Obywatelskiej?

– Nie, nie. Chodzi o Henryka Grohmana, syna Ludwika.

– A, znaczy się z PiSu? – dopytywał głos z telefonu.

- Nie, nie, oni już nie żyją.
- To przykre. A co im się stało?
- Umarli – jęknął mężczyzna.
- No, domyślam się, że jak nie żyją, to umarli. – Głos w telefonie zaczynał być lekko

zniecierpliwiony.

– To byli przedwojenni fabrykanci, należeli do najbogatszych ludzi w Łodzi, ponoć ukryli gdzieś przed Niemcami olbrzymi majątek, a ja wiem gdzie – wyrzucił z siebie jednym tchem klient Magdy.

Przez chwilę panowała cisza.

– Przyjedź do ministerstwa w poniedziałek, pogadamy – odezwał się w końcu głos w telefonie.

Mężczyzna odłożył telefon. Przysunął się do niej, zadowolony z wrażenia, jakie na niej zrobił. Rzeczywiście, patrzyła na niego z podziwem. Wiele rzeczy słyszała od swoich klientów, ale po raz pierwszy była świadkiem rozmowy w tak ważnej sprawie. Ukryty majątek, układy w ministerstwie, wielka polityka... Aż zakręciło jej się w głowie.

Mężczyzna położył jej rękę na swoim kolanie.

– Nie możesz poczekać? – spytała.

– Nie chcę czekać.

Akurat przejeżdżali przez Zgierską koło parkingu przy parku na Julianowie.

– Maks, zatrzymaj tu samochód i zostaw nas na chwilę samych – poprosiła.

Zjechał posłusznie i zaparkował jak najbliżej cmentarza. Nie po raz pierwszy był świadkiem takich sytuacji. Magda była bardzo atrakcyjną kobietą i nie każdemu klientowi wystarczało cierpliwości.

Kątem oka zauważył parkującą po drugiej stronie furgonetkę. Wsiadł i poszedł w ciemną noc. Siadł na ławce i zastanawiał się nad tym, co przed chwilą usłyszał. Wiedział jedno. Magda jest na tyle uwodzicielska i sprytna, że wyciągnie od mężczyzny każdą tajemnicę.

97.72

Tulinka zabrała do pracowni wszystkie nożyczki, więc poprosiłem, żeby wycięła mi z gazety piramidę zdrowego żywienia, ale po zajęciach była tak rozkojarzona, że wycięła piramidę ludzkich potrzeb Masłowa, może po prostu skojarzyło jej się nazwisko. Patrząc zatem na tę piramidę i wszystko jest dość jasne – od dołu potrzeby fizjologiczne, potem bezpieczeństwa, miłości i przynależności, na górze samorealizacji, tam, gdzie w piramidzie zdrowego żywienia wisienka na torcie, czyli cukier i napoje gazowane. Nad tą miłością i przynależnością teraz się zastanawiam, bo gdy patrzę dookoła, to widzę coś odwrotnego – jeden odgradza się od drugiego, odcina, odwraca, ucieka; w miastach każde nowe osiedle stawia od razu szlabany i płoty, a w internecie to miłosne wyznania można znaleźć tylko pod postami gwiazd rocka. Potrzeba miłości i przynależności wyparta została przez potrzebę nienawiści i dzielenia, odsądzania od czci i osądzenia. Pochodną tej ostatniej jest też potrzeba oceniania, zupełnie jakbyśmy nagle stali się narodem niespełnionych nauczycieli. Kiedyś mówiło się, że każdy nosi buławę marszałkowską w plecaku, dziś powinno się mówić, że nosi dziennik lekcyjny.

Przeglądam na przykład mój ulubiony portal o książkach *Lubimy czytać*, gdzie każda książka oceniana jest przez czytelników w systemie dziesięciu gwiazdek. Zazwyczaj mają po sześć lub siedem, a jak się komuś coś wybitnie nie uda, to dostaje pięć gwiazdek jak Sofokles za *Króla Edypa*. Nie najlepiej też poszło Hemingwayowi, bo *Stary człowiek i morze* ma też pięć gwiazdek z kawałkiem. *Jądro ciemności* Conrada, niby arcydzieło literatury światowej, ma u nas

niecałe sześć, ciut mniej niż *Manifest komunistyczny*, ale widocznie Engels lepiej pisał. Fatalnie wypada Adolf Hitler, bo za *Mein Kampf*, biblię milionów Niemców, otrzymał niecałe cztery gwiazdki. Dobrze, że tego nie dożył, bo to przecież byłaby dla niego większa porażka niż upadek Berlina. Nie dość, że z malarstwem mu się nie udało, to i z literaturą. Ale à propos Biblii, to warto zauważyć, że jesteśmy skłonni ocenić nawet Pismo Święte. Dwa tysiące czytelników poczuło w sobie moc do oceny Biblii Tysiąclecia, chociaż – jak w opinii napisał jeden z czytelników – „Dla większości chrześcijan Biblia jest jak licencja oprogramowania. Nikt jej nie czyta, wszyscy przewijają i klikają «zgadzam się»”. Tak czy owak otrzymała osiem gwiazdek, co dość dobrze świadczy o autorze, który na portalu figuruje jako „autor nieznany”. Oczywiście to absurdalne zestawiać Biblię na przykład z *Przeminęło z wiatrem* (też osiem gwiazdek), ale właśnie tacy jesteśmy absurdalni w swoich skłonnościach do oceniania. Dlatego Tora (zawarta przecież w Biblii) ma już tylko sześć gwiazdek, podobnie jak Koran, pewnie dlatego, że księgi te są nam niby obce kulturowo, chociaż autor natchnienia jest mniej więcej ten sam. Aby nadal było absurdalnie, wygląda też na to, że od autora Biblii lepsza jest zdecydowanie Wisława Szymborska, która dostała niemal dziewięć gwiazdek za *Wiersze wybrane*.

97.73

Nie ma dla pisarza lub filologa szczęścia większego niż spotkanie kobiety, z którą mógłby stworzyć udany związek frazeologiczny.

97.74

W kraju nastrój lekko rewolucyjny. Słyszę, jak w pociągu rozmawiają dwie kobiety:

– I co ty na to wszystko?

– Za Solidarności ulotki w majtkach nosiłam. Teraz jestem trzydzieści lat starsza, mam większą dupę i większe majtki, więcej ulotek się zmieści.

Jak tak patrzę na ostrość wymiany zdań w Polsce, to dochodzę do wniosku, że u nas terroryzm islamski i ten ich cały dżihad to byłaby tylko strata czasu oraz niegospodarność w zastosowaniu materiału wybuchowego, bo my, Polacy, świetnie wykończymy się sami.

97.75

W Europie Bóg jest na wymarciu, dlatego z Polski utworzono rezerwat. Partia w Polsce rządząca wraz z episkopatem pracują nad projektem sejmowej uchwały w sprawie obwołania Jezusa Chrystusa Królem Polski. Absolutnie nie mam nic przeciwko temu, bo fajnie jest mieć króla – Anglicy na przykład mają całą rodzinę królewską. Ale tak się zastanawiam – czy to nie jest z naszej strony jednak przejaw pychy? Może Chrystus wolałby zostać królem Stanów Zjednoczonych albo Watykanu? Chociaż z drugiej strony, teraz to już na pewno wszyscy będą nam zazdrościć, że mieszkamy w kraju, którego obywatele już za życia znajdują się w Królestwie Niebieskim.

Krzyż, obok koła, to jeden z efektowniejszych wynalazków ludzkości.

97.76

Tulinka na leżaku w ogrodzie z książką opartą na lekko rozchylonych udach.

– Co czytasz?

– A, skusiłam się na skandalik literacki. Autorka jest Chinką. Jej poprzednia książka, *Cukiereczki*, została zakazana przez cenzurę obyczajową.

– Jak się nazywa?

– Mian Mian.

– Inspirująco.

– A ta jej książka nosi tytuł *Panda seks*. Kupiłam, bo lubię pandy.

– I co o nich pisze?

– Nic, raz tylko jest wzmianka.

– Pandy powinny to oprotestować.

– Poczekaj, przeczytam ci. „Jestem jak panda – mówi Jie Jie do nieznanego mężczyzny, zanim ten zacznie ją całować przez czarną sukienkę. – Panda uprawia seks tylko dwa razy w roku”.

– I to wszystko, co pisze o pandach?

– Wszystko.

– No tak, skoro uprawiają seks tylko dwa razy w roku, to o czym tu pisać. W kobietach bardzo seksowne są książki, które przeczytały.

97.77

Ten, kto spada nam z nieba, dupę ma poobijaną.

Od kilku dni mówi głównie o swoim ciełe, znam na pamięć całą topografię jej lekkich słonecznych poparzeń, ukłuć komarów, otarć stóp; wiem dzięki temu, które sandały są nieco za ciasne, a które troszeczkę za duże, chyba nie słyszałem, żeby choć jedną parę miała taką w sam raz. Wiem też, że pod prawym obojczykiem wyszły jej nowe piegi, a przecież ich nie widziałem. Na plecach, między łopatkami, boleśnie zdarł się jej naskórek, prawdopodobnie zawadziła o róg łóżka, gdy wchodziła pod nie w poszukiwaniu skarpetek. Znam też ze słyszenia bąbel na udzie powstały po tym, gdy w ogrodzie obeszły ją mrówki; nawet trochę im pozazdrościłem, patrząc na miejsca, które dziewczyna smaruje poślinionym palcem.

97.78

Wieczorem Tulinka grzebie w szufladach, szuka tabletek przeciwbólowych. Skarży się:

– Piekielnie boli mnie brzuch, owuluje mi prawy jajnik.

– Dlaczego akurat prawy? – pytam trochę bez sensu, ale nie wiem, co powinienem powiedzieć. Prawy, lewy, czy jest jakaś różnica? Pewnie jest, ale się na tym nie znam. Nie mam też pojęcia, jak się przychodzi z pomocą bolącym jajnikom. Ona udaje, że nie słyszy, podchodzi do lustra i przygląda się swojemu odbiciu z uwagą. Widzę, że wizja lokalna wypada pomyślnie, bo dziewczyna odwraca się zadowolona, mówiąc:

– Tak, to by się zgadzało, boli mnie jajnik i mam ogromną ochotę na miłość, na takie czułe kochanie. Wiesz, co to znaczy? Organizm chce mnie oszukać i pod pretekstem chęci na miły seks naciągnąć na dziecko. Właśnie teraz jest idealny czas, owulacja.

– Patrz, jak to czasy się zmieniają – wtrącam. – Moja matka w życiu nie użyłaby przy moim ojcu słowa „owulacja”.

– Moja też. Zresztą i tak ojciec myślałby, że chodzi jej o ondulację.

Przez chwilę rozmawiamy o swoich rodzicach. W pewnym sensie byli podobni. Matki są zawsze po to, by uczyć spraw najważniejszych – fantazji i marzeń, a zadaniem ojców jest sprowadzać z powrotem na ziemię.

00.14

Teczka pełna map

Maks z niepokojem spojrział na zegarek. Minęło pół godziny, Magda powinna już zadzwonić. Nocami nieraz kazała mu się tu zatrzymywać. Parking przy cmentarzu na Zgierskiej, osłonięty od ulicy drzewami, należał do ulubionych miejsc przygodnych kochanków. Bywało, że Maks zostawiał ją z mężczyzną w samochodzie. Nigdy nie potrzebowała więcej niż kwadrans. Zapalił papierosa. Myślami wrócił do rozmowy podsłuchanej przed chwilą.

Analizował wszystko po kolei. Ten facet, który jest z Magdą, zna miejsce ukrycia majątku po Grohmanach. Dlaczego sam nie może go wydobyć? Dlaczego szuka pomocy wśród wysoko postawionych urzędników? Do głowy przychodziły mu różne odpowiedzi. Dwie wydawały się najbardziej prawdopodobne. Albo majątek został ukryty w miejscu, do którego z jakiegoś powodu nie można się dostać, albo – wręcz przeciwnie – jest to miejsce na tyle publiczne, że poszukiwacz byłby za bardzo widoczny. W pierwszym przypadku potrzebny mu urzędowy nakaz, w drugim urzędowa zasłona dymna.

Co to za miejsce? – zaczął się zastanawiać.

Zerwał się wiatr, przynosząc pierwsze krople zimnego deszczu. Maks postawił kołnierz kurtki i powoli ruszył w stronę swojej taksówki. Gwizdał głośno jakąś melodię, żeby pasażerów nie zaskoczyć swoim powrotem.

Już z oddali zobaczył coś, co mocno go zaniepokoiło. Drzwi były otwarte, auto wyglądało na puste. Podbiegł i zajrzał do środka. Nikogo. Zniknęli oboje. Rozejrzał się z niepokojem. Parking był pusty, nie licząc furgonetki, która stała przy samym wjeździe.

Zauważył, że w wozie nie ma ani torebki Magdy, ani jej papierosów, które trzymała w bocznym schowku. Zniknęła też teczka z laptopem jej klienta, ale na podłokietniku leżały jego okulary. Nawet nie były złożone, tylko odłożone na bok – jakby na chwilę, by podczas pieszczoł nie przeszkadzały. Coś jeszcze leżało na podłodze. Schylił się i podniósł portfel. Otworzył i zajrzał do przegródek. Złote karty kredytowe i dwie stuzłotówki. Nic poza tym.

– Co tu się dzieje? – zapytał sam siebie półgłosem. Podeszedł do bagażnika. W środku nadal leżała teczka jego pasażera. Otworzył ją. Jakieś zdjęcia, mapy, papiery. Sięgnął po latarkę.

Wśród fotografii od razu rzuciła mu się w oczy okazała willa na ulicy Tylnej, fabryka na Tymienieckiego, wieża ciśnień na Księżym Młynie, fabryczny mur na Targowej, z charakterystyczną bramą w kształcie beczek.

– Więc to prawda – mruknął do siebie. – Oni naprawdę szykują się do poszukiwań w budynkach Grohmanów.

Po chwili namysłu zwinął mapę i włożył ją do kieszeni kurtki. Potem sięgnął w głąb teczki. Poczul dziwny dotyk. Miękki, a jednocześnie metaliczny. Poświecił latarką. Błysnęło złoto. Ale jakieś dziwne. Ani w sztabce, ani w monecie, tylko jak nić nawinięta na szpulkę. Nigdy niczego podobnego nie widział. Wyciągnął rękę i wtedy usłyszał niski głos.

– Ładnie to tak w cudzych rzeczach grzebać?

Odwrócił się i zobaczył potężnie zbudowanego policjanta. Mężczyzna wykonał niewielki ruch ręką. Maks poczuł, jak kantem dłoni dostaje w szyję. A potem przestał czuć cokolwiek.

97.79

Widzę, że w jej oczach jest burza, która musi się wyładować. Tulinka dobrze znosi upały, ale ostatnio jest rozdrażniona i agresywna, mówi, że po ojcu ma dodatkowy krąg lędźwiowy,

przez co ostatnio bolą ją plecy. Godzinami pracuje w ogrodzie, malując swoje tajemnicze obrazy. Wraca zmęczona i mokra od potu, natychmiast idzie pod prysznic, zrzuca ubranie na środku łazienki i czasami tak je zostawia. Niekiedy sprząta je po porannej toalecie, może dopiero wtedy spływają z niej resztki wczorajszej złości.

Umówiliśmy się, że nie tylko nie zaglądam do jej pokoju, lecz także nie korzystam z sanitariatów na parterze. I to był błąd, bo o ile piętro jest zawsze przez nią idealnie wysprzątane, to jej łazienka prowadzi własne życie. Czasami więc, gdy ktoś do mnie przychodzi, na wszelki wypadek pośpiesznie przykrywam rzeczy Tulinki ręcznikiem. Dziś na pół godziny przyjechała Magdalena, chciała, żebym podpisał zrzeczenie się praw do samochodu, który kupiliśmy kiedyś na wspólny kredyt bankowy. Poszła umyć ręce i wróciła z triumfującą miną.

– Zawsze marudziłeś, że to ja nie sprzątam, ale ta twoja nowa dziewczyna mogłaby pod względem bałaganu startować w mistrzostwach świata.

– Mówiłem ci, że ona tu tylko mieszka.

– Daj spokój, nie wiedziałam, że w twoim wieku kręcą cię jeszcze dziewczęta w stringach.

Nawet nie powiedziała „dziewczyny”, tylko „dziewczęta”, jakby jeszcze bardziej chciała zaznaczyć niestosowność sytuacji; oto ja – ponadczterdziestoletni stateczny pisarz, redaktor kanału funeralnego, co też powinno jakoś zobowiązywać, zamiast myśleć o sprawach poważnych, o ile jeszcze nie o ostatecznych, mieszkam pod jednym dachem z piegowatą małolatą, nie dziewczyną nawet, lecz dziewczęciem, które swoje czerwone stringi zostawia na środku łazienki – kto wie, może rzucone tam na przynętę.

Skąd wiem, że czerwone? A jak mam nie wiedzieć, skoro bieliznę po praniu wieszka w pralni albo na sznurku w ogrodzie, gdzie powiewają niczym anarchistyczne bandery dawnych kaprów, wszystkie staniki jednakowo czarne, a majteczki zawsze czerwone, jakby tylko do tych dwóch kolorów zawężała się paleta jej zmysłowych barw.

Kiedy tylko Magdalena wyszła, kręcąc głową z dezaprobatą, a biodrami z wdziękiem takim jak dwadzieścia lat temu, rozzłoszczony wszedłem do łazienki. Ubrania leżące na podłodze zwinąłem w kłębek, zamierzając wrzucić je przez okno do sypialni Tulinki. Podszedłem od strony ogrodu i zobaczyłem, że naga stoi pośrodku pokoju. Na podłodze leżało białe płótno. Dziewczyna, tyłem odwrócona do okna, lewą ręką wyciskała z tuby farbę, prawą dłonią rozprowadzała ją po kroczu.

Widok był tak zdumiewający, a ciało dziewczyny olśniewające, że stałem i patrzyłem pełen zachwytu. Długa szyja, szczupłe ramiona, drobne plecy z wyraźnie zaznaczonym kształtem łopatek, talia i pośladki jak wazon formowany na garncarskim kole. Przez chwilę miałem wrażenie, że widzę ręce Stwórcy, który lepi ją z gliny – nie wiem, na czyj obraz i podobieństwo, bo równie pięknego ciała kobiety nigdy wcześniej nie widziałem. Odłożyła farbę i dostrzegłem kształt jej piersi, trwało to jednak tak krótko jak klatki filmu wmontowane na reklamie podprogowej, wiedziałem więc tylko, że natychmiast czegoś bardzo pragnę, ale nie miałem jeszcze pojęcia czego.

Schyliłem się szybko, żeby mnie nie dostrzegła, i jak podglądacz, skulony ze wstydu, pognałem w stronę domu. Oszołomiony, wszedłem od razu do pralni i wrzuciłem wszystko do jej kosza z brudną bielizną. Był pełen, przewrócił się i potoczył, wysypując na posadzkę bluzki, majtki i staniki. Zacząłem zbierać je w pośpiechu, modląc się, by w międzyczasie pomalowana farbą dziewczyna nie udała się pod prysznic, bo wówczas zauważyłem swój błąd. Rzeczy, które tu przyniosłem, nie leżały wcześniej w pralni, lecz na samym środku łazienki, w przeciwnym razie w ogóle by mi nie przeszkadzały. Gdyby były w koszu, nie biegałbym tam i z powrotem po ogrodzie z cudzymi majtkami. Wyjąłem więc z kosza krótkie spodenki dziewczyny, jedwabną

koszulkę, skarpetki i majtki, przez chwilę się nad nimi zastanawiałem, bo były podobne do zwykłych majtek z koronką, chociaż dużo niższe, a Magdalena mówiła o stringach. Wygrzebałem więc te nieszczęsne stringi i pobiegłem do łazienki, na szczęście wciąż pustej, i z ulgą zrzuciłem wszystko na podłogę. Przyglądałem się tej małej kupce odzieży i poczułem takie zmęczenie, jakbym nadźwigał się ciężkich kamieni.

Boże, co ja wyprawiam – dziwiłem się sobie, starając się ułożyć to tak, żeby dziewczyna nie dostrzegła zmiany. Zaraz, majtki były na wierzchu czy może pod spodem? Chyba na wierzchu – próbowałem sobie przypomnieć, dekorując bawełniany stosik czerwonymi stringami. Nie, chyba jednak były pod spodem, jakoś nie rzuciły mi się przecież w oczy – przekładałem rzeczy z miejsca na miejsce, układając na podłodze puzzle z rozbierającej się dziewczyny.

Wtedy poczułem niepokój. Dlaczego, u licha, tak się w tym grzebię? Przecież ona i tak nie pozna, co było na górze, a co pod spodem, a ja chyba już od paru minut przekładałem jej rzeczy i czuję, że sprawia mi to przyjemność. Delikatność tkanin, intymność bielizny, seksowny krój spodenek i bluzki, a nad tym nikły ślad zapachów wiodących mnie na pokuszenie.

Pomyślałem, że to ostatnie ostrzeżenie. Uciekaj, człowieku, uciekaj od tej dziewczyny, od jej obrazów, majtek, jej gładkich pleców z głową kozła na łopatkach i krągłych pośladków.

97.80

Po chwili wyskakuję z łazienki. Znowu jest tym wojownikiem, jakiego w niej kiedyś widziałem. W prawej trzyma włócznię, zaraz mnie nią przeszyje, w lewej kupkę ubrań, którą kilka godzin wcześniej tak starannie próbowałem ułożyć.

– Co to jest? Do diabła, no powiedz mi, co to jest!

– Twoje ubranie.

– Wiem, że moje, ale po kiego czorta wyciągałeś je z kosza?

– Nie wyciągałem. Zostawiłeś je na środku łazienki. Zawsze zostawiasz, nie wypominając.

– Miałeś nie wchodzić do mojej łazienki!

– Czasami muszę.

– Ty fetyszysto obolały! Te stringi zostawiłam w łazience? Ja? Te stringi pomazane farbą? Były w koszu z brudną bielizną, bo raz ich użyłam do obrazu, a potem wrzuciłam do prania! Nie nosiłam ich, nie zostawiłam w łazience! Jak mogłam nosić majtki pomazane farbą?

– Przepraszam, ale nie rozumiem.

Krzyczy z pięć minut, zanim zaczyna wierzyć w historię z przewróconym koszem.

– Prawdę mówisz? Wrzuciłeś do kosza, a potem zrobiło ci się głupio?

– Jak Boga kocham!

Otrząsa się z obrzydzeniem.

– Przysięgam!

Trochę kłamię, bo przecież nie przyznam się, że podglądałem ją przez okno od strony ogrodu. Ale pamiętam z religii, że istnieje rodzaj kłamstw dopuszczalnych, a nawet szlachetnych. To może szlachetne nie jest, ale na pewno dopuszczalne. Kościół na szczęście potrafi być elastyczny.

97.81

Po południu robię herbatę w wielkim czerwonym imbryku, wlewam do filiżanek, para unosi się jak dym z fajki pokoju. Tulinka powoli zaczyna mi wierzyć, złości ją jednak coś

jeszcze.

– Ale dlaczego stringi mi podrzuciłeś?

– No bo byłem pewien, że tam leżały. – Nie zdecydowałem się, by powiedzieć, że to Magdalena je tam zlokalizowała.

– Nie noszę stringów, nie noszę ich. Mam głównie tanga.

– Jak to tanga?

– Tanga. Tak się nazywają te majtki. Są figi, szorty, hipstery, slipy, bikini, brazyliany, thongi, boy szorty, cheeky, retro. Są w końcu stringi i tanga. Co tak wytrzeszczasz oczy? Wy, faceci, też chyba macie różne gacie.

– Majtki mamy.

– Jasne. Tak samo jak zapytać was o błękit, cyjan, granat, kobalt, lazur, ultramarynę, szafir, kolor chabrowy lub modry, to mówicie, że to po prostu niebieski. Tanga są bez porównania wygodniejsze niż stringi, chociaż też mocno wycięte i przez to niekiedy może trochę do nich podobne. Składają się z dwóch trójkątów połączonych wąskim paseczkiem.

– No to skąd się wzięły te stringi w koszu, skoro ich nie nosisz?

– To mojej przyjaciółki, człowieku, w życiu bym nie założyła stringów. Chodziłeś kiedyś ze sznurówką w tyłku?

Nie, nie chodziłem.

A potem było jeszcze trudniej. Co tam szafir i ultramaryna, co tam brazyliany i hipstery, prawdziwe zaskoczenie miało dopiero nadejść.

Stringi należą do jej przyjaciółki. Była tu, pozowała. Tulinka maluje jej portret w ramach projektu twórczego o nazwie DNArt. Pomysł – tłumaczy, a mi aż trudno uwierzyć – polega na tym, że każda z postaci na obrazie jest prawdziwa i musi mieć DNA osoby, którą przedstawia. Stąd te stringi w pralni.

– Potem patrzysz na taki obraz i wiesz, że tych ludzi ktoś może kiedyś będzie mógł ożywić. Teraz potrafią sklonować człowieka z komórek, niebawem będą to robili z zaschniętych resztek DNA. Włosów, krwi, śluzu z pochwy, nasienia.

Twierdzi, że DNArt to projekt artystyczny i naukowy. Na jego realizację dostała dotację z ministerstwa kultury oraz spory grant z Unii Europejskiej.

– Żartujesz.

– Nigdy ze sztuki.

I cisza zapadła taka, że było słyhać, jak stygnie herbata w filiżankach.

97.82

Rano idę na spacer do parku. Dwie młode dziewczyny leżą na kocu, odsłaniają długie nogi, zawracają słońcu w głowie, krótko mówiąc – robią wiosnę. Rozwiązują przy tym krzyżówkę.

– „Z pustego i on nie naleje” – czyta jedna.

– Slalom – podpowiada druga.

– Dlaczego „slalom”? – dziwi się ta pierwsza.

– Takie porzekadło jest. Z pustego i slalomem nie nalejesz.

Śmieją się z żartu, to dobrze. Kobieta powinna być zadbana przede wszystkim intelektualnie.

97.83

– Co robisz? – zapytała.
– Piszę wiersz.
– Ty? – roześmiała się. – Ty piszesz wiersz?
Postanowiłem, że w następnym rozdziale ją zabiję.
Wiersze to poważna sprawa, nie ma się z czego śmiać.
97.84

Nie mogę zasnąć
coś tyka
chodzi we mnie zegar
nakręcony na ciebie
00.15

Morderstwo przy cmentarzu

Kiedy Maks się ocknął, nikogo w pobliżu już nie było. Wsparty o koło samochodu podniósł się z rozmięklej ziemi. Próbował zaczerpnąć powietrza, ale ból ścisnął mu gardło. Z trudem utrzymywał się na nogach. Oparł się o otwarty bagażnik i zajrzał do środka. Po teczce z dokumentacją posiadłości Grohmanów nie było śladu. Wsiadł do samochodu i próbował zebrać myśli. Miał wrażenie, że rozsypały się jak drobniki z portfela. Właśnie! Przypomniało mu się, że tamten klient zostawił w jego taksówce portfel. Sięgnął pod tylne siedzenie. Jest! Otworzył i zobaczył, że motocyklista nie zabrał ani złotych kart płatniczych, ani pieniędzy. Co więcej – Maks z niedowierzaniem przeliczał stułotowe banknoty – przedtem były tylko dwa, a teraz? Cały plik! Czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt... Nie mógł uwierzyć. Co to za złodziej, który nie kradnie pieniędzy, tylko je dodaje?!

To wszystko było nie tylko dziwne, lecz także coraz bardziej podejrzane. Najpierw z taksówki znika Magda ze swoim klientem. Klient zostawia dwieście złotych w portfelu i teczkę w bagażniku. Potem zjawia się karateka w policyjnym mundurze. Zabiera teczkę, a zostawia pieniądze. Po co? Dlaczego? Zaraz, a jeśli oni porwali Magdę i jej klienta? Przedtem na parkingu stała furgonetka, a teraz jej nie ma...

Długo zastanawiał się, co robić. Początkowo chciał jechać na policję. Ale co im powie? Że jest kierowcą dziewczyny z klubu nocnego, która zniknęła z jego samochodu ze swoim klientem? I że został po nim portfel pełen pieniędzy, których wcześniej nie było? A zniknęła teczka ze wskazówkami dotyczącymi ukrytego majątku Grohmanów? I pojawił się jeszcze jakiś zapewne fałszywy policjant? Kto w to uwierzy?

Powoli wyjechał z parkingu i skręcił w Zgierską. W domu wyjął z lodówki butelkę wódki i nalał do szklanki.

Kiedy się obudził, niemiłosiernie bolała go głowa.

– Z czego oni robią tę wódkę? – mruknął do siebie półgłosem, spoglądając na pustą butelkę. – Mogliby chociaż rozpuszczać w niej od razu coś na kaca. Takie dwa w jednym, Drink & Go.

Usiadł przy komputerze i włączył internet. Sprawdził prognozę pogody, wszedł na stronę „Expressu Ilustrowanego”. Od razu rzucił mu się w oczy tytuł: „Morderstwo przy cmentarzu”. Zaczął czytać: „W godzinach porannych policja została powiadomiona o znalezieniu ciała mężczyzny, który został zamordowany w okolicach cmentarza przy ulicy Zgierskiej”.

Jęknął. Od razu się domyślił, że ten nieszczęśnik to jego wczorajszy pasażer. Wszystko

układało się teraz w logiczną całość. Zamordowali go, a winą chcą obarczyć Maksa. To dlatego nie tylko zostawili w jego taksówce portfel tego mężczyzny, ale i wypchali pieniędzmi, żeby wyglądało to jak morderstwo na tle rabunkowym.

Usłyszał dzwonek u drzwi i poczuł zimny pot spływający wzdłuż pleców.

97.85

Uroczyste nekrologi cieszą się coraz większą popularnością. Może je zamówić każdy z telewidzów. To krótkie filmiki, elegijne etiudy, małe dzieła żałobnej sztuki, łączące kunszt filmowy, słowny i muzyczny. Klienci przynoszą zdjęcia zmarłych i ich ostatnie CV na potrzeby nieba spisane przez najbliższych. Rety, ileż jest niezrozumienia ze strony obywateli wobec życia doczesnego, to pisanie po strokroć swojego CV do jakichś firm tymczasowych rzeczywistości tej marnej, materialnej, i ani jednego konspektu z życiorysu dla Pana Boga. Niby dlaczego ludziom się wydaje, że tam, w niebie, wszystko wiedzą na ich temat, że wchodzi się na gotowe, bez odrobiny wkładu własnej pracy w zakresie public relations. To doprawdy niepojęte – nawet jak chcesz się zatrudnić w McDonalddie, to wysyłasz zdjęcie i ksero wszystkich dyplomów, a w kolejce do nieba ustawiasz się bez obiegowki od księdza proboszcza za obowiązkowo przyjęte komunie, te przynajmniej raz w roku z okazji Wielkanocy.

My to wszystko staramy się nadrobić w moim programie. Zbieramy listy pochwalne z parafii i spisujemy dobre uczynki. Poza tym klienci przynoszą filmiki oraz zdjęcia zmarłych, a my robimy wszystko, by tchnąć w nich życie wieczne. Budujemy podniosłe animacje, patetyczne pomniki zapisywane w technice cyfrowej – najpierw emitowane są w specjalnym bloku, potem raz w tygodniu telewizywnie głosują w kilku kategoriach: najbardziej wzruszające pożegnanie, najdonioślejszy owoc żywota twojego Jezus i najpiękniejsza ceremonia pogrzebowa. Te z największą liczbą głosów przechodzą do następnego etapu i biorą udział w konkursie miesiąca.

97.86

Zgodnie z objawieniami fatimskimi (uczczonymi przez nasz sejm specjalną uchwałą, a przez papieża kanonizacją pastuszków) trzynastego maja miał być koniec świata. O ile dobrze liczę, był to mniej więcej trzydziesty piąty przepowiedziany koniec świata w moim życiu. W zeszłym roku, według prorocstwa Daniela, miał nastąpić dwudziestego pierwszego grudnia. Wygląda na to, że koniec świata jest już jak kościelne święto ruchome, co roku wypada innego dnia.

97.87

W przedpokoju stoi od wczoraj coś bardzo dziwnego. Nigdy nie widziałem równie zdumiewającego przedmiotu. Wygląda jak narzędzie tortur albo domowa szubienica. Ma mosiężnąokrągłąpodstawę, zktórejwychodziigrubytrzcien z hebanowego drewna. W połowie jego długości znajduje się korbka uruchamiająca wewnętrzną część trzcienia, przekładnia ślimakowa podnosi ją ku górze mniej więcej do półtora metra. Na końcu wysuwanej części zamontowano mechanizm z kilku mosiężnych motylków regulujących wysokość i kąt nachylenia dwóch kolejnych ruchomych pionowych trzcieni. Niższy zakończony jest czymś, co ustawione równoległe do podłoża przypomina oparcie krzesła. Wyższy zwieńczony jest wysięgnikiem, z jednej strony zaopatrzoną w stalową kulę, a z drugiej w skórzaną pętlę usztywnioną od

wewnątrz metalowym kołnierzem.

– Na Boga, co to jest? – pytam Tulinki.

– Do diabła, nie mam pojęcia. Przejeżdżałam koło starego budynku więzienia, remontują tam podziemia i robotnicy wyrzucili to na śmietnik. Wzięłam, bo ten przedmiot wydaje mi się ciekawy.

– Myślisz, że to szubienica?

– Tak wygląda. Ale taka mała? Może prototyp?

– A może do wykonywania wyroków od razu w celi?

– Nie wiem, ale chcę ją zatrzymać, oczywiście jeśli nie masz nic przeciwko temu – zastrzegła Tulinka.

– Po co ci to?

– Inspiruje mnie.

– Nie przeraża cię?

– Nie. Zresztą na pewno nie była używana. Co najwyżej raz albo dwa.

– Skąd wiesz?

– Mam intuicję.

I tak zostałam chyba jedynym właścicielem domu z podręczną szubienicą.

97.87

Niespodziewana wizyta

Maks ostrożnie podszedł do drzwi. Policja? Już go namierzyli? Zerknął przez wizjer i odetchnął z ulgą. Otworzył drzwi.

– Magda? Jak ty wyglądasz? – zawołał zdumiony.

Stała przed nim drżąca, ubłocona, w podartej sukience.

– Co się stało?

– Nie wiem, nic z tego nie rozumiem, nie mam pojęcia. – Rzuciła mu się ze szlochaniem na szyję. Poczuli jej ciało blisko jak nigdy dotąd. Objął ramionami. Pachniała pięknie. Szyja delikatnie wodą perfumowaną, a lśniące włosy rumiankiem. Głaskał je delikatnie, a potem wtulił głowę. Dotknął ustami policzka. Zamknął oczy i zaczął całować. Wziął dziewczynę na ręce i zaniósł do sypialni.

Dopiero potem zapytał o wczorajszy wieczór. Wtulona w Maksa, czując się już bezpiecznie, opowiadała ze spokojem.

– Chwilę potem, gdy wyszedłeś z auta, otworzyły się drzwi i kilku mężczyzn nas wyciągnęło. Tego mojego klienta od razu rzucili na ziemię. Mnie szarpali, dusili, pytali, co wiem o ukrytym majątku Grohmana. Powiedziałam im tyle, co usłyszałam – że klient rozmawiał z kimś przez telefon i razem mają go szukać. Powlekli mnie do furgonetki, która stała w pobliżu, związali, zakneblowali i wrzucili do środka. Wypuścili mnie dopiero teraz, od razu do ciebie przybiegłam.

– Widziałaś ich twarze? Poznałabyś kogoś?

– Nie, bo było bardzo ciemno.

Pomyślał, że ciemno to akurat nie było, bo przecież furgonetka stała z samego skraju parkingu i oświetlały ją uliczne lampy ze Zgierskiej. Chciał coś powiedzieć, ale dziewczyna wstała z łóżka.

– Muszę się odświeżyć po tym wszystkim – powiedziała. – Pójdę pod prysznic.

Wzięła torebkę i poszła do łazienki. Odprowadził ją wzrokiem, patrząc z przyjemnością na jej piękne ciało. Potem leżał w ciepłej pościeli i rozmyślał o wydarzeniach z wczorajszego

wieczoru. Wsłuchiwał się w szum wody dobiegający z łazienki. Świeży, delikatny zapach dziewczyny czuć było jeszcze na poduszce. „To dziwne – pomyślał – Magda całą noc niby spędziła zamknięta w furgonetce, od razu do niego przybiegła, a miała świeży makijaż, była idealnie uczesana i pachnąca”.

Usiadł na łóżku. Poczul żal na myśl, że dziewczyna go oszukuje. Są kobiety, które mogą wyjść z domu bez majtek, ale nie bez makijażu. Magda do nich należała.

Domyślał się, że wciąga go w jakąś grę. Nie wiedział tylko, czy przypadnie mu rola pionka, czy ofiary.

Tymczasem w łazience Magda wyjęła z torebki telefon komórkowy.

– Proszę mnie połączyć z inspektorem Grochem – powiedziała po chwili.

97.88

Czytam *Dziewczynę z poczty* Zweiga. I przypomniał mi się dzień, w którym poznałem Magdalenę. Poszedłem kupić papeterię. Potem, zmierzając już do wyjścia, zauważyłem, że w sąsiednim okienku siedzi młodzietka dziewczyna. Lekko puszysta, ale tak apetycznie – jak biszkopt albo drożdżowe ciasto. Guziczki białej bluzki miała pozapinane do samej góry, ale widać było, że dwa środkowe dopięły się z trudem. Ponownie stanąłem w kolejce. Już po dziesięciu minutach byłem przy jej okienku. Zobaczyłem, że do bluzeczki przyczepiony ma identyfikator z imieniem „Magdalena”.

– Słucham – powiedziała. A ja jakbym nie słyszał. Stałem i się gapilem.

– Słucham pana.

– Czy ma pani klej? Chciałbym kopertę zakleić.

– Przykro mi, nie mamy kleju.

I to cały dialog między nami. Wizyta na poczcie dobiegła końca. Dlaczego zapytałem o klej, skoro koperta miała brzeg samoprzylepny?

Cały dzień chodziła mi po głowie. Czasami tak jest – człowiek raz kogoś zobaczy, a potem nie może od niego oderwać myśli. Wróciłem na pocztę nazajutrz.

– Dziś mam już zaklejoną kopertę – pochwaliłem się.

– To dobrze, koperty powinny być zaklejone – stwierdziła dziewczyna.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Drugi dzień z rzędu rozmowa zupełnie nam nie wychodziła.

Trzeciego dnia poszedłem na pocztę już przygotowany. Wieczorem obmyśliłem sobie różne możliwe dialogi.

– Listy powinny być dobrze zaklejone – oznajmiłem. – Wie pani, ile tajemnic mogą kryć koperty, które przechodzą przez pani ręce?

Spojrzała na mnie zaskoczona. Uśmiechnęła się.

Czwartego dnia znów położyłem przed nią list. A ściślej mówiąc – pustą kopertę dla M. Jedynej zamieszkałej pod zmyślonym adresem. Bo jakiś pretekst musiałem mieć, by znów przyjść na pocztę.

Powiedziałem:

– Wie pani, myślę, że listy w naszym życiu odgrywają ogromną rolę. Ale nie wiem, które bardziej. Te, na które otrzymujemy odpowiedź, czy te, które pozostają bez odpowiedzi.

– Lubię otrzymywać tradycyjne listy – odparła dziewczyna. – Niestety, coraz mniej osób je pisze, wszyscy przerzucili się na maile.

Odtąd codziennie niosłem na pocztę pustą kopertę, na którą Magdalena naklejała znaczek i którą wrzucała do pudełka z przesyłkami.

Po dwóch tygodniach nie wysyłałem już pustych kopert. Codziennie pisałem list miłosny do Magdaleny. I mimo iż nadal wysyłałem je pod fikcyjnym adresem, jakoś naiwnie i głupio wierzyłem, że w końcu do niej trafią.

Wyobrażałem sobie, że niebawem zapyta:

– Przepraszam za wścibstwo, ale ta pani, do której pan codziennie pisze, ma na nazwisko Jedyna. Czy M. Jedyna jest skrótem od Moja Jedyna?

A ja jej wtedy odpowiem:

– Nie, M. jest skrótem od imienia Magdalena.

I poproszę, żeby otworzyła kopertę.

Ale nie zapytała. Pomyślałem wtedy, że nasze życie pełne jest miłości, które nas omijają.

97.89

Śnił mi się raj. Pan Bóg prowadził hurtownię spożywczą i umieszczał na wszystkich jabłkach napis: „Może zawierać śladowe ilości orzechów ziemnych”. A Ewa miała na sobie ostrzeżenie: „Może zawierać śladowe ilości miłości”. Nie wiem, co dla alergików jest groźniejsze – miłość czy orzeszki.

97.90

Szubienica nadal stoi w przedpokoju. Tulinka wiesza na niej swoje kurtki, ja jakoś nie potrafię.

Tulinka:

– Kiedyś się ustatkuję, ale jeszcze nie czas na takie szaleństwo.

97.91

I przeszedł dzień, jak ten w czasie potopu, gdy nagle ulewa się skończyła i świat się odmienił.

Tamta historia o dziewczynie z poczty miała ciąg dalszy. Mniej więcej po miesiącu, gdy zamierzałem nadać kolejny list, Magdalena wręczyła mi plik poprzednich.

– To są zwroty dla pana. Pod tym adresem, który pan zamieścił, znajduje się wieżowiec, a na kopertach nie ma numeru mieszkania. Listonosz sprawdził i okazało się, że tam nie mieszka żadna pani Jedyna.

Oczywiście wyobrażałem sobie, że inaczej to będzie wyglądać, ale i tak powiedziałem:

– Bo to są listy dla pani.

97.92

Przy kawie po raz pierwszy dotknęły się nasze dłonie. Przypadkowo jeszcze, podczas przekazywania sobie cukierniczki. Ale ten dotyk wystarczył, żebym poczuł rodzaj niepokoju budzącego się z powodu bliskości dwóch ciał, z których przynajmniej jedno tęskni za czymś, o czym wolało nawet nie marzyć. Potem pod stołem spotkały się nasze kolana i ona chyba zrozumiała, że tym razem nie był to dotyk przypadkowy. Zadrżała mi filiżanka w rękę.

– Coś panu dolega? – spytała zaniepokojona. – Choruje pan na coś?

– Tak. Śmiertelnie.

– O mój Boże!

– Umrę, jeśli nie spotka się pani ze mną ponownie.

Dotyk wyznacza początek miłości. Jeśli kogoś kochasz, czujesz potrzebę jego dotyku, przytulania, głaskania, całowania. Ale dotyk wyznacza też koniec miłości. Jeśli nie chcesz już przytulać, głaskać i całować, to przestałeś kochać.

00.17

W niebezpieczeństwie

Magda weszła do sypialni owinięta w ręcznik.

– Na co masz ochotę? – spytała.

– Mam ochotę na to, byś powiedziała mi prawdę – odparł.

– To znaczy?

Poderwał się, przewrócił ją na łóżko i usiadł na niej okrakiem. Niemal tak jak pół godziny temu, ale tym razem nie po to, by całować. Złapał dziewczynę za włosy. Szarpnięciem odchylił jej głowę. Jęknęła z bólu.

– Pytałem, czy widziałaś twarze tych ludzi, którzy cię porwali.

– Mówiłam ci, że nie, bo było bardzo ciemno... – wyszeptała, zdziwiona jego nagłą agresją.

– Magdo, furgonetka stała przy wjeździe na parking! Dobrze oświetlona latarniami ze Zgierskiej. Nie było ciemno.

Rozpląkała się. Puścił ją. Chlipiąc, sięgnęła po papierosa, podeszła do okna. Miał wrażenie, że dała znak ręką komuś, kto stał na dole. Ale mogło mu się wydawać.

– Dobrze, powiem ci – odezwała się po dłuższej chwili. – Nie jesteś ze mną bezpieczny. Wręcz przeciwnie. Przeze mnie jesteś w niebezpieczeństwie.

– Dlaczego? – zaniepokoił się. – Co tu się dzieje?

– Chcą cię wrobić w to morderstwo.

– A dlaczego właśnie mnie? Jestem zwykłym taksówkarzem!

– Wcale nie zwykłym. Od lat wozisz tylko dziewczyny z klubów i ich klientów.

– To nie przestępstwo!

– Ale policji łatwo będzie uwierzyć, że byłeś zamieszany w różne podejrzane sprawy.

– Jakie sprawy?

– Narkotyki, handel kobietami, co tylko chcesz...

Wstał z łóżka i zaczął się pospiesznie ubierać.

– Zaraz, zaraz, nie tak łatwo wrobić człowieka w morderstwo – próbował przekonać sam siebie.

– Łatwiej, niż ci się wydaje. Ty ostatni widziałeś ofiarę, w twoim samochodzie policja znajdzie ślady DNA tego mężczyzny, ty zabrałeś jego portfel.

– Pozbyłem się go!

– Wyrzuciłeś do kosza w parku. Ze swoimi odciskami palców.

– Skąd wiesz? – zapytał zdziwiony. – Przecież ciebie przy tym nie było.

Wzruszyła ramionami.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Po chwili dzwonek się powtórzył. Maks spojrzął w ich kierunku zaniepokojony.

– To mogą być oni – powiedziała Magda. – Musisz uciekać.

– Jacy oni?

97.93

Śniła mi się wielka żaba. Chciała mnie zjeść.

Każdego ranka Magdalena pytała, co mi się śniło. Nigdy nie pamiętałem swoich snów, po prostu je przesyphiałem. Ale ona i tak pytała. Raz obudziłem się w środku nocy, ze snem ciepłym jeszcze jak drożdżówka z piekarnika. Zapaliłem światło, sięgnąłem po karteczkę i zapisałem kilka słów. Rano zapytała jak zwykle, czy coś mi się śniło. Spojrzałem na karteczkę. „Korytarz”, „winda”, „ucieczka”.

– Chyba to był jakiś koszmar – powiedziałem, nie przypominając sobie niczego poza tym, że w nocy się obudziłem.

– Mój ty biedaku – odrzekła ze współczuciem. Położyła mi rękę na podbrzuszu.

Następanej nocy było podobnie. I następanej. Po kilku zacząłem nad ranem przypominać sobie treść snów. Początkowo za pomocą karteczek, na których nocą robiłem pospieszne notatki, później pamiętałem je bez żadnych podpowiedzi. Z radością odkryłem, że moje sny są zazwyczaj kolorowe, radosne i piękne. Koszmary zdarzały się niezwykle rzadko, po nich Magdalena sumiennie mnie pocieszała, więc nawet gdy sen był piękny, to zmyślałem coś złego na koniec, żeby nie przepało mi pocieszenie.

Dzięki niej nauczyłem się pamiętać o snach. Czułem się przez to tak, jakbym każdy kolejny dzień rozpoczynał od przeżycia ciekawej historii. Opowiadałem ją Magdalenie, często konfabulując, a ona przygryzała wargi z zafascynowania.

Kiedy wyjechała, moje sny znów stały się historiami, które nie interesowały nikogo. Aż w końcu przestałem pamiętać, co mi się śniło.

Ludzie śpią razem także po to, by nad ranem jedno drugiemu mogło opowiedzieć, co mu się śniło. Mam piękne sny, ale się marnują. Nad ranem nikt o nie mnie nie pyta, więc często zapominam.

97.94

Przeglądałem kolorową prasę z tygodnia. Dużo piszą o zdrowiu. Dowiaduję się, że czekolada sprzyja myśleniu, a aperitif na bazie ginu lub martini wypity przed obiadem dobrotliwie pobudza wydzielanie kwasów żołądkowych, zaś koniak po obiedzie wspomaga trawienie. Z radością czytam też opinie amerykańskich naukowców, którzy potwierdzili, że picie codziennie lampki wina ogranicza ryzyko chorób krążenia. Akademy z Wielkiej Brytanii dowiedli natomiast, że kufel piwa dziennie skutecznie czyści nerki z piasku, a może nawet i kamieni, szkoda, że o gruzie nie wspominają. Seksuolodzy przekonują z kolei, że częste wytryski zapobiegają chorobom prostaty.

Teraz zjem czekoladę, żeby osiągnąć jasność umysłu. Z umysłem jasnym jak zorza wypiję szklaneczkę ginu na żołądek oraz koniaczek na trawienie, po nim lampkę wina na serce, później kufelek piwa na nerki. W ten sposób uzdrowiony jeszcze zrobię sobie ręką dobrze, żeby nie mieć kłopotów z prostatą. Może nawet uczynię to dwa razy, bo trzeba przecież dbać o zdrowie. Lubie, gdy nauka służy człowiekowi.

W piątek zawsze mam wrażenie, że jak Chrystus zamieniał wodę w wino, to w Polsce zapomniiał potem ten wybryk odwrócić.

97.95

Śniła mi się piękna poezja, a konkretnie kobieta, której lewe udo było jednym wierszem, prawe udo było drugim wierszem, a ja leżałem twarzą pośrodku i czytałem między wierszami.

00.18

Ucieczka

Maks ruszył w kierunku drzwi, ale Magda była szybsza. Podbiegła i spojrzała w wizjer.

– Chwileczkę, tylko założę coś na siebie! – krzyknęła.

Zatrzymała Maksa przed wejściem do przedpokoju i powiedziała szeptem:

– Musisz stąd uciec. To oni. Przyszli po ciebie.

– Policja?

Pokręciła przecząco głową.

– Znacznie gorzej, to ci ludzie z furgonetki.

Poszedł do kuchni i wyjął nóż z szuflady.

– Zwariowałaś? – złapała go za rękę. – To zawodowcy, zabijają cię, zanim zdążysz się ruszyć.

– Ilu ich jest?

– Widziałam trzech. Zamaskowani. Uciekaj przez okno, przecież to jest parter. A ja powiem, że wyszedłeś po papierosy i za dziesięć minut wrócisz.

Zakręciło mu się w głowie. Co robić? Co robić? – myślał gorączkowo. Na policję nie pójdzie, bo oskarżą go o morderstwo. A z mordercami nie wygra.

Dzwonek u drzwi ponownie zaterkotał.

– Już idę, tylko założę szlafrok – zawołała.

– Co ja mam robić? – zapytał bezradnie.

– Uciekaj! – powtórzyła.

Podjął decyzję. Skoczył w kierunku szafy, zdjął walizkę, pośpiesznie wrzucił kilka ubrań, dokumenty, drobne kosztowności. Kilkanaście sekund później stał na trawniku.

Powoli układał plan ucieczki. Za półtorej godziny z lotniska im. Władysława Reymonta startuje samolot do Dublina. Ma tam przyjaciół, od dawna namawiali go, żeby przyjechał. Obiecywali, że znajdą mu pracę i pomogą się urządzić. Wahał się, od początku miał ochotę, ale jakoś nie mógł się zdecydować. Teraz los zdecydował za niego.

Biegł w kierunku auta, gdy dzwonek u drzwi zaterkotał po raz trzeci. Magda po raz ostatni spojrzała na uciekającego mężczyznę i poszła otworzyć.

– Bardzo przepraszam, kochanie, ale dopiero wyszłam z łazienki.

Inspektor Groch uśmiechnął się szeroko i przekroczył próg.

– Stęskniłem się za tobą, Leno.

Uśmiechnęła się i nie poprawiła imienia, lecz włosy.

97.96

Tulinka szykuje się do wyjścia na zajęcia. W przedpokoju, oparty o szubienicę, stoi obraz zawinięty w szary papier. Mniej więcej metr na półtora.

– Mógłbyś mi go po południu przywieźć na uczelnię? Tramwajem będzie mi niewygodnie. O trzeciej, dobrze? Drugie piętro, sala do ćwiczeń.

Mógłbym. Wybiega. Próbuje zajrzeć do wnętrza pakunku, ale papier owija go szczelnie.

Przed trzecią jestem z obrazem na miejscu. Wielki gmach z czerwonej cegły, ponadstuletni, neogotyckie strzeliste okna. Wnoszę obraz po szerokich marmurowych schodach, salę do ćwiczeń znajduję na końcu korytarza, na drzwiach tabliczka: „prof. Velnias”. W środku przestronnie, jasno, pomieszczenie wysokie chyba na pięć metrów. Pod ścianą rząd sztalug,

poskładanych, równo ułożonych jedna obok drugiej. Największa jest rozłożona, stoi pośrodku. Na wprost drzwi kilkanaście ławek, jednoosobowych, półkoliście zwróconych do wejścia. Wszystkie zajęte, kilku studentów siedzi na parapetach.

Tulinka bierze obraz, rozwija go ze skupieniem, ustawia na rozłożonej sztaludze. Studenci patrzą z uwagą. Nie widzę, co płótno przedstawia, jest obrócone do mnie tyłem.

– Raczy pan zamknąć drzwi – zwraca się do mnie staruszek w muszce i kamizelce. – Z tej albo z tamtej strony.

Jestem tak ciekaw obrazu, że zamykam z tej. Staję pod oknem, w spojrzeniu Tulinki widzę cień dezaprobaty. Spoglądam na obraz. Wygląda jak jeden z testów plam atramentowych używanych podczas psychoanalizy. Na białym płótnie jasnoczerwona smuga w kształcie dużej litery V, wyraźnie odbite nogi i pośladki. Między udami ciemnoczerwony kleks. Jestem zaskoczony.

– Praca semestralna studentki trzeciego roku – przedstawia staruszek. – Zatytułowana *Ślad waginy*. Nawiązuje do nurtu kanibalistycznego we współczesnej sztuce, gdzie sztuka żywi się artystą. Na płótnie mamy jednak odcisniętą farbę, nie zaś krew, jak widzieliśmy to na przykład u Marca Quinna. Autorka nie korzystała przy tym z pędzla. Jako narzędzie posłużyło jej własne ciało. Proszę państwa o opinie. Pan na parapecie może zacząć.

– Tytuł banalny, zbyt opisowy i oczywisty – rzuca ktoś z końca sali.

– To tytuł roboczy – broni się Tulinka.

– Wtórne okropnie, nawet malowanie tamponami już było.

– Może u was, ale u mnie, na Litwie, nie malowało się tamponami.

Z parapetu zeskakuje długowłosa blondyn. Podchodzi do obrazu, spogląda lekceważąco.

– Kolega ma rację, to wszystko zbyt oczywiste – mówi. – Niby ma wartość prowokacji ze względu na narzędzie pracy. Ale chyba już tylko na przedmieściach może na kimś zrobić wrażenie. Podobne rzeczy widzieliśmy dziesiątki, jeśli nie setki razy. Prawdę mówiąc, równie dobrze mógłbym odcisnąć na płótnie swoją rękę. Albo penis.

– Chyba jednak niezupełnie – mówi Tulinka. – Z jakiegoś powodu na Promenadzie Gwiazd w Międzyzdrojach aktorzy odciskają jednak swoje dłonie, a nie penisy.

– Ach, królowo – zwraca się do Tulinki staruszek. – Autorka na razie słucha i się nie wtrąca.

– Dziękuję, panie profesorze. – Blondyn wraca do swojego wątku. – Jeśli pozbędziemy się kołtuństwa i mieszczańskich uprzedzeń, to powiedzcie, nawet z punktu widzenia modelek i modeli, które nam pozują, jaka jest różnica między dłonią, waginą a penisem?

– Spróbuj zjeść zupę, posługując się penisem! – proponuje ktoś z ostatnich ławek. Sala w śmiech.

– A pamiętacie Tima Patcha, tego malarza z Australii? – pyta brunetka, chuda, wysoka, cała na czarno jak z rodziny Addamsów.

– O, właśnie! – podrywa się siedzący przed nią chłopak. – To przecież on malował nie tylko penisem, lecz także pośladkami oraz jądrami, podobnie jak nasza koleżanka.

– Wypraszam sobie, ja nie mam jąder – protestuje Tulinka.

Sala w śmiech.

– Nie wspominajcie mi o Timie Patchu. – Załamuje ręce staruszek.

– Dlaczego? – dziwi się Tulinka.

– Królowo, miała się pani nie wtrącać. Jest pani piekielnie zdolna, co nie znaczy, że wszystko pani wolno.

Zastanawiam się, dlaczego mówi się, że ktoś jest piekielnie zdolny, a nie niebiańsko, zupełnie jakby diabeł był zdolniejszy od Pana Boga.

– Tima Patcha raz widziałem podczas pracy – kontynuuje staruszek. – Starł mu się cały naskórek z członka, od tamtej pory zbyt boleśnie mi się kojarzy *penile art*.

– On od tej pory używa wazeliny ochronnej – zachichotał ktoś z sali.

– Panie profesorze, ale podobieństwo jest tu oczywiste – mówi brunetka. – Co zrobił Patch?

– Przede wszystkim majątek! – lekceważąco prychnął staruszek.

– Ale dlaczego? – Dziewczyna z Addamsów nie daje za wygraną. – Bo się zdobył na to, do czego chyba nikt przed nim nie miał odwagi. Rozebrał się w miejscu publicznym i zaczął członkiem malować obrazy. Tu mamy ten sam pomysł, z tą różnicą, że autorka posłużyła się waginą. Podoba mi się to. Mocno feministyczne.

– Odwagę może i miałby niejeden, ale nie miał tego pomysłu – sumuje długowłosa blondyn. – A nawet jeśli miał, to wydawał mu się niedorzeczny. Może nasz świat też by nie istniał, gdyby Pan Bóg uznał stworzenie świata za pomysł zbyt niedorzeczny.

– Pana Boga proszę mi tu nie mieszać – protestuje staruszek. – Kto chce powiedzieć coś jeszcze? Tylko bardzo proszę, już nie o detalach związanych z *penile art*, bo to jest na poziomie pierwszego roku studiów.

– Uważam, że poza wszystkim to jest bardzo komercyjne – mówi siedzący koło mnie brodac z dreadami. – Nie oceniam teraz samej komercji jako negatywnego zjawiska. Ale obraz malowany waginą może budzić pożądanie. Być może podświadome i głównie u mężczyzn.

– A niby dlaczego głównie u mężczyzn? – protestuje rudowłosa dziewczyna z wygolonymi do skóry skrońmi. – Ja wolę kobiety.

– Twoja sprawa – mówi chłopak z dreadami. – Chciałem powiedzieć, że sztuka powinna budzić w ludziach uczucia. Jakiegokolwiek, byle wyrwać odbiorcę z umysłowego marazmu. Jestem pewien, że obrazy waginalne mogą poprzez ciąg wyobrażeń budzić większe pożądanie niż niejeden akt. Przecież chyba każdy, kto na taki obraz spojrzy, myśli od razu o tym akcie twórczym, podczas którego powstał obraz. No i nie oszukujmy się, każdy od razu widzi w wyobraźni tę realną waginę, która zostawiła na płótnie swój ślad.

– Pieprzenie! – prychnął ruda. – A gdy widzisz kobietę w ciąży, to też czujesz podniecenie poprzez ciąg przyczynowo-skutkowych skojarzeń?

– Stosunkowo-przyczynowych! – śmieje się siedząca za nią dziewczyna.

– Mam wrażenie, że nasza dyskusja zmierza w jakimś sztubackim kierunku – stwierdza z dezaprobatą staruszek. – Przestrzegalbym państwa przed dosłownością. To, że Renoir mawiał, iż maluje swoim penisem, było tylko metaforą. To, że Kandinsky twierdził, że płótno jest dziewicą, nie oznaczało, że gwałcił je pędzlem lub czymkolwiek innym. Przestrzegam też przed powtarzalnością. Co zrobił Klein? Odciskał ciało kobiety na papierze, uprzednio nakładając na nią farbę. Przedstawiony, czy też może raczej odcisnięty przez naszą studentkę ślad waginy rzeczywiście nie jest jakąś specjalną nowością, ale my nie możemy zakładać, że wszystko już było. Zmianą jakościową jest tu istotnie czynnik związany z DNArt. Włączenie genomu człowieka w immanentną strukturę sztuki.

– No ale równie dobrze mogłaby malować warkoczem – mówi chłopak z dreadami.

– Co najwyżej ogonem, bo nie mam warkocza – prychnął Tulinka.

Przypomniało mi się, jak przyznała kiedyś, że ma dodatkowy kręg lędźwiowy, niektórym zdarza się takie dziedzictwo genetyczne, ale ogona u niej nie widziałem.

97.97

– Bez obrazu o obrazu, ale dziwne rzeczy tam robicie. Nie miałem pojęcia, że to wszystko

tak daleko zaszło. Dla mnie Picasso to już awangarda, a ty malujesz obrazy z DNA.

– Nie mów o moich obrazach, że są z dna. Mów De-eN-A. Drukowanymi literami.

– Nikt nie mówi drukowanymi literami.

97.98

W ramach Jazzu nad Odrą byłem na koncercie Nilsa Frahma. To niemiecki pianista i kompozytor grający muzykę elektroniczną z elementami jazzu, a może po prostu zwykłego ambientu. Efekciarskie, czasami kiczowate, ale wspomagane sekcją smyczków jakimś cudem dobrze się słucha. Przez cały czas w pudle rezonansowym fortepianu leżały dwie białe szczotki do czyszczenia sedesu. W pewnym momencie pianista odszedł od klawiszy i po nie sięgnął. Potem pochylał się nad pudłem rezonansowym i zaczął wybijać nimi rytm, takty, melodie, uderzając o drewniane poprzeczki, struny, obudowę instrumentu. Można to do dziś dokładnie zobaczyć w bogatych zbiorach YouTube'a, gdzie na zachowanym filmie BBC *Nils Frahm, A Winged Victory for the Sullen, BBC Proms 2015, full performance* widać, jak w sześćdziesiątej siódmej minucie sięga po te szczotki do kłopa i tworzy nimi muzykę. To tak jakoś skojarzyło mi się à propos niekonwencjonalnych środków wyrazów w sztuce. Czasy mamy zwariowane i tak po prostu jest wokół nas.

00.19

Czarcie ziele

Tymon sięgnął po drugą butelkę. W irlandzkim pubie pracował jako barman od kilku lat i wiele dziwnych historii już słyszał. Opowieść Maksu brzmiała jednak jak scenariusz filmu sensacyjnego. Dziewczyna z nocnego klubu, ukryty majątek Grohmanów, a na koniec morderstwo... I to wszystko w jego rodzimej Łodzi?

– To pasjonujące – powiedział.

Maks pociągnął długi łyk whisky.

– Czy domyślasz się, dlaczego ci o tym opowiedziałem? – zapytał.

– Coś podejrzewam, ale nie jestem pewien...

– Zróbmy interes – zaproponował Maks. – Ja nie mogę teraz wrócić do kraju. Wróc ty zamiast mnie...

– Nie mam do czego wracać – przerwał od razu Tymon. – Przed wyjazdem z Łodzi mieszkałem u rodziców. Wyobrażasz sobie? Trzydziestoletni facet mieszka z mamą i tatą w dwupokojowym mieszkanku na Widzewie? Głównie dlatego wyjechałem do Dublina.

– Nie ma problemu – stwierdził Maks. – Dam ci klucze do mojego mieszkania, przy okazji zaopiekujesz się nim. Odnajdziesz Magdę i wyciągniesz z niej wszystko, co wie o ukrytym złocie. Na pewno nie powiedziała o nim nikomu. Jest cyniczna, ale ten trup napędził jej strachu.

– Mam z niej to wyciągnąć? Myślisz, że to guma z majtek, że ciągniesz i już? Łatwo ci mówić.

– Dasz radę. Najpierw zostań jej klientem. Zdobądź zaufanie i zaproponuj spółkę. Podział zysków, rozumiesz.

– A jak się nie zgodzi?

– To dasz jej serum prawdy.

– Co jej dam?

– To.

Maks wyciągnął z kieszeni blaszane pudełeczko. Wyjął ze środka kilka zasuszonych

owoców. Przypominały bukowe orzeszki w kosmatych łupinach.

– To bieluń, zwany też czarcim zielem albo trąbą anioła. Zawiera skopolaminę, silny środek halucynogeny. Tylko ostrożnie, bo przedawkowany może doprowadzić do śmierci.

Zamknął pudełeczko, położył na blacie baru. Potem wyjął klucze do mieszkania i kluczyki do auta.

– Samochód stoi przy lotnisku w Łodzi, przyda ci się. Biały opel, taksówka z zaklejonym numerem bocznym. Możesz lecieć choćby jutro. Masz połączenie wprost z Dublina.

Tymon wziął blaszane pudełko do lewej dłoni, klucze do prawej i przez chwilę im się przyglądał, jakby ważył swoje przyszłe losy.

– Niczego się tu nie dorobiłem – powiedział w końcu. – W porządku, jadę. Spróbuję odnaleźć i tę twoją pannę, i to złoto ukryte przez Grohmanów.

Zgasili w barze światło i lekko się zataczając, wyszli na pustą już o tej porze ulicę. Tymon wiedział, że od tej pory zaczyna się nowy etap w jego życiu. Nie podejrzewał jednak, że czeka go w nim aż tyle niespodzianek.

97.99

Ściąga z szubienicy płócienną torbę i wyjmuje z niej kilka książek.

– Masz tu korepetycje ze sztuki współczesnej – mówi. – Kurs dla początkujących. Weź to sobie do pokoju i przejrzyj w wolnym czasie. Może mnie lepiej zrozumiesz.

Wieczorem przeglądam albumy i dochodzę do wniosku, że trudno mi będzie zrozumieć. Na przykład nie wiedziałem, że Marc Qinn to światowej sławy artysta, który robi rzeźby z krwi. Z własnych skrzepów stworzył swoją podobiznę, a z wydalonego po porodzie łożyska swojej partnerki – portret ich syna. Pomysł wydaje mi się idiotyczny, ale krytyka uznała, że jest to odpowiedź na „fundamentalne dla ludzkości pytanie o to, gdzie kończy się matka, a zaczyna dziecko”. Dziwne, dla mnie do tej pory nie było to fundamentalne pytanie. Pępowina nie spędzała mi snu z powiek.

Wiedziałem natomiast, że do najciekawszych artystek w Polsce należy Joanna Rajkowska, ta, której pomysłem jest sztuczna palma na rondzie Charles’a de Gaulle’a w Warszawie i która tworzy osobliwe dzieła sztuki w oparciu o materiał uzyskiwany ze swojego ciała. Nie miałem jednak pojęcia, że w warszawskim Centrum Sztuki Współczesnej sprzedawano na przykład puszki z napojami, do których dodała artystycznie śluz intymny. Chciałbym widzieć minę jej gości, którym stawia do obiadu różne napoje, a po obiedzie proponuje: – Czy komuś z państwa dołączyć jeszcze wydzielinę z mojej pochwy?

W drzwiach staje Tulinka i patrzy pytająco.

– To jako artystce pozostaje ci chyba już tylko zrobienie kupy i wystawienie jej jako rzeźby ekologicznej – wzdycham ze współczuciem.

– Kupa już była.

– Żartujesz, prawda?

– Nie, możesz sprawdzić w internecie. Włoski artysta Piero Manzoni sprzedawał w puszkach swoje mistrzowskie gówno po cenie złota.

– To pewnie stąd ten kryzys na światowych giełdach. A sperma już była?

– Jordan McKenzie. Masturbuje się, a potem swoje ejakulacje utrwała chemicznie, chyba proszkiem węgla. Miał wystawę, na której przedstawił kilkadziesiąt prac.

– To bardzo pracowity artysta.

– Rozumiem, że ciebie to śmieszy. Ale może my w ten sposób kontestujemy albo interpretujemy świat? Może to jest nasz sposób krytyki? Społeczeństwa, konsumpcjonizmu,

zakłamania. Sztucznych proroków, tych, którzy decydują, co jest sztuką. Polityki? Waszej politycznej poprawności?

– Tak, byleby czymś zaskoczyć widza.

– A wiesz, kto dziś tworzy dzieło? Nie tylko twórca. On sobie może malować cuda na patyku i nikt tego nie zauważy. To krytycy, teoretycy, recenzenci tworzą artystę. Dopiero dzięki nim czyjaś twórczość może zostać dostrzeżona, zauważona, zinterpretowana i puszczone w obieg.

– A co ma do tego sperma? Nie sądzę, żeby miała tyle do powiedzenia.

– Pamiętasz, co ci mówiłam o DNArt?

– Tak. Malujesz ludzi z użyciem ich DNA, bo może kiedyś będzie ich można sklonować.

Obrazy jako przechowalnie szczątków. Żywe obrazy, prawda?

– Potencjalnie żywe. Krok w kierunku Świętego Graala.

– Tak daleko bym nie szedł.

– Dlatego nigdy nie będziesz artystą.

Każdy rodzi się, by być wyjątkowym, ale to udaje się wyjątkom.

98.00

Musiałem wyjechać na kilka dni do Gdańska. Tulinka chciała zabrać się ze mną. Szkicuje teraz coś nad brzegiem, ja spaceruję promenadą wzdłuż wybrzeża. Słońce sący się z trudem przez chmury. Morze szumi za wydrami, a pod nimi od strony lądu wszystkie ławki są zajęte przez ludzi mocno po siedemdziesiątce. Siedzą z twarzami zwróconymi do niechętnego im dziś słońca, łapią słabe promienie, grzeją się ciepłą iluzją wczesnego lata. Mężczyźni porozpinali koszule, kobiety wystawiają wewnętrzne strony dłoni i przedramion, wszyscy mają twarze zwrócone ku górze, wyglądają jak długa kolejka czekających na znak zza chmur, starzy ludzie w poczekalni do nieba.

Przed wejściem na molo jedno miejsce na ławce jest wolne, siadam obok siwych kobiet, zamykam oczy, czuję słaby powiew ciepła i powoli oswajam się z myślą, że niebawem zaczną czekać razem z nimi.

98.01

Tulinka leży na ręczniku, czyta Bukowskiego.

– Diabelnie dobry. Wzięłam wczoraj flaszkę szkockiej, ale zanim doczytałam do połowy, była już pusta. Co za szajs, pomyślałam, kiedyś butelka wystarczała do końca lektury, a dziś, cholera, nawet szkocka przestała uderzać do głowy, a Bukowski wciąż mocny. Literaturę, rzecz jasna, wymyślili mężczyźni. Głównie dlatego, że umiejętność ubierania w słowa bardzo pomaga w rozbieraniu kobiet.

Patrzę na nią rozmarzony. Jest w tym jakiś paradoks, że im bardziej niebiańska kobieta, tym bardziej mężczyźni skłonni są do grzechu.

Tulinka:

– Być może jest gdzieś ten mężczyzna od dawna mi pisany, ale ja jeszcze go nie przeczytałam.

00.20

Obca lokatorka

Bramka wykrywająca metalowe przedmioty wydała tak ostry dźwięk, że Tymon aż się skulił. Celnik podszedł i wyjął ręczny detektor. Po chwili wskazał górną kieszeń marynarki Tymona. No tak, metalowe pudełko z czarcim ziele. Wyjął je i podał celnikowi. Ten ze zdziwieniem spojrział na zawartość.

– To taka naturalna substancja dla tych, którzy cierpią na chorobę lokomocyjną – skłamał Tymon. – Sprzedają to w ekologicznych aptekach.

Celnik z dezaprobatą pokręcił głową, ale nie zadawał dalszych pytań.

Lot z Dublina do Łodzi trwał niespełna trzy godziny. Tymon bez przeszkód przeszedł przez odprawę celną i odebrał bagaż. Lotnisko im. Władysława Reymonta wyglądało imponująco. Olbrzymia wieża kontroli lotów, nowy terminal – jasny, czysty, przestronny.

Odnalazł samochód, spakował bagaże i pojechał w kierunku centrum. Z niepokojem zauważył, że nigdzie nie może trafić – połowa ulic w remoncie, zupełnie jakby miastem rządził Bob Budowniczy. Krążył, kluczył, w końcu zachciało mu się pić i wysiadł przy Piotrkowskiej. I aż go zatkało z wrażenia. Cała ulica i chodniki z granitu, dziesiątki budynków odremontowanych. Europa – pomyślał z podziwem. Przez te kilka lat jego nieobecności miasto bardzo się zmieniło.

Największy szok przeżył, starając się trafić na Narutowicza. Zobaczył, że nie ma starego dworca Łódź Fabryczna! Zniknął, a na jego miejscu pojawiły się jakieś nowoczesne formy architektoniczne.

– Co się stało ze starym dworcem? – zapytał przechodzącą dziewczynę.

– E, nic takiego. – Machnęła lekceważąco ręką. – Wkopali go pięć piętér pod ziemię.

– Naprawdę?

Dziewczyna się roześmiała.

Pół godziny później był przed domem. Otworzył drzwi mieszkania, zapalił światło. Mieszkanie nie wyglądało na niezamieszkałe. Na stole stał wazon ze świeżymi piwoniami, obok talerzyk czereśni. W powietrzu unosił się miły zapach. Wciągnął go mocno nosem. Rumiankowy szampon? Płyn do kąpieli? Powoli podszedł w kierunku sypialni. Lekko pchnął drzwi.

Spostrzegł nagie plecy kobiety leżącej na łóżku. Zbliżył się ostrożnie, na palcach. W świetle padającym z korytarza zobaczył jej twarz. Duże usta, delikatnie zarysowany nos, ciemne brwi kontrastujące z burzą blond włosów rozsypanych na poduszce. Spała. Jej niczym nieprzesłonięte piersi unosiły się w spokojnym rytmie. Przez chwilę zatrzymał na nich wzrok.

98.02

Tulinka:

– O wyższości literatury nad przelotnym romansem. Książka zazwyczaj dociera głębiej niż facet, a przy tym nie chrapie.

98.03

– Opowiedz mi coś – prosi Tulinka.

– Ale co?

– Nie wiem, lubię książki, więc może coś o nich.

– Opowiem ci coś o szefie pewnego wydawnictwa. Zawsze był stary, taki już przyszedł na świat, a nawet wcześniej, bo zanim się pojawił, świata jeszcze nie było. Od razu, nie tracąc energii na pośrednie szczeble kariery, został głównym wydawcą. Nikt jeszcze nie wiedział czego, bo poza nim nikt jeszcze nie istniał. Zatem sprowadził z zaświatów Adama i Ewę, ale ku jego

zgrozie nie było z nich żadnego pożytku, czas spędzali wyłącznie na bzykaniu. Sam się zabrał więc do roboty. Zaczął od wydawania podręczników do astronomii, map gwiazd i kontynentów. Potem wydał atlasy ryb, zwierząt i ptaków, a także grzybów, z powodu rozczarowania Adamem i Ewą pomijając rozdział o grzybach trujących. Był miłośnierny, więc z czasem dopisał erratę, zwłaszcza że pojawiło się potomstwo, równie niefrasobliwe jak rodzice. Dla niego opublikował elementarz i kilka podręczników, w tym savoir-vivre'u, żeby urwisy nie ganiały się tak po wydawnictwie.

Rozkwit literatury religijnej pojawił się wraz z jego potomkiem, z którym przekształcił dotychczasową działalność gospodarczą w spółkę wydawniczą JHWH & Syn. Wszystko przepisywano wówczas ręcznie, świat pełen był mądrych zdań, głupoty nikomu nie chciałoby się kaligrafować. Miała pojawić się z czasem, dla którego istnienia wypuszczono na rynek pierwsze kalendarze. Poza datami zawierały aforyzmy i przepisy kulinarne, nierzadko też rady dotyczące możliwości pozbycia się trudnych do wyprania plam lub czarownic.

A później poszło jak z górki. W wydawnictwie zamontowano wielkie lustro, w którym przeglądała się literatura. Ta, która była piękna, trafiała do czytelników, a brzydka do kosza. Jednak na skutek nieostrożności jednego z urwisów pewnego dnia lustro zostało stłuczone. Literatura piękna mieszała się z brzydką i czytelnicy zaczęli otrzymywać książki niekiedy tak głupie, że dla ich określenia musiano wymyślać nieistniejące dotąd wyrazy. Głównemu wydawcy bardzo to się nie spodobało, ale w międzyczasie wymyślono demokrację, więc został przegłosowany przez akcjonariuszy spółki w demokratycznych wyborach. Od tej pory drukowano już wszystko, począwszy od biletów na walki gladiatorów. I tak jak pieniądź lepszy został wyparty przez gorszy (bo złote monety ludzie woleli trzymać w domu niż wydawać, posługując się na co dzień miedziakami), tak i gorsza literatura wyparła lepszą.

Wraz z upowszechnieniem się czytelnictwa pojawiły się gazety, początkowo zawierające informacje prawdziwe i pożyteczne, ale wkrótce zmieniły się one w tabloidy ogłupiające ludzi, pełne kłamstw i idiotycznych historyjek wyspanych z palca.

00.21

Pod stołem

Sytuacja z pewnością była niecodzienna. Tymon stał w obcej sypialni i w półmroku przyglądał się piersiom śpiącej kobiety. Nie miał pojęcia, co robić. Kim ona jest? Jego nowy przyjaciel, od którego dostał klucze, mieszkał przecież sam.

Wyciągnął rękę, by obudzić nieznajomą, gdy usłyszał trzaśnięcie drzwi z drugiego końca mieszkania. Rozbrzmiał mocny męski głos.

– Laleczko, twój pieseczek wraca do ciebie świeżo wykąpany!

Kobieta się poruszyła, ale nie otworzyła oczu. Po omacku sięgnęła po drugą poduszkę i przykryła nią głowę.

Zastygł zaskoczony. Nie dość, że w mieszkanku, które miało na niego czekać puste, zastał obcą kobietę, to w dodatku zaraz się spotka oko w oko z równie obcym mężczyzną. Spojrzał w kierunku drzwi. Za późno. Nie zdąży uciec. Cień zbliżającego się mężczyzny przekraczał już próg.

Tymon poczuł się jak intruz przyłapany na gorącym uczynku. W popłochu rozejrzał się dookoła. Uchylone drzwi szafy, w ciemnym kącie pokoju stół z długim obrusem i stertą rzeczy do prasowania, parawan. Jest jeszcze kotara. W ułamku sekundy podjął decyzję. Skoczył w kierunku stołu i zniknął pod obrusem sięgającym podłogi. Po chwili zobaczył bosa męskie stopy, zostawiające mokre ślady na podłodze. Dostrzegł, że mężczyzna ma tuż nad kostką

wytatuowany gotycki łuk wsparty na kolumnach w kształcie szpulek.

- Ejże, ty śpisz? – usłyszał jego rozczarowany głos.
- Śpię – dobiegł stłumiony głos spod poduszki.
- Mieliśmy trochę pobaraszkować.
- Baraszkowałeś już.
- Za mało.
- Nie ma mnie.
- A ja ci zaraz udowodnię, że jesteś!
- Dałbyś spokój, zmęczona już jestem. To moja czwarta noc z rzędu.
- To tak traktujesz swoich ulubionych klientów?
- Klient to ktoś, kto płaci, a nie przychodzi na przeszpiegi! – Kobieta musiała odłożyć

poduszkę, bo nagle jej głos stał się wyraźny i dźwięczny.

– Mała! Ty mi tu tylko nie podskakuj! – Głos mężczyzny nagle stwardniał. – Wiesz, co spotyka takie przemądrzałe panny? A może chcesz wylądować wśród tirówek?

Groch blefował, miał słabość do tej dziewczyny. Po raz pierwszy zobaczył ją na zdjęciu w aktach policyjnych, gdy jego zespół rozpoczynał akcję rozpracowującą handlarzy kobiet. Od razu wpadła mu w oko – pod pretekstem kontroli nad śledztwem odwiedzał ją regularnie.

Zapadła cisza. Po chwili słychać było posapywania tamtego mężczyzny. Po paru minutach łóżko skrzypnęło i kobieta odezwała się miłym i ciepłym głosem:

- Oj, mój miły pieseczku, na żartach się pan inspektor nie zna?

Kurz z dawno niesprzątanej podłogi pod stołem zakręcił Tymonowi w nosie. Przygryzł wargi i wstrzymał oddech. Ale i tak nie powstrzymał głośnego kichnięcia.

98.04

Jedziemy na Hel, zmierza się, z oddali widzę awaryjne światła samochodu. Na poboczu stoi audi Q7 z niemieckimi numerami rejestracyjnymi. Obok chłopczyk i trzydziestolatka w spódnicy tak krótkiej, że kończy się szybciej niż zaczyna. Zatrzymuję auto, bo machają, a zaczyna padać. Poza tym zmierzch i ta spódniczka. Dziewczyna narzeka, że wóz drogi, jej chłopak zapłacił sto tysięcy euro, a teraz auto stanęło bez wyraźnego powodu. Co prawda, świeciła się lampka kontrolna paliwa, ale dopiero od wczoraj.

Po kwadransie mijamy drogowskaz z napisem „Muzeum Motyli”.

- Mamo, a co jest w muzeach? – pyta chłopczyk.
- Stare rzeczy.
- No ale co jest w Muzeum Motyli?
- Stare motyle.

98.05

Z okna pensjonatu widzę przychodnię zdrowia. Mają wydawać dodatkowe numerki na wizyty do specjalistów. Przed otwarciem kilkadziesiąt osób ustawia się w kolejce. Pada zimny deszcz, wieje przenikliwy wiatr. W Polsce człowiek nie musi ciężko chorować, żeby umrzeć, wystarczy, że będzie się leczył.

98.06

Wszyscy chcą być kochani, więc to dość dziwne, że w tym celu kobiety dla swoich

mężczyzn ćwiczą brzuch, uda i pośladki, mężczyźni dla swoich kobiet – mięśnie dwugłowe i trójgłowe ramion, a przecież serce to ten mięsień, który czyni człowieka zdolnym do kochania.

98.07

Tulinka na plaży:

– Kształcenie mężczyzn to jałowy proces – wystarczy pokazać im tyłek i ponownie głupieją. Od czasu Adama i Ewy nie zmądrzeli.

Istotnie. To jest bardzo niesprawiedliwe. Mężczyzna, żeby zdobyć kobietę, musi się natrudzić, nawymyślać, nachodzić, kwiatów naznosić, pobić wszystkich rywali, recytować wiersze i śpiewać serenady, a jeśli kobieta chce zdobyć mężczyznę, zakłada po prostu krótką spódniczkę.

98.08

Ponownie spotykam trzydziestolatkę, tym razem bez chłopczyka, za to z dobrze zbudowanym trzydziestoparolatkiem. To John, z Anglii. Ona uczy go polskiego. Siadają obok na piachu.

– Przeczytaj ten napis – wskazuje mu szyld pobliskiego baru.

John coś sylabizuje pod nosem, w końcu pyta:

– *What is it „rybifrytek”?*

– Rybifrytek to taka tradycyjna polska potrawa – całkiem poważnie tłumaczy dziewczyna.

Patrzę na niezdarnie namalowany szyld. „Smażalnia ryb i frytek”.

John staje w kolejce do baru.

– Proszę trzy razy rybifrytek – mówi całkiem dobrą polszczyzną.

Dziewczyna się śmieje.

– Powiedziałaś mi, że moim rodzinnym miastem jest Sosnowiec, a on zapytał, kto wpadł na pomysł, żeby nazwać miasto Sos z Owiec.

98.09

Etymologiczny słownik języka polskiego wydany przez PWN tłumaczy, że słowo „cipka” pochodzi od staropolskiego „cipać”, czyli napychać, ale także jeść żarłocznie, obżerać się.

Lubię, gdy nauka odpowiada na podstawowe pytania nurtujące szerokie rzesze społeczeństwa.

00.22

Niespodziewane odkrycie

Ukryty pod stołem Tymon zamarł ze strachu. Wiedział, że tych dwoje w łóżku musiało go usłyszeć. I rzeczywiście. Chwilę trwała pełna zdziwienia cisza, po czym dobiegł go tubalny głos mężczyzny.

– Co to jest, do licha?

– To? – usłyszał zaskoczony głos kobiety. – To jest, to jest... on wrócił? To znaczy kot?

Mam kota!

– Drugiego? – zapytał.

– Dlaczego drugiego? – zdziwiła się.

– Bo pierwszego masz w głowie – zarechotał zadowolony ze swojego dowcipu.
Po chwili słysząc było już tylko skrzywienie łóżka. Tymon odetchnął z ulgą. Otarł pot z czoła. Kot go uratował. Nigdy w życiu nie był w równie idiotycznej sytuacji.

Po jakimś czasie poczuł zapach papierosowego dymu.

– Przemysłałaś moją propozycję? – zapytał mężczyzna.

– Którą?

– Żebyś pracowała dla mnie.

– Mój ulubiony pieseczek zamierza otworzyć klub nocny w komisariacie?

– Nie bądź taka do przodu, bo cię sznurowadła wyprzedzą! I nie mów do mnie „pieseczek”, gdy rozmawiamy o służbowych sprawach. W zasadzie to ja tu służbowo jestem.

– Jasne, panie inspektorze – przytaknęła potulnie. – Przecież pracuję dla pana.

– Ustalmy dwie rzeczy. To, że jesteś naszą wtyczką, nie znaczy jeszcze, że cokolwiek formalnie łączy cię z policją. – Mężczyzna silnie zaakcentował słowo „formalnie”. – Wpadłaś w bagno, miałaś siedzieć, a jeśli nie siedzisz, to tylko dlatego, że jesteś nam tu potrzebna. Jasne?

– Tak jest, panie inspektorze.

– Ja to nie policja.

– Nie rozumiem.

Tymon z przerażeniem poczuł, że kurz znowu kręci go w nosie. Zatkanął nos i usta, ale i tak stłumione kichnięcie było słychać.

– Przepędź w końcu tego kota – warknął mężczyzna. – Albo mu łeb ukręcę.

Skrzypnęło łóżko i kilka sekund później Tymon dostrzegł spod obrusu dwie zbliżające się małe stopy. Po chwili zobaczył drobną dłoń, która uchyliła lekko obrus.

Na twarzy pięknej blondynki malowało się niedowierzanie. Miał jednak wrażenie, że nie spodziewała się znaleźć tu kota. Raczej po prostu kogoś innego niż Tymon. Przyglądała mu się oczami okrągłymi ze zdziwienia, po czym nieoczekiwanie powiedziała:

– Idź sobie stąd, kotku, bo pan inspektor łepkę ci ukręci.

Tymon pokiwał twierdząco głową. Dziewczyna opuściła obrus.

98.10

W Sopocie przed wystawą.

– Widzisz te szpilki? – pyta Tulinka.

– Widzę.

– To takie jak nosi Monika Olejnik. Chciałabym takie.

– Jezu, ale one kosztują osiem tysięcy złotych!

– Bo to szpilki marki Louboutin.

– Co to znaczy?

– Taki projektant mody jest. Louboutin.

– Brzmi jak lobotomia.

– A co to jest lobotomia?

– Straszna operacja, mój dziadek to miał, odcięcie połączeń w mózgu, zapobiega na przykład natręctwu myśli.

– Myślisz, że to stąd ta nazwa?

– Na pewno.

– To ja się jeszcze nad nimi zastanowię. Chociaż szkoda, nawet mnie kuszą.

98.11

Nie podchodzę bliżej, bo domyślam się, że mężczyźni masowo za tobą szaleją. Pewnie w szpitalu wojewódzkim jest już specjalny oddział tylko dla tych, którzy zwariowali na twoim punkcie.

Ja tu sobie siedzę i tylko na ciebie patrzę, tymczasem moja wyobraźnia przekracza wszelkie granice.

98.12

Słońce traktowaliśmy z przymrużeniem oka. Siadaliśmy nad brzegiem morza i patrzyliśmy, jak zachodzi. (Oczywiście wschody słońca też są zachwycające, ale wymagają od słońca zachodu).

Zmieniały się kolory nieba, kształty i gęstość chmur, z których odczytywałem spisane w nich historie. Opowiadałem je, zmyślając na poczekaniu bohaterów. Za każdym razem prosiła, by wszystko skończyło się dobrze.

98.13

Ludzie nudzą się ze sobą, bo zatracili umiejętność opowiadania. Powiem ci, jak ją odzyskać. Postaw przed sobą kubek z herbatą i zacznij snuć dowolną historię. Jeśli kubek nie słucha, to znaczy, że historia jest nudna. Spróbuj z inną. W końcu znajdziesz w sobie historię na tyle ciekawą, że kubek nadstawi ucha.

98.14

Trzydziestolatka opala się nieopodal, jej pięcioletni syn bawi się z innymi dziećmi w znane bajki, w pewnym momencie idzie do nas z wiaderkiem pełnym muszelek.

– To ja, Czerwony Kapturek – wyjaśnia. – Mam koszyk z jedzeniem dla babci.

– To super, Czerwony Kapturku. – Tulinka udaje głos wilka. – A co masz dziś dla mnie dobrego?

– Kebaba.

98.15

Trzydziestolatka siedzi sama w barze. Co i rusz sięga po kosmetyczkę i poprawia makijaż. Ma oczy zapuchnięte od płaczu.

Kobiety szukają miłości na lata, mężczyźni na lato.

98.15

Skradziona mapa

– Od dziś masz na imię Lena i pracujesz dla nas – orzekła tamtej nocy młoda komisarz policji.

Magda nie miała wyboru. Wiedzieli o niej wszystko. Znali historię jej pracy w nocnych klubach. Dość często pomagała spełniać zachcianki najbogatszych klientów. A niektóre z tych zachcianek wymagały niepełnoletnich dziewcząt. Doprawdy, mężczyźni bywają obrzydliwi, ale

im obrzydliwsi, tym ładniej za to płacą.

– Czyn zagrożony karą dziesięciu lat więzienia. – Rzeczowo postawiła sprawę pani komisarz.

Najpierw kazali pozbyć się Maksa, bo za dużo o niej wiedział. Pomogli zorganizować akcję, w której wyniku musiał uciec za granicę. Przypadkowo napatoczył się wtedy ten jej klient z mapą. Zatrzymali go, a Magda wmówiła swojemu kierowcy, że został zamordowany. Na wszelki wypadek wrzucono o tym fałszywkę do prasy. Dodatkowo zmyśliła historię o bandziorach w furgonetce, chociaż byli w niej pilnujący ją policjanci.

W zamian za współpracę obiecali wyczyszczenie jej kartoteki. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie i zgodnie z planem. Mówiąc ściślej, z dwoma planami. Bo jeden plan miała policja, a drugi Magda. Plan policji polegał na zdemaskowaniu międzynarodowej siatki handlarzy kobiet. Plan Magdy na odnalezieniu ukrytego majątku Grohmanów, o którym dowiedziała się wtedy przypadkiem. Jeszcze nie wiedziała, jak do niego dotrze. Na razie miała szpulkę złotych nici i pergaminową mapę.

Nikomiu o niej nie mówiła. Zresztą trudno byłoby się nią komukolwiek chwalić. Ukradła ją Maksowi. Kiedy widzieli się po raz ostatni tuż przed jego ucieczką, rutynowo obszukała mu kieszenie i znalazła ten pergamin. Okazał się rodzajem starej przedwojennej mapy Łodzi z naniesionymi rysunkami fabryk i niektórych kamienic. Ktoś zakreślił kilka krzyżyków. Przy niektórych stały znaki zapytania, przy innych wykrzykniki. Jeden z nich zaznaczony był dodatkowo czerwonym kółkiem. Przyjrzała się dokładniej rysunkowi znajdującemu się obok tego kółka. Przedstawiał dwa równoległe stojące walce, przypominające wielkie szpulki.

Zanim zdążyła się nad nimi zastanowić, zaterkotał dzwonek u drzwi. Pośpiesznie zwinęła pergamin. Chwilę zastanawiała się, gdzie go schować. W końcu otworzyła drzwi lodówki, odsunęła na bok czteropak piwa i wcisnęła rulon za rząd słóczków z kremami do pielęgnacji ciała. Była pewna, że żaden z jej gości nie będzie nimi zainteresowany. Gościła przecież wyłącznie mężczyzn.

W międzyczasie zdążyła na tyle przstraszyć Maksa, że w popłochu uciekł.

98.16

Wróciłem wieczorem, powiesiłem kurtkę – oboje już przywykliśmy do obecności szubienicy w przedpokoju, zwłaszcza że dobrze spełnia funkcję wieszaka. Potem wyjąłem butelkę wina i zabrałem się za smażenie turbota. To najsmaczniejsza ryba, jaką znam. Z wyglądu przypomina gigantyczną flądę, chociaż pysk paskudny jak u piranii. Mój dziadek był rybakiem, więc wszystko o niej wiedziałem. Przy kolacji opowiadałem więc Tulince o tym, jak w dzieciństwie wyławialiśmy półmetrowe okazy, a raz trafił się nawet taki, który przyplął z Morza Północnego i miał metr długości. Dziadka pokazywali wtedy w telewizyjnych wiadomościach.

Słuchała z uwagą, więc zacząłem opowiadać o swoich podwodnych wyprawach. Na przykład o tym, jak nurkując w Morzu Śródziemnym, spotkałem półtorametrową murenę, której pysk przypomina prehistorycznego dinozaura. Po godzinie, gdy opowiedziałem jej pół atlasu ryb morskich, uświadomiłem sobie, że mnie poniosło. Boże kochany – pomyślałem – siedzę sobie podczas romantycznej kolacji z dziewczyną jak marzenie i opowiadam jej o rybach. Dziwne, że do tej pory nie uciekła. Nawet nie przerwała mi ani razu.

Spojrzałem na nią uważnie. Głowę miała lekko przechyloną, wspartą na dłoni. Oczy nieruchomo skierowane na mnie. Coś nie tak było z tymi oczami. Machnąłem do niej ręką. Nawet nie zamrugała. Przysunąłem twarz bliżej. Usłyszałem lekki, regularny oddech śpiącego

człowieka. Przysunąłem usta do jej ust. Poczulem ich ciepło. Dotknąłem. Obudziła się.

- O rety, przepraszam cię, przysnęłam – zamrugła oczami. – O czym mówiłeś?
- Od godziny recytuję ci swoje wiersze, nie wiedziałem, że są tak nudne – odparłem, wpadając w ton obrażonego poety.
- Przepraszam cię. Bardzo cię przepraszam – była naprawdę skonsternowana. – Ja słuchałam, wszystkie wiersze słyszałam, dopiero minutkę temu przysnęłam.
- I co? – grałem już na całego. – Podobają ci się moje wiersze?
- Bardzo! Nawet nie masz pojęcia jak bardzo!
- A który najbardziej?

Zawahała się.

- Ten o miłości – zaryzykowała.

98.17

Nie życz mi, proszę, spokojnej nocy, codziennie mam tak spokojną, że we śnie mogę umrzeć z nudów, życz mi w końcu niespokojnej i pełnej szaleństwa, takiej chcę nocy od ciebie.

98.18

Tulinka:

- Nie wierz nigdy poetom, im rzadziej mówią prawdę, tym częściej używają pięknych słów.

Pochylona nad jakąś książką:

- Piotrusiu, co to jest inteligencja emocjonalna?
- Taka, która kształtuje się w relacjach interpersonalnych.
- Nie rozumiem.
- Dzięki inteligencji emocjonalnej kobiety wnioskujeją z zachowania mężczyzn, że spódniczka powinna być krótka, a dekolt duży, nigdy odwrotnie.
- Trzeba było od razu tak mówić.

Niemal codziennie jemy razem kolację. Przy winie i przy świecach. Tulinka pije wyłącznie chilijskie casillero del diablo, bo mówi, że odpowiada jej tylko smak czarnych owoców, a w winie tym wyraźnie czuć aromat śliwki, dojrzałej wiśni i czarnej porzeczki, czasami wanilii. Poza tym produkowane jest przez Viña Concha Y Toro, firmę należącą do Don Melchora, jednego z jej dalekich krewnych, który wymyślił nazwę wina oraz związaną z nią legendę o diable mieszkającym w jego piwnicy, aby przepłoszyć chłopów podkradających butelki z trunkiem.

Czasami jest bardzo romantycznie, wtedy się boję, że Tulinka zapyta o jakiś mój wiersz, z tych o miłości, a ja nie będę miał wiele do powiedzenia. O miłości nie napisałem żadnego dobrego wiersza. Na wszelki wypadek przed kolejnym wieczorem nauczyłem się na pamięć jakiegoś z internetu.

Gdy po butelce wina chciałem zrobić piorunujące wrażenie, zacząłem go recytować. Wzięła mnie za rękę i powiedziała:

- Oczywiście, że uwielbiam nasze wspólne kolacje. Ale musisz wiedzieć, że ja przez sen wszystko słyszę. I nie znoszę poezji. Natomiast bardzo bym chciała, żebyś mi opowiedział jeszcze o tych dziwnych rybach.

98.19

Z okazji przekroczenia granicy pięciuset tysięcy widzów dostałem od zespołu Funeral TV osobliwy prezent. Nekrolog oprawiony w srebrną ramkę. Wycięty był z „Gazety Wyborczej”, a osobą, którą żegnał, była – cytuję dosłownie, z zachowaniem składni:

„Delfina Maria Benigna

Sofia Dorotea Eduvigis

z hr. Lubicz-Orłowskich

hr. Ignacowa z Siecina

Krasicka

Córka hr. Karola – Stefana i Róży z hr. Sobańskich,

urodzona 2 października 1944 roku w Buenos Aires.

Wybitna artystka, założycielka Galerii Delfiny

na warszawskim Powiślu”.

Pięć pierwszych wierszy to nazwa rodowa, czyli w najbardziej oficjalnych sytuacjach tak właśnie Delfina mogła być przedstawiana.

W życiu nie widziałem równie dystyngowanego, reprezentacyjnego, majestatycznego i wykwińskiego nekrologu.

00.24

Klub dla bogaczy

Siedział ukryty pod stołem co najmniej od pół godziny. Początkowy strach ustąpił miejsca zdumieniu. Dlaczego ta kobieta go nie zdradziła? Dlaczego opuściła z powrotem obrus, udając przed tamtym mężczyzną, że nikogo poza nimi nie ma w sypialni? Kim ona jest? I czy ten mężczyzna, z którym poszła z powrotem do łóżka, to rzeczywiście inspektor policji? Dziesiątki pytań krążyły Tymonowi po głowie. I z każdą minutą było ich coraz więcej. Wsłuchiwał się w rozmowę tych dwojga z rosnącym niedowierzaniem.

– Postawmy sprawę jasno – powiedział tamten mężczyzna. – Wymagam od ciebie całkowitej lojalności wobec mnie.

– Jestem przecież lojalna – odpowiedziała potulnie kobieta. – Przecież zgodziłam się na współpracę z policją...

– Nie do końca mnie rozumiesz – przerwał mężczyzna. – Nie mówię o współpracy z całą policją, lecz ze mną.

– Z panem osobiście, panie inspektorze?

– Ze mną osobiście – powtórzył.

– Ale przecież ja mam kontakt już z panią Marią. To znaczy z panią komisarz.

– Z Mary Jazz? – prychnął lekceważąco. – Taka z niej policjantka jak z koziej dupy trąba.

– No, ale to ona kazała mi wracać do tego klubu nocnego. Myślałam, że pan wie.

– Sukę przysłała komenda główna, nie mówi mi wszystkiego. W zasadzie to nic mi nie mówi. Co jeszcze ci kazała?

– Wprowadzić ją tam.

– Gdzie?

– W klubie istnieje coś w rodzaju VIProomu...

– Co to jest? – zainteresował się.

– Takie specjalne pomieszczenie dla najbogatszych klientów – wyjaśniła.

– A, takie jak to, gdzie podsłuchano ministra Sienkiewicza i prezesa Belkę? – zapytał.

– No tak, tylko zamiast najlepszych dań trafiają tam najlepsze dziewczyny.

– A jaka ma być w tym rola tej policjantki?

– Zostanie menadżerem tego VIProomu.

– A po co jej to? – Mężczyzna był wyraźnie zdziwiony.

– Menadżerowie tych klubów utrzymują ze sobą kontakty nie tylko w kraju, ale i za granicą. Czasami klient ma ochotę na przykład na prawdziwą Francuzkę lub Japonkę, to trzeba mu ją szybko załatwić. Dla takiego klienta nie liczą się koszty. Tak dzisiaj działa międzynarodowa siatka handlarzy kobiet. Prawdziwych pieniędzy nie zarabia się na tirówkach, lecz na tych ekskluzywnych paniach.

– Fiu, fiu – zagwizdał z podziwem mężczyzna. – I w Łodzi jest klub z takim VIProomem?

– Tak.

– I są klienci?

– Bardzo wielu. Lokal znajduje się niedaleko wylotu na autostradę, do Warszawy godzina drogi, zaś dyskrecja przez to murowana.

– Dobra. Ustalmy jedno. Cokolwiek będzie się tam działo, ja muszę o tym wiedzieć. I to wcześniej, niż dowie się o tym moja policjantka! Zrozumiano?

– Tak, panie inspektorze.

Zapadło milczenie. Tymon usłyszał jeszcze tylko dźwięk zapinanej sprzączki paska do spodni i oddalające się kroki. Potem dobiegł go stanowczy głos kobiety.

– No dobra, a teraz wychodź spod tego stołu i powiedz, coś ty za jeden.

– A on już poszedł? – zapytał wciąż przerażony Tymon.

– Tak, poszedł.

Tymon odsunął obrus i wyszedł z ukrycia. Rzeczywiście, w sypialni byli tylko on i ta półnaga blondynka. Odetchnąłby z ulgą, gdyby nie fakt, że trzymała w dłoni pistolet wymierzony w niego.

98.20

W południe przyjechało dwóch kurierów z paczuszką. Byli z firmy ochroniarskiej, w kamizelkach kuloodpornych, ubrani jak ci, którzy wymieniają kasety z pieniędzmi w bankomatach. Chciałem odebrać paczuszkę, ale powiedzieli, że to przesyłka z USA, ubezpieczona na dziesięć tysięcy dolarów, przeznaczona do rąk własnych pani Migle Tulickiej.

– Co tam jest? – zapytałem zdumiony.

– A diabli wiedzą.

Wzruszyłem ramionami i powiedziałem, żeby w takim razie przyjechali później, chociaż bardzo intrygowało mnie, co może być w szarym pudełeczku za dziesięć tysięcy dolarów.

98.21

Czekam na Tulinkę przed budynkiem ASP, obok mnie rozmawiają dwie lekko ujarane studentki.

- Nie interesuje mnie zbawienie.
- Dlaczego?
- Mam lęk wysokości.
- I co z tego?
- Źle bym się czuła w niebie, jest za wysoko.

98.22

Byłem na kolegium redakcyjnym w Funeral TV. Nowy naczelny chce poszerzyć krąg widzów. Zamierza wprowadzić do programu wszystko, co może się kojarzyć nie tylko z pogrzebami, lecz także morderstwami, zbrodniami, a nawet czarnym humorem.

Jeden z widzów podesał mi właśnie wycinki prasowe o parafiance kościoła Holy Redeemer w Slough. Była samotna i mało atrakcyjna, więc życie towarzyskie ułożyła sobie w ten sposób, że przez lata objeżdżała pobliskie kościoły, spisywała daty pogrzebów i pojawiała się na nich jako świeżo odnaleziona krewna. Brała udział we wszystkich okolicznych pochówkach, a potem w stypach, organizując sobie w ten sposób czas wolny od pracy.

Sprawa wyszła przypadkiem, gdy podczas jednej ze styp parafianka zapakowała całą torbę jedzenia i odjechała na rowerze. Żałobnicy zwrócili się ze skargą do księdza Noaha Connolly'ego, ten zaś przyznał, że zauważył ten proceder ponad dziesięć lat temu, ale nie może przecież zakazać nikomu chodzenia na pogrzeby.

Przypomniało mi się, jak dziadek opowiadał, że po wojnie komuniści uznali go za element wrogi klasowo, bo miał folwark i poglądy sprzeczne z ideologią partii rządzącej. Wsadzili go najpierw na pół roku do więzienia, by skruszał, a potem znacjonalizowali mu cały majątek. Nie ma się co dziwić, takie rzeczy zdarzają się do dziś, na razie jeszcze w mniejszej skali. Wystarczy przypomnieć polską nacjonalizację funduszy emerytalnych w dwudziestym pierwszym wieku. Ale historia lubi się powtarzać, wszystko jeszcze przed nami. Gdy dziadek wyszedł z więzienia, to nie miał z czego żyć, więc chodził na stypy. Czał się przed kościołami, czekając na msze żałobne, a potem ruszał z konduktem, zawodził nad grobem tak, żeby go zapamiętali, i jako świeżo odzyskany krewny szedł ze wszystkimi na konsolację. Ten niecny proceder uprawiał przez rok, aż na jednej ze styp poznał wdowę, w której się zakochał. Moi dziadkowie poznali się zatem na pogrzebie.

00.25

Pod lufą pistoletu

Pistolet wymierzony był wprost w głowę Tymona.

– Mów, kim jesteś i co tutaj robisz! – rozkazała blondynka.

Powoli gramolił się spod stołu.

– Jestem przyjacielem Maksa – wyjaśnił, rozmasowując ścierpnięte nogi. – Dał mi klucze, żebym u niego przez jakiś czas nocował. Mówił, że w domu nie będzie nikogo. Wszedłem i zobaczyłem panią w łóżku. Chciałem od razu się wycofać, ale usłyszałem tego policjanta i schowałem się pod stół.

– Nie wierzę ci. – Ścisnęła mocniej kolbę pistoletu.

– To może pani do niego zadzwonić. Pani jest przecież... – olśniło go – Magdą! Prawda? Mówił mi o pani.

Przygryzła wargi. Milczała.

– Był pani kierowcą, woził pani klientów, aż do tego dnia, w którym zamordowano tego biznesmena, który chciał w Łodzi szukać majątku po Grohmanach! Wtedy musiał uciekać, a pani została w jego mieszkaniu!

Dopiero teraz Tymon wszystko zrozumiał. Wszystko wydawało mu się jasne i proste. Przez dwie sekundy.

– Nie mam na imię Magda, lecz Lena – powiedziała spokojnie kobieta.

I znów nic nie rozumiał.

– A gdzie jest Magda?

– Nie wiem. Przekazała mi tylko klucze, żebym podlewała kwiatki.

Rozejrzał się po mieszkaniu. Nigdzie nie było żadnego kwiatka.

– Dlaczego mnie przed nim nie zdradziłaś, przed tym policjantem?

– Początkowo wzięłam cię za kogoś innego...

– Za Maksa?

– Tak.

– No a potem, jak mnie zobaczyłaś?

– Było za późno. Wpadłby w szal, gdyby cię zobaczył. Nie uwierzyłby mi. I z powrotem wylądowałabym w areszcie. A potem w więzieniu. Słyszałeś przecież. Szantażuje mnie.

– Czego on od ciebie chce?

– Też słyszałeś. Początkowo myślałam, że chce się dowiedzieć czegoś o handlarzach kobietami. A teraz to sama już nie wiem.

Wciąż patrzyła na niego nieufnie.

– Jak długo siedziałeś pod tym stołem?

– Pół godziny, może trochę dłużej. Od czasu, w którym ten policjant wyszedł z łazienki. Nagle przyszło jej coś do głowy.

– Słuchaj, a może ty po prostu nas podglądałeś? Podsluchiwałeś? A może nagrałeś?

– Ależ skąd!

– Na pewno nie schowałeś się tu po to, żeby nagrać inspektora i mieć na niego haka?

– Przysięgam!

Chwilę myślała, po czym odłożyła pistolet.

– W porządku, możesz tu zostać jakiś czas. Ale pod jednym warunkiem.

– Jakim?

– Takim, że jak komisarz przyjdzie następnym razem, to mi go nagrzasz.

98.23

Z Tulinką jest inaczej niż było z Magdaleną lub Marysią Jezus. Nie wiem, czy planowałbym z nią małżeństwo, dzieci i wspólny kredyt hipoteczny, po czym poznaje się dziś poważny związek. A jak we frankach szwajcarskich, to bardzo poważny i długoterminowy, bo tylko w dłuższej perspektywie kredyt we frankach może się opłacać.

Z Magdaleną od razu miałem ochotę założyć rodzinę. Jednak w ciągu pół roku nie udało mi się jej zaprosić nawet na kawę. Próbowałem wszystkiego, nic z tego. W końcu wpadł mi do głowy pewien plan. Może i głupi, ale wszystkie mądre pomysły mi się wyczerpały, a głupie jakoś się nie wyczerpują.

Była zima, rano spadł śnieg, w ciągu dnia przyszła odwilż, a pod wieczór znów temperatura zeszła poniżej zera, zrobiło się niemilośnie ślisko. Zaczaiłem się przed pocztą i czekałem, aż Magdalena skończy pracę. Gdy wyszła, pomachałem jej ręką.

– Niech pani uważa, bo strasznie ślisko! – krzyknąłem i zrobiłem kilka kroków w jej kierunku, po czym – bach! – i leżę! Leżę i się nie podnoszę. Podchodzi Magdalena.

– Nic panu nie jest?

Próbuję wstać. Udaję, że mnie boli.

– Chyba skręciłem nogę w kostce – kłamię.

– Pomogę panu.

Wzięła mnie pod pachę, jakoś się podniosłem. Zaproponowała, że odprowadzi mnie do domu. Jęcząc, jakoś dokuśtykałem.

Weszliśmy do środka, rozejrzała się z ciekawością.

– O rety, ale ma pan dużo książek! Uwielbiam książki!

– Ja też. Co pani teraz czyta?

– Dana Brown. A pan?

– *Krainę wódki*.

– Żartuje pan.

– Serio. Taki tytuł. Napisał ją Mo Yan, noblista.

– Nie słyszałam.

– Napisał jeszcze powieści *Obfite piersi, pełne biodra* oraz *Przezroczystą marchewkę*.

– Znów pan żartuje.

– Ależ skąd!

– To w takim razie jakaś aluzja jest? Do mnie?

– Pani nie wygląda na przezroczystą marchewkę.

– Myślałam raczej o tych piersiach.

Nie uwierzyła w te tytuły. Założyliśmy się, a stawką był obiad. Gdy okazało się, że przegrała, zaprosiłem ją do siebie na niedzielę. W kuchni kuśtykałem, a ona dopytywała, czy boli i podpierała mnie ramieniem. Potem ona mnie zaprosiła, poszliśmy do kina i cały czas mnie podpierała, nawet gdy już siedzieliśmy w fotelach. Po trzech tygodniach zapomniałem o kuśtykaniu, a ona wsuwała mi dłoń pod ramię chyba już nie tylko z przyzwyczajenia.

98.24

Tulinka:

– Oczywiście, że wierzę w miłość do grobowej deski, byłam już tak zakochana wiele razy.

98.25

W pracowni jest okno z typowo skrzyżowanymi szczebelkami; gdy w południe świeci w nie słońce, pomieszczenie zalane jest światłem, a wyraźny cień krzyża ścieli się na podłodze.

Są ludzie, którzy idąc po chodnikach lub płytkach, starają się ominąć łączenia, nie chcą nadepnąć na oddzielające linie, uważając, że to przynosi pecha. Taka jest też Tulinka, bo gdy w słoneczne dni wchodzi do pracowni, to zatrzymuje się w progu i mówi:

– Jestem przesadna, nie przechodzę przez krzyże.

00.26

Niespodziewany trop

Mocne wrażenia z ostatnich godzin nie pozwalały Tymonowi zasnąć. W dodatku łóżko

polowe, które Lena przyniosła mu z piwnicy i postawiła w kuchni, było okropnie niewygodne. Kręcił się na nim niemal godzinę, po czym sięgnął po telefon.

Przez cały dzień próbował dodzwonić się do Maksa, ale jego nowy przyjaciel nie odbierał. Mimo późnej pory teraz ponowił próbę.

– Halo, halo – usłyszał jego zaspany głos.

– Słuchaj, stary, w coś ty mnie wrobił? – Tymon mówił głosem na tyle ściszym, żeby nie obudzić Magdy śpiącej w sypialni za ścianą.

– Stało się coś? – zapytał Maks, przebudzony pretensją zawartą w pytaniu.

– To miała być bezpieczna wyprawa z perspektywą dobrego zarobku, gdyby twoje informacje o ukrytym majątku Grohmanów okazały się prawdziwe. Tymczasem ja tu przyjeżdżam i w twoim mieszkaniu zastaję najpierw jakąś obcą babę, potem dodatkowo jej kochasia, który okazuje się gliną, a potem ona celuje do mnie z pistoletu i każe tego glinę nagrywać...

– Dużo wypięś? – przerwał mu rozbawiony głos w telefonie.

– Jestem trzeźwy jak dzika świnia na zakręcie – wysyczał Tymon. – Jakaś obca baba tu u ciebie mieszka! I ma *deal* z policją!

– To pewnie Magda, opowiadałem ci o niej.

– Nie, jakaś Lena, mówi, że jest jej przyjaciółką.

– No widzisz, wszystko się zgadza.

– Nic się nie zgadza. – Tymon zaczął mówić podniesionym głosem. – Zamiast złota są alfonsi! Rozumiesz? Włazłem w sam środek jakiejś afery z międzynarodową siatką handlarzy kobiet!

Przez chwilę telefon milczał.

– Nie wiem, co robić – odezwał się w końcu Maks niepewnym głosem. – Wszystko wydawało się proste. Miałeś odnaleźć Magdę i wyciągnąć od niej informacje o złocie. I tyle.

– Mówiłem ci, że tu nie ma żadnej Magdy!

– Nie pomogę ci. Nic też nie wiem o żadnej siatce handlarzy, w dodatku międzynarodowej. Raz z Łodzi wyjechałem do Dublina. Tyle moich międzynarodowych doświadczeń.

– Słuchaj, ja stąd po prostu spadam! To wszystko za bardzo śmierdzi.

– Zastanów się jeszcze.

Rozłączyli się.

Tymon sięgnął po butelkę z wodą. Była za ciepła. Otworzył lodówkę w poszukiwaniu czegoś zimniejszego. Za czteropakami piwa zobaczył rząd kremów. Uśmiechnął się na myśl o dziwnych zwyczajach kobiet. Sięgnął po czteropak i za rządkiem kosmetyków zobaczył rulon. Odsunął słoiczki na bok i go wyjął. Rozwinął. Na przedwojennej mapie Łodzi ktoś na czerwono zaznaczył kilka miejsc. Wcześniej mieszkał w Łodzi wystarczająco długo, by bez trudu się zorientować, że są to miejsca, w których znajdują się pozostałości z imperium Grohmanów.

98.26

Do tej pory Tulinka pracowała na piętrze, ale od kilku dni codziennie zamyka się na kilka godzin w swoim pokoju i tam maluje obrazy, jakby nie chciała, abym je widział. Dziś udało mi się podpatrzeć od strony ogrodu – ze zdumieniem zobaczyłem, że tworzy portret Angeliny Jolie. Obraz był inny niż jej dotychczasowe płótna, niezwykle naturalistyczny, wyglądał niemal jak fotografia. Portret malowała ze zdjęcia, które przypięła do blejtramu. Fotografia pochodziła przynajmniej sprzed dwudziestu lat, bo Angelina Jolie była na nim młodziutką dziewczyną

o chłopięcej fryzurze, takiej, jaką miała, grając w filmie *Hakerzy*. Przeszedł mnie dreszcz, gdy zobaczyłem, jak Tulinka wyciąga z plastikowej torebki pukiel włosów, tnie w kilkucentymetrowe pasemka, miesza z farbą, po czym starannie maluje tą mieszanką kosmyki dziewczyny.

Na podłodze leżało rozpakowane szare pudełko, którego wartość oszacowano na dziesięć tysięcy dolarów.

98.27

Tulinka nie sortuje śmieci, więc z kubła pod zlewem wyjąłem pudełeczko po przesyłce, którą dostała kilka dni temu, i wrzuciłem do pojemnika na surowce wtórne. Jednak ciekawość zwyciężyła, więc ponownie otworzyłem pojemnik i wyciągnąłem pudełeczko. Zajrzałem do środka, puste. Sprawdziłem adres nadawcy – J.L. Miller, Malibu, Kalifornia.

98.28

Przygląda się zdjęciom wiszącym na ścianie.

– Kto to jest?

– Marysia Jezus.

– Dlaczego? To drugie to przecież męskie imię.

– Na tej samej zasadzie niektórzy mężczyźni mają na drugie Maria, będące odpowiednikiem hebrajskiego imienia Magdalena. W Polsce na przykład Maksymilian Maria Kolbe, Jan Maria Rokita czy Bronisław Maria Komorowski.

– To ja już wolę mieć na imię Mgiełka.

98.29

Wśród adresów powiązanych z Malibu wyszukiwarka internetowa znalazła dwóch J.L. Millerów. Jeden jest wykładowcą uniwersyteckim, drugi to Jonny Lee Miller, aktor znany między innymi z filmu *Trainspotting* i wielu popularnych seriali. Prywatnie – pierwszy mąż Angeliny Jolie, którą poznał na planie filmowym *Hakerów*.

98.30

Marysia Jezus sypiała, z kim popadnie, ja natomiast przez całe lata byłem wobec niej lojalny, razem tworzyliśmy w ten sposób w miarę przyzwoitą średnią. Tylko raz zdarzyło mi się ją zdradzić. Z Kamilą, kobietą, która była mężatką, ale chwala Bogu nie ortodoksyjną. Zdradzana z kolei przez męża, marynarza cumującego gdzie popadnie, zdradzała go ze mną, aby go ukarać. Byłem więc w pewnym sensie orężem sprawiedliwości. Tak też tłumaczyliśmy sobie lekkie wyrzuty sumienia. Natomiast ja, tak jak przed laty, czułem przyływ tej fenyloetyloaminy, której mój organizm stanowczo się domagał.

Kiedy jej mąż dowiedział się, że poza jego plecami sprawiedliwość jest wymierzana na własną rękę, wpadł w szal. A potem przez wyłamane drzwi wpadł do hotelowego pokoju, gdzie wspólnie z jego małżonką produkowaliśmy fenyloetyloaminę. Zaczął okładać nas pięściami, przy czym mnie bardziej.

Marysi Jezus wyjaśniłem wtedy, że pobił mnie jakiś bandyta. Trochę w tym było prawdy, porządny człowiek nie wyłamuje drzwi w hotelu.

– Brak mi fenyloetyloaminy – powiedziałem nazajutrz, próbowałem się przebić ze

swoimi potrzebami.

Nie odwróciła nawet oczu od telewizora:

– A byłeś u lekarza?

98.31

Między nami było dokładnie tak jak w tej przepowiedni z Biblii o siedmiu latach tłustych. Faraon miał sen. Śniło mu się, że z rzeki wyszło siedem krów tłustych. A gdy się pasły, wyszło za nimi siedem krów chudych, które pożarły te tłuste. W sumie to głupie, bo przecież krowy nie jedzą mięsa. Ale Józef przepowiedział faraonowi, że siedem krów tłustych oznacza siedem lat dostatku, po których przyjdzie siedem lat chudych.

I od tamtego czasu ta przepowiednia sprawdza się do dziś, niestety. Nawet współcześni psychologowie zaczęli w nią wierzyć i twierdzą, że po siedmiu latach większość związków się rozpada. Naukowcy nie po to biorą pieniądze, żeby od razu tego nie udowodnić. Odkryli więc, że po siedmiu latach wypala się w nas fenyletyloamina, hormon odpowiedzialny za miłość. I podają przykłady. Po pierwsze: Demi Moore i Ashton Kutcher. Po drugie: Reese Witherspoon i Ryan Phillippe. Po trzecie: Jennifer Aniston i Brad Pitt. Po czwarte: ja i moja Marysia Jezus. Przy czym o mnie i Marysi naukowcy nie wspominają. Ale nawet jak człowiek nie jest celebrytą, to kryzys w związku też go spotyka. Tyle że mniej się o tym pisze.

98.32

Kobiety zdecydowanie za mocno przywiązują się do wyobrażeń o swoich mężczyznach. Przez pierwsze pół życia wydaje im się, że nie potrafią bez nich żyć, a przez drugie pół, że nie wytrzymają z nimi ani minuty dłużej. I tak, między dwoma błędami, mija im całe życie.

00.27

Interpol wchodzi do gry

Mężczyzna w czarnej motocyklowej kurtce mignął oficerowi dyżurnemu legitymacją.

– Interpol – rzucił obcesowo na przywitanie.

Wbiegł po schodach na piętro i ostrożnie uchylił drzwi pokoju komisarzy.

Mary Jazz siedziała za biurkiem. Poza nią w pokoju nikogo nie było.

Rzuciła mu się na szyję. Przytulił ją mocno.

– Jeszcze możesz się z tego wycofać – powiedział.

– Za późno, Petr, wszystko jest przygotowane.

– Boję się o ciebie.

– Nic mi nie będzie – starała się go uspokoić.

– Wiesz, jakie to jest towarzystwo...

– Towarzyskie – roześmiała się. – Ale ja nie zostaję tam dziewczyną do towarzystwa, tylko menadżerem załatwiającym panienki najbogatszym klientom.

W jej głosie wyczuł jednak niepewność.

– Inspektor już wie? – zapytał.

– Zna tylko ogólny zarys operacji. O VIProomie mu nie mówiłam.

– No to chodźmy do niego.

Komisarz Groch nienawidził takich dni jak tamten. Najpierw godzinę stał w korku na Włókniarzy, bo znów zaczęli remontować jakieś boczne ulice. Potem dzwonili z prokuratury

w sprawie sieci klubów nocnych. Pytali też o klienta, który twierdzi, że w klubie do rachunku dopisano mu konsumpcję szampana za dziesięć tysięcy i owoców za szesnaście tysięcy złotych. „Express Ilustrowany” ostatnio o tym pisał. Te owoce specjalnie nie zdziwiły Grocha. Pamięta z jakiegoś filmu, że do szampana rzeczywiście podaje się truskawki. No ale fakt, w tym klubie to chyba nasypali za dużo truskawek. Groch wyciągnął kalkulator i zaczął liczyć. Na Barlickim są po cztery złote plus sto procent marży, to wychodzi na to, że facet musiałby zjeść dwie tony truskawek. Groch też lubił truskawki, ale nie aż tak.

No a teraz jeszcze tych dwoje, Mary Jazz i ten chłystek z Interpolu, już z pół godziny mu nudzili. Tak jakby nie znał tych planów od swojej dziwki. Gdy Mary Jazz zaczęła referować, że udało jej się umieścić Magdę, to znaczy Lenę, jako ich agentkę w nocnym klubie, przypomniał sobie spędzony z nią wieczór. Nigdy wcześniej nie spotkał tak pięknej kobiety. Wszystko miała doskonałe: włosy, oczy, usta, brzuch. Niedoskonały miała jedynie charakter. Ale co tam charakter – dumał rozmarzony Groch – charakter nie ma ud, talii i piersi.

– Panie inspektorze, mamy informacje, że polskie centrum międzynarodowej siatki handlarzy kobiet organizuje się w Łodzi, chcielibyśmy kilku pańskich ludzi do pomocy – poinformował funkcjonariusz z Interpolu.

Cisza.

– Panie inspektorze? – powtórzyła za nim Mary Jazz.

Ale komisarz Groch znów nie słyszał pytania. Myślni był u boku równie pięknej, co zepsutej dziewczyny.

98.33

Marysia Jezus, pracując już w policji, zobaczyła kiedyś, jak odprowadzam do domu Magdalenę.

Zajechała nam drogę radiowozem.

– Pani pójdzie do domu, a pana proszę o dowód osobisty.

– Dlaczego? – zapytałem, gdy Magdalena poszła.

– Zmieniasz kobiety jak rękawiczki.

– Ależ to nieprawda!

– Nieprawda?

– Słowo honoru! – postanowiłem iść w zaparte. Honor był przy tym nienaruszony, bo rzadko zmieniam rękawiczki.

– Jesteś cyniczny.

Zacząłem się zastanawiać. Czy ja jestem cyniczny? Chyba nie, może po prostu jestem jak większość facetów. Poligamiczny, co udowodniono naukowo. Świat już taki jest. A ja nie mogę czuć się winny za czyjeś błędy powstałe przy tworzeniu świata.

98.34

– W co ty się bawisz, Tulinko? – zapytałem przy kolacji.

– A co masz na myśli?

– Dziwne rzeczy dzieją się w naszym domu.

– Jakie?

– Od pewnego czasu malujesz zamknięta w swoim pokoju, chociaż na piętrze masz świetną pracownię.

– Bez drzwi, a ja czasami potrzebuję intymności.

- Dostajesz przesyłki ubezpieczone na spore sumy.
- To od klientów.
- A czego chcą?
- Żebym się z nimi przespała, jak to klienci.
- To nie jest śmieszne. Nasuwa mi smutne i złe wspomnienia.
- To po kiego czorta pytasz? Czego mogą chcieć ode mnie poza obrazami? Nie masz za grosz poczucia humoru. Ludzie śmiertelnie poważni, jak sama nazwa wskazuje, umierają na brak poczucia humoru.
- Moja pierwsza dziewczyna spała z facetami za pieniądze.
- Ta ze zdjęcia? Marysia Jot?
- Nie pytaj.
- Też czasami o tym myślę, to musi być ciekawe doświadczenie. Mogłabym ją poznać?
- Wyjechała do Hiszpanii, wróciła tam, skąd przyjechał jej ojciec – skłamałem.
- Szkoda.

98.35

- Czegoś mi nie powiedziałaś.
- Wielu rzeczy ci nie mówię.
- Co było w tym pudełeczku, które dostałaś z Malibu?
- Nic takiego, pukiel włosów.
- Wart dziesięć tysięcy dolarów?
- Nawet nie starała się niczego ukryć:
- Może nawet więcej, bo to był pukiel włosów Angeliny Jolie z czasów, kiedy miała dwadzieścia lat. Ktoś złożył zamówienie na portret z jej DNA pochodzącym z tego okresu.
- Jej pierwszy mąż? – Przypomniało mi się nazwisko z wyszukiwarki. – Jonny Lee Miller, z którym grała wówczas w *Hakerach*?
- Nie wiem. Może. To byłoby dość prawdopodobne, bardzo się kochali. Poza tym w Stanach obrazy z DNA zrobiły się szalenie modne. Widziałam reportaż o nowojorskim milionerze, który w salonie ma galerię gwiazd kina od Marylin Monroe poprzez Roberta Redforda, Toma Hanksa i Woody'ego Allena aż po Nicole Kidman, Scarlett Johansson czy tę młodziutką gwiazdeczkę z *Igrzysk śmierci*, jak ona się nazywała?
- Jennifer Lawrence.
- No właśnie. I te wszystkie obrazy, rzecz jasna, są z prawdziwymi elementami DNA tych gwiazd.
- To jakiś obłąd.
- I tak, i nie. Jeśli akceptujesz ten rodzaj sztuki, to czujesz ekscytację, kolekcjonując artystycznie opracowane DNA ulubionych gwiazd. Poza tym dla wielu ludzi podniecająca jest świadomość, że w każdej chwili mogą sobie sklonować dowolną postać. Dzięki temu każdy może zostać bogiem. Nieważne, czy zdecydują się na to, czy nie. Sama świadomość, że uwięzili w obrazach potencjalne klony sławnych ludzi, jest dla nich bardzo wiele warta. Kiedyś kolekcjonerzy zbierali autografy, dziś to już jest niemodne, zbiera się DNA.

00.28

Przeciek w tajnej akcji

Inspektor Groch rozmyślał o swojej pięknej kochance. Był u niej już kilka razy, ale wciąż

zaskakiwała go czymś nowym. Upadły, ale jednak anioł, wart bliskiego poznania – dumał rozmarzony. A z poznawaniem ciała kobiety jest jak na wycieczce krajoznawczej, zawsze się znajdzie jakieś ciekawe miejsce.

– Panie inspektorze! – Mary Jazz wyrwała go z marzeń.

– Tak, tak, analizowałem właśnie nasze zagadnienie. – Próbował pozbierać myśli. Był zmęczony. To wszystko przez te lipcowe upały. Bywały dni, że w jego mieszkaniu na Widzewie temperatura sięgała trzydziestu stopni.

– A więc co mamy nowego? – zapytał funkcjonariusz z Interpolu, zupełnie jakby to on prowadził tę odprawę.

– Mam nowe informacje od naszej agentki – zakomunikowała Mary Jazz.

Groch poczuł lekki niepokój. Nowe informacje? Przecież zaledwie wczoraj widział się z Leną. Jemu pierwszemu powinna powiedzieć. Taki zawarł z nią układ.

– Znalazła idealne miejsce, do którego możemy przeniknąć i międzynarodową siatkę rozpracować od środka – kontynuowała komisarz.

Groch zauważył, że ten z Interpolu robi jakieś notatki. Pomyślał, że za chwilę cała zasługa za powodzenie akcji zostanie przypisana Mary Jazz. Kto wie, może to nawet ją awansują, a nie jego? A przecież Grochowi od dawna już należy się awans.

– Otóż właśnie – przerwał jej. – Nasz plan polega na tym, żeby pani komisarz przeniknęła do obsługi ich międzynarodowych VIProomów!

Groch wyrzucił to z siebie jednym tchem i z zadowoleniem rozpostarł się w fotelu. Nie zauważył ani zdumionego spojrzenia Mary Jazz, ani tego, że ten z Interpolu na chwilę zastygł w bezruchu, zanim wrócił do robienia notatek.

Dla Grocha było ważne, że to na niego spadnie splendor za powodzenie operacji. Nie miał pojęcia o romansie Mary Jazz i Petra, czeskiego oficera Interpolu, który od jakiegoś czasu kręcił się po ich komendzie. Nie mógł więc nawet się domyślać, że wcześniej wtajemniczyła swojego kochanka we wszystkie szczegóły.

Kwadrans później, po skończonej odprawie, Mary i Petr w milczeniu schodzili po schodach.

– Nie rozumiem – powiedział w końcu. – Mówiłaś przecież, że inspektor nic nie wie o tych VIProomach.

– Bo jeszcze nie miał prawa wiedzieć. – Mary Jazz była zirytowana. – Dopiero zamierzałam mu powiedzieć. Poza tobą i mną cały plan знаła do tej pory tylko Lena.

– Myślisz, że ona mu powiedziała?

– Nie mógł do niej dotrzeć. To agentka, której prawdziwe dane znasz tylko ty i ja. Nawet w naszych raportach funkcjonuje pod kryptonimem.

– No to skąd wie?

– Ode mnie na pewno nie!

– Mnie podejrzewasz? – Zatrzymał się i mocno złapał ją za łokieć.

– Daj spokój.

– Spokojnie, będę miał na niego oko – próbował ją uspokoić.

Ale ziarno nieufności zostało posiane.

98.36

Zadzwoiła Marysia Jezus.

– Możemy porozmawiać? – W jej głosie czułem zdenerwowanie.

– Jasne!

Przyjechała po godzinie, poczułem się nieswojo, widząc podjeżdżający radiowóz.
Wziąłem od niej płaszcz i powiesiłem na wieszaku.
– O mój Boże, co to? – krzyknęła przerażona.
– Taki wieszak z recyklingu – odparłem przyzwyczajony już do szubienicy stojącej w przedpokoju. – Moja sublokatorka to przyniosła.
– Wygląda jak szubienica.
– Ponoć nie była używana.
– Koszmar. Masz coraz większego pecha do kobiet.
– Zaczynałem od najwyższej półki.
– Czaruś! – Uśmiechnęła się, ale jakoś bez przekonania.
Podeszła do okna, wskazała dom stojący po drugiej stronie ulicy.
– Wiesz coś o nim?
– Nic a nic. Stoi pusty.
– Nikogo tam nie widziałeś?
– Nie. Od lat.
– Byłeś tam kiedyś?
– Nie.
– Na pewno?
– Dlaczego miałbym być? – zdziwiłem się.
Wzruszyła ramionami.
– Czasami tak się zdarza, że bywamy w nieodpowiednich miejscach.
Zabrzmiało to tak, jakby chciała mnie przed czymś ostrzec.
– Nieodpowiednich? – powtórzyłem za nią.
– Muszę lecieć – powiedziała i odwróciła głowę, gdy na do widzenia chciałem ją pocałować w policzek.
Bardzo dziwna wizyta.

98.37

Początkowo trudno mi uwierzyć w zamiłowanie do cudzego DNA, ale w „The Sun” z 1996 roku znajduję zdjęcie Angeliny Jolie szykującej się do ślubu z Jonnym Lee Millerem. Dziennik podaje, że Angelina ubrana w czarne skórzane spodnie założyła do nich białą koszulę, na której imię pana młodego zapisała własną krwią. Wydaje mi się to niewiarygodne, więc sprawdzam dalej i okazuje się, że informację potwierdza magazyn „People”, a po nim dziesiątki portali, dodających, że z czasem upodobanie Angeliny ewoluowało, bo po następnym ślubie, tym razem z laureatem Oscara Billym Bobem Thorntonem, oboje na znak wielkiej miłości nosili flakoniki z krwią partnera oprawione w zakładzie jubilerskim i zawieszane na szyjach.

98.38

– Słuchaj, tam ktoś mieszka! – woła Tulinka, pokazując dom z naprzeciwka. – Widziałam dwa samochody wyjeżdżające z tyłu!
– Nie, kochanie, ten dom jest naprawdę opuszczony – mówię.
– Co jest z tobą? – pyta z niepokojem. – Przecież tam cały czas ktoś się kręci! Może byś tam poszedł?
Nikt poza nami już tu nie mieszka.
Nawet lato wyjechało do ciepłych krajów.

W podziemiu willi

Bała się tego miejsca. Obszerne podziemie willi, w którym przetrzymywano nieposłuszne kobiety. Takie, które stawiały opór porywaczom i nie zgadzały się na pracę w zagranicznych klubach dla mężczyzn lub tu, na miejscu, przed kamerkami internetowymi. Zamknięte w metalowych klatkach pokorniały po kilka dniach. Lena spokorniała natychmiast.

Wcześniej była w podziemiu tylko raz – w dniu, w którym została przywieziona do willi przez porywaczy. Tak jak przekonywała ją jednak policjantka, Lena szybko zdobyła zaufanie bossa. Przydało się trzyletnie doświadczenie w nocnych klubach i agencjach towarzyskich. Pozowała głównie przed kamerkami, była w tym tak dobra, że bossowi żal było wysłać ją do klientów. Dogadała się z nim, po miesiącu wypuścił ją do domu, a do bazy wracała jak do normalnej pracy. Teraz miała tylko ściągnąć tu tę komisarz i jej rola w całej akcji byłaby zakończona. Wiedziała, że stanie się to lada dzień, może tydzień, więc dłużej nie mogła już zwlekać. Musiała odzyskać to, co znajdowało się w jej torebce, zanim wszystko trafi w ręce policji. Pewne pytania mogłyby być wówczas kłopotliwe.

Zeszła po schodach do podziemia i zapaliła światło. Ostre światło lamp jarzeniowych zakłuło w oczy. Rozejrzała się z lękiem po pomieszczeniu. Na szczęście klatki były puste. Za nimi stały dwa regały pełne kobiecych butów, poustawianych równo, według kolorów.

Co za maniak – przeszedł ją dreszcz.

Boss był fetyszystą i kolekcjonował dwie rzeczy. Marynarki marki Hugo Boss oraz buty porwanych kobiet.

Pamiętała, że za regałami znajdowała się skrzynia, do której wrzucono jej kopertówkę. Znalazła ją po kilku minutach – w ostrym świetle nietrudno dostrzec torebkę na błyszczącym łańcuszku. Zajrzała do środka. Ktoś oczywiście w niej grzebał. Brakowało portfela i telefonu komórkowego. Ale szpulki nie zabrali. Wzięła ją do ręki i już miała schować do kieszeni, gdy usłyszała za sobą męski głos.

– Lena, a co ty tu robisz, do licha?

Początkowo nie zareagowała, nie przyzwyczała się jeszcze do nowego imienia. Po kilku sekundach się odwróciła. W drzwiach stał jeden z ochroniarzy. Znała go, woził dziewczyny do najbogatszych klientów. Chyba ją nawet polubił, bo w odróżnieniu od innych nie zadzierала nosa.

– Nie oddali mi torebki, a miałam tam coś.

– Przecież wiesz, że nie wolno ci tu wchodzić – warknął.

– Niech to zostanie między nami. – Uśmiechnęła się najmilej, jak potrafiła. A potrafiła uśmiechać się tak, że klientom pękały portfele.

– Muszę o tym zameldować szefowi – stwierdził bez przekonania.

– Nie melduj, odwzięczę ci się. – Puściła oko.

– A co wzięłaś?

– Nic takiego, mam taką bluzkę złotą, wiozłeś mnie w niej przedwczoraj do tego bogatego Kanadyjczyka, pamiętasz?

– Napalony był jak piec w hucie.

– No, to zrobiła mi się w niej dziurka, a w torebce akurat miałam złotą nitkę.

Wyciągnęła dłoń przed siebie i pokazała dość dużą szpulkę. Wziął i obejrzał dokładnie. Szpulka była stara, drewniana, z niemieckim napisem. Nie wiedział, że to szwabacha, a może wiedział, ale nie potrafił odczytać. Bo gdyby potrafił, to z pewnością nie wzruszyłby obojętnie ramionami i nie oddał jej zwoju grubej nici opatrzonego napisem „Echte Gold”. O dziwactwach

kobiet można wiele powiedzieć, ale na pewno nie to, że cerują podarte bluzki prawdziwym złotem.

98.39

Zarys dzisiejszego programu w Funeral TV poświęconego równie nietypowej biżuterii jak wisiołek Angeliny Jolie zawierający krew męża.

W wielu krajach, od USA przez Polskę, Szwajcarię i Rosję aż po Indie i Chiny produkuje się diamenty ze zmarłych. Mówi współwłaściciel firmy z Polski:

– Robimy je z niewielkiej ilości węgla odzyskanego z prochów po kremacji lub materiału genetycznego, na przykład z kosmyka włosów. Fizyczne i chemiczne właściwości diamentu są takie same jak kopalnego.

Reporter:

– Po zwięgleniu grama włosów można uzyskać pół grama węgla, a to jest wystarczająca ilość do wyprodukowania diamentu o wadze dwóch i pół karata. Zazwyczaj produkuje się mniejsze. Jaką jednak musimy zapłacić cenę, by nasi bliźni przetrwali na wieczność w szlachetnym kamieniu? Koszt usługi nie jest mały. Wprawdzie drobne diamentki do kolczyków można już otrzymać za kilka tysięcy złotych, lecz cena najdroższych wisiorów z diamentem – najczęściej zamawiane są w kształcie serca – przekracza sto tysięcy złotych.

Przebitka na zakład jubilerski. Pracownik przykłada lupę do oka i przygląda się kilku diamentom. Kopalne wymieszane są z laboratoryjnymi, czyli tymi ze zmarłych. Po chwili jubiler mówi:

– Nie, nie potrafię ich rozróżnić.

Zbliżenie na szyld firmy w Chicago. Jej właściciel:

– Proces produkcji musimy zacząć od oddzielenia potasu i wapna od węgla w bardzo wysokiej temperaturze, następnie poddajemy go dalszym obróbkom ciśnieniowo-termicznym. Po pierwszej węgiel zamienia się w grafit, w drugiej przy temperaturze trzech tysięcy stopni i trwającym dziesięć dni ciśnieniu osiemdziesięciu tysięcy atmosfer przyjmuje najczystsza formę, którą jest właśnie diament.

Reporter:

– Diament, jako najtwardszy kamień na świecie, gwarantuje ludzkim szczątkom wieczność. Nie musimy już chodzić na cmentarz, groby nie wymagają pielęgnacji, bo swoich najbliższych możemy mieć zawsze przy sobie, panie najczęściej wybierają wisioriki, mężczyźni sygnety.

Zakład w Chicago:

– Ludzkie ciało zawiera około piętnastu procent węgla, można z tej ilości uzyskać kilkadziesiąt diamentów średniej wielkości i rozdać je rodzinie.

Reporter:

– Tak właśnie postanowiła zrobić rodzina dwudziestosiedmioletniej Valery Sefton z Phenix i to jej prochy jako pierwszej na świecie zostały w 2003 roku przemienione w sześć diamentów, po czym na wieczną pamiątkę rozdane najbliższym.

Zbliżenie na zdjęcie mężczyzny w średnim wieku. Mężczyzna podpira głowę dłonią, na której w sygnecie lśni niebieski kamień. To Bill Sefton, ojciec tej dziewczyny. Z córką zamienioną w diament nie rozstaje się na krok.

Reporter:

– Oczywiście nie wszyscy są zwolennikami tego typu traktowania zmarłych, zwłaszcza w Polsce. Oto fragment publikacji prawniczej „Frondy”: „Jeżeli ktoś myśli, że podobne

skandaliczne pomysły rodem z cywilizacji śmierci nie dotrą do Polski, to grubo się myli. Przypomnę tylko, że jednym ze sponsorów Pucharu Świata w skokach narciarskich, który odbył się m.in. na skocznjach w Zakopanem i w Wiśle, była w zeszłym roku austriacka firma Mevisto, która oferuje «produkcję» diamentów z popiołu z ludzkich ciał. Jest więc tylko kwestią czasu, gdy do jakiejś telewizji śniadaniowej przyjdzie modnie ubrana celebrytka z mamą i tatą w uszach lub na wisiorku i ze łzami w oczach powie telewidzom, jak wspaniale się czuje, mając rodziców zawsze przy sobie. Kto wie, może i prowadzący nie pozostaną bezduszni i nieczuli na to wyznanie i dadzą się wzruszyć”.

Zbliżenie na moją twarz, kończę program, mówiąc:

– Jak zwykle rzeczywistość wyprzedza wyobraźnię przeciętnego człowieka. W Polsce możemy już nie tylko zrobić sobie biżuterię z członków rodziny, lecz także ulubionych psów.

Kamera pokazuje najpierw internetową stronę www.diamentmilosci.pl, na której dłoń kobiety z wielkim diamentem spleciona jest z dłonią mężczyzny, potem stronę www.zawsze-razem.pl, na której długowłosa blondynka przytula się do psa, nad nimi widnieje napis: „Twój pupil zaklęty w diamencie”.

Przebitka na psy goniące się po parku.

Teraz reklamy. Zaczynamy od promocji karmy dla psów, potem tradycyjnie środki na zaparcia i potencję.

98.40

Ciekawe, w jaki sposób głupota rozprzestrzeniała się przed wynalezieniem internetu.

98.41

Otwieram w kuchni butelkę casillero del diablo ulubionego przez Tulinkę.

– Opowiedz mi coś o picu wina – prosi.

– Kiedy kobieta przyjmuje zaproszenie na lampkę wina, powinna wiedzieć, że tak naprawdę to jedna lampka jest zupełnie pozbawiona sensu. Dopiero druga lampka powoduje, że powoli przestajemy być skrępowani, przy czym trzecia rozwiązuje języki, a czwarta ręce. Ten moment po czwartej lampce wina smakosze lubią najbardziej.

Tulinka, kiedy widać już dno butelki:

– Mówisz, że nie jesteś pewien, czy potrafisz jeszcze kochać. Uwierz mi: z miłością jest jak z oddychaniem, nie da się zapomnieć.

98.42

Mówię jej, że jest piękna, a ona się śmieje i kręci głową z niedowierzaniem. Początkowo myślę, że to kokieteria, dopiero po chwili zdaję sobie sprawę z tego, że dziewczyna jeszcze o niczym nie wie. Nie wie, że wkrótce szaleć będą za nią mężczyźni, a kobiety znienawidzą ją z zazdrości. Ma urok magnolii, która jeszcze jest w pąkach. Widzę, że za chwilę kwiaty wybuchną i wówczas wszyscy ją dostrzegą. Na razie nie widzi jeszcze nikt. Skradam się do niej po cichu, żeby zdążyć.

00.30

Strzał w środku nocy

Obudziły ją szelesty za ścianą. Poderwała się z łóżka i uchyliła drzwi. Zobaczyła Tymona pochylonego nad mapą. Tu cię mam, koleżko – pomyślała – przyszedłeś po prostu na przespiesze...

Sięgnęła do szuflady po pistolet.

Tymon zrolował pergamin i odłożył z powrotem do dziwnej kryjówki. Kto to widział, żeby takie rzeczy chować w lodówce? Coraz mniej rozumiał z tej sytuacji. Dlaczego na mapie zaznaczono kilka obiektów krzyżykami, a przy jednym z nich narysowano jakieś dziwne szpulki? Nagle zrozumiał.

– To przecież jasne – powiedział do siebie półgłosem, otwartą dłonią klepiąc się w czoło.

– Co jest takie jasne? – zapytała, stając w otwartych drzwiach sypialni.

Zauważył w jej ręku pistolet.

– Daj spokój, Lena. Już tak za każdym razem będziesz zbliżać się do mnie z bronią?

W ciągu jednego wieczoru drugi raz do mnie celujesz.

– Boisz się?

– Nie.

– Dlaczego?

– Chociażby dlatego, że jest środek nocy – odrzekł, siląc się na spokój. – Nie odważyłabyś się strzelić, bo obudziłabyś całą ulicę.

Uśmiechnęła się.

– Znasz się na kobietach, prawda?

– Tak sądzę – odparł z przechwałką w głosie.

– No dobrze. – Postanowiła przez chwilę udawać potulną. – Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

– Chcę, żebyś mi powiedziała, gdzie mogę znaleźć Magdę. Muszę ją znaleźć, po to wróciłem do Polski.

– A dlaczego jej szukasz?

– Zna pewien sekret, który i ja chciałbym poznać.

W pierwszym odruchu miała ochotę powiedzieć mu prawdę – przyznać, że to ona jest Magdą i dowiedzieć się, dlaczego jej szuka. Ale po chwili wpadła jej do głowy znacznie ciekawsza myśl. Tym razem to ona przejmie grę. Napuści Tymona na tę sprytną komisarz – powie mu, że to ta policjantka jest poszukiwaną przez niego Magdą. Im więcej bałaganu w tym wszystkim narobi, tym bardziej zyska na czasie.

– Znajdziesz ją za kilka dni w naszym klubie internetowym. Pytaj o menadżerkę VIP-roomu.

I już miała wracać do sypialni, gdy nagle dostrzegła jego tryumfujący wzrok. Rozzłościł ją.

Tymon zobaczył, że dziewczyna podnosi pistolet i mierzy w jego kierunku. Olbrzymi łoskot niemal rozsadził mu czaszkę.

Czy ja umieram? – przemknęło mu przez myśl. – A może już umarłem, bo nic nie czuję. Ze strachu poczuł gorącą falę w okolicy brzucha, więc spojrzął tam, szukając rany.

– Spokojnie – powiedziała. – To tylko pistolet hukowy. Chciałam, żebyś wiedział, że stać mnie na znacznie więcej niż obudzenie całej ulicy w środku nocy.

98.43

Śniły mi się dawne czasy, w których nie było laptopów ani nawet maszyn do pisania, a pisarze i poeci utrwalali swoje dzieła na pergaminie albo na skórze. Najpiękniejsze dzieła

romantyczne zapisywano na ciałach kobiet, które następnie odwożono do bibliotek, gdzie zamieszkiwały na specjalnie przygotowanych regałach. Czasami schodziły z półek i mieszały im się wątki.

98.44

W południe Tulinka nad jakąś książką:

– Wciąż mam kłopoty z niektórymi polskimi słowami. Co to właściwie jest „politura”?

– Wolisz definicję słownikową czy socjologiczną?

– Może być ta druga.

– Taki przykład. Oboje opowiadają się za tradycyjnym modelem rodziny w rozumieniu polskokatolickim, więc ona wie, że kiedy on ma przyjechać, trzeba nagotować, umyć okna, wytrzeć kurze, a podłoga musi błyszczeć. Wtedy przepelni go do niej miłość na wysoki połysk.

– Rozumiem.

98.45

Zainspirowany obrazem Tulinki przygotowuję do Funeral TV program na podobny temat. Otóż Mark Gruenwald, słynny twórca komiksów z amerykańskiego koncernu Marvel Comics, znany z takich projektów, jak *Iron Man*, *Thor*, *Kobieta-Pająk* i *Kapitan Ameryka*, zażyczył sobie, by go po śmierci skremować, a prochy wymieszać z farbą drukarską używaną w wydawnictwie. Tak też się stało i jego żona Catherine poleciła – *par excellence* – przelać męża na papier komiksu *Squadron Supreme*, który opublikowano w 1997 roku.

Wyobrażam sobie ten dzień. Catherine dzwoni do przyjaciółki i mówi:

– Wiesz, mój mąż ukazał się dziś w druku.

98.46

Dziś w Funeral TV ciąg dalszy nagrania zainspirowanego obrazami Tulinki. Tym razem sztuka pozagrobowa w każdym domu, tytuł programu: „Moja matka na mojej ścianie”. Poniżej jego skrót.

Bettye Wilson-Brokl, umiarkowanie zdolna malarka z Missisipi, zmieszała z farbą prochy swojej matki i stworzyła z niej cykl obrazów. Tak spreparowaną matkę rozdała krewnym jako prezenty na gwiazdkę. Zachęcona ich entuzjazmem opatentowała sposób przechowywania skremowanych szczątków ludzkich na płaszczyznach płaskich, takich jak płótno czy bryistol, i utrwalonych w formie malarskiego dzieła (Justia Patents, patent number: US6170136), po czym założyła firmę Eternally Yours Memorial Art i maluje obrazy na zamówienie. Miesza farbę zarówno z prochami ludzkimi, jak i zwierzęcymi, zgodnie z wolą klientów.

Podczas emisji programu nieco mnie poniosło i powiedziałem: „Niestety malarka nie ma za grosz talentu, dlatego ceny jej obrazów nie przekraczają tysiąca dolarów za sztukę”, na co widzowie od razu zwrócili mi telefonicznie uwagę, że wypowiedź ta pozbawiona jest logiki, bo skoro ona nie ma talentu za grosz, to jakim cudem jej obrazy sprzedają się po tysiąc dolarów.

98.46

Misja Mary Jazz

Mary Jazz obudziła się o piątej nad ranem i nie mogła już zasnąć. Czeka mnie dziś

pierwszy dzień w nowej pracy – myślała z niepokojem. Ekscytowała ją świadomość, że po kilku latach służby w policji będzie przez kilka tygodni pracować wśród tych, z którymi do tej pory toczyła wojnę. Jednak z godziny na godzinę czuła też rosnącą obawę. Wprawdzie wiedziała, że nikt jej nie może rozpoznać, bo do komendy w Łodzi przeniesiono ją zaledwie kilka miesięcy temu. Wiedziała też, że Interpol zapewni jej bezpieczeństwo. Wiedziała, że każdy detal akcji został precyzyjnie opracowany. Ale pomimo to czuła lęk.

O jedenastej miała spotkanie z samym bossem. Zadbła o to, aby uniknąć pośredników. Obie strony były z tego powodu bardzo zadowolone. Mary Jazz od razu mogła poznać jednego z najważniejszych szefów mafii, zaś on chciał zobaczyć kobietę, której Interpol przygotował odpowiednio interesującą legendę. Do jej stworzenia wystarczyło kilka wyssanych z palca notatek w niemieckiej prasie. Jedną z jej zdjęciem, jak opuszcza salę sądową po wpłaceniu kaucji. Prosty trik, fałszywka, a każdy dałby się nabrać. Ludzie mają zdumiewającą skłonność do wiary we wszystko, o czym donoszą gazety.

Dziennikarz współpracujący z Interpolem napisał to, o co go poproszono. O działającej w Hamburgu polskiej siatce handlarzy kobiet kierowanej przez kobietę. Tą kobietą miała być Mary Jazz. W Niemczech niby zaczął palić się jej grunt pod nogami, więc wróciła do Polski.

Wycinki z gazet dostarczono Magdzie. Ta, już w roli Leny, podsunęła je swojemu opiekunowi, chwając się, że Mary Jazz jest jej dawną przyjaciółką. A na drugi dzień sam boss w marynarce marki Hugo Boss przyszedł z bombonierką, aby wypytać o szczegóły. Obiecała, że zorganizuje spotkanie. Nie mógł się doczekać. Wiele obiecywał sobie po tym spotkaniu.

O dziesiątej Mary Jazz była gotowa. Ubrała się skromnie w czarne dżinsy i białą bluzkę. Początkowo założyła szpilki, ale pomyślała, że jak coś będzie nie w porządku, to podczas ucieczki wygodniejsze będą jednak buty na płaskim obcasie. Przez chwilę trzymała w dłoni pistolet. Mały kieszonkowy glock przywieziony jej przez Petra z wyposażenia Interpolu. Kazał jej zabrać broń ze sobą, ale teraz ogarnęły ją wątpliwości. A co będzie, jeśli ją zrewidują?

Z ciężkim westchnieniem wrzuciła glocka z powrotem do szuflady. Uruchomiła nadajnik z GPSEM umieszczony w szlufce spodni i ruszyła w kierunku wyjścia.

W umówionym miejscu czekało bmw z zaciemnionymi szybami. Z przodu siedziało dwóch krępych mężczyzn, z tyłu Lena. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

Mary Jazz wsiadła, samochód odjechał. Za nim, w bezpiecznej odległości, ruszył ubrany na czarno motocyklista. Gdy znaleźli się na Włóknarzy, wyjęła puderniczkę i zerknęła w lusterko. Dostrzegła go kątem oka i uśmiechnęła się lekko. Uśmiech zamarł jej jednak na ustach. Zobaczyła, jak wielka furgonetka zajeżdża motocyklistę drogę. Ten hamuje tak ostro, że maszyna staje w poprzek jezdni, przez chwilę ślizga się bokiem, a potem upada i sunie dalej, wirując wokół własnej osi.

– Petr! – jęknęła Mary Jazz.

98.47

Pamiętam, jak w czasach mojego dzieciństwa ważny był dywan. Stanowił symbol dostatku i domowej przytulności. Leżąc na nim, grało się w warcaby i chińczyka, oglądało telewizję, turlało z rodzeństwem. Zbliżające się święta można było poznać po rosnącej częstotliwości echa trzepanych dywanów płynącego z podwórka, które z dnia na dzień gęstniało tak, że tydzień przed Wigilią od szóstej rano ustawiała się przed każdym trzepakiem kolejka. W owych czasach spółdzielnie mieszkaniowe mogły oddawać domy pełne niedoróbek, krzywych ścian, źle spasowanych okien, kolebiących się wanien i rur zatkanymi cementem, ale nie do pomyslenia było, żeby któraś oddała podwórko bez trzepaka. Trzepak był niezbędny jak

drogowskaz na przyszłość, tam uprawiane były podstawowe formy gimnastyczne dzieci i toczyło się życie towarzyskie podrastającej młodzieży.

Dywan był czymś naturalnym, ale także zjawiskowym, nagle mógł się stać dywanem latającym, łącznikiem między szarą codziennością a wybranymi dniami cudu zbliżającego się na święta. Dziś na podłogach domów królują parkiety i glazura, odgłosów podwórkowego trzepania już nie ma, bo niemal w każdym oddawanym przez developerów mieszkaniu leży syntetyczna wykładzina, i tak sobie myślę, że gdyby ktoś chciał współcześnie zaadaptować *Księżę tysiąca i jednej nocy*, to zamiast opowieści o latającym dywanie do wspomnień dzisiejszych dzieci musiałaby przejść zapewne baśń o latającej wykładzinie.

98.48

Okres przedświąteczny od świąt różni się tym, że tydzień przed świętami w każdym domu słychać: „Nie jedz tego, to jest na święta”, a w czasie świąt te same głosy mówią: „Zjedz, bo się zepsuje”.

98.49

Rozmowa w metrze.

– Babciu, kupiłaś coś Kasi?

– Widziałam w telewizji taką reklamę: maszynka na baterie z tarczą z diamentów do pielęgnacji stóp.

– A, też widziałem. Zawsze to jakieś diamenty.

– No właśnie. Ale pomyślałam, że co ona będzie tak bez sensu te baterie wymieniać, więc kupiłam pumeks.

– Pod choinkę kupiłaś jej pumeks?

– Kobieta powinna mieć gładkie pięty.

98.50

Wiesz, ponoć w czasie przedświątecznym wszystko się może zdarzyć. To trochę tłumaczy to, że jeszcze niedawno Cię nie znałem, a dziś wypełniasz moje myśli tak szczelnie, że nic innego się nie prześlizgnie. To dziwne uczucie – coś tam sobie robię, coś mówię, a jednocześnie czuję Twoją obecność. Jakbyś siedziała mi w głowie i machała nogami. Zauważyłaś, że można tak po czymś organizmie wędrować właściwie bez pytania? Od razu odwracam sytuację i zastanawiam się, gdzie ja u Ciebie jestem. Pomyśl o mnie. O moich dłoniach, które wędrują po Tobie. Poczulaś je? Tam właśnie jestem. Dotknij mnie w tym miejscu.

98.51

Śniła mi się kobieta ubrana w guziki.

98.52

Moje święta w dzieciństwie to śmiech matki, skradanie się pod choinkę i zapach pomarańczy. Mieliśmy małe mieszkanie, ciasno było, ale jakoś się mieściliśmy, tylko śmiech matki się nie mieścił. Była niezwykle pogodną kobietą, umiała się radować każdym drobiazgiem

w tamtych zgrzebnych czasach, cieszyła się tak, że jej śmiech nie tylko szczelnie wypełniał nasze małe mieszkanie, lecz także przenikał do sąsiadów, budownictwo tamtej epoki nie było przystosowane do takich eksplozji. Kuchnia o wymiarach kambuza na jachcie była jej mostkiem kapitańskim, z którego mocnym głosem wydawała polecenia – ojciec marsz do trzepania dywanów, ja do odkurzania, a brat do wycierania talerzy.

Pod choinką czekały na nas pomarańcze. W owych czasach, zaledwie trzydzieści lat temu, był to owoc w Polsce na co dzień nieznan, jak dziś granadilla, babaco, lulu czy pitaja, pojawiał się tylko kilka dni przed Bożym Narodzeniem. O świcie pierwszego dnia świąt skradaliśmy się po prezenty do pokoju rodziców. Niezawodnie znajdowałem tam wymarzoną książkę oraz kolorowe skarpety, które matka robiła na drutach. Książki kochałem, ale drapiących skarpet nienawidziłem, starannie chowałem je do szuflady, a gdy w wieku dwudziestu dwóch lat wyprowadziłem się z domu, zabrałem je ze sobą na pamiątkę, kilkanaście par nigdy nieużywanych skarpet w mikołaje i renifery. Przed śniadaniem cały dom pachniał już pomarańczami; zabrane spod choinki obieraliśmy z bratem niecierpliwymi palcami, ich aromat wnikał w naszą skórę, płynął z krwią. Do dziś płynie w pamięci razem ze śmiechem mojej matki, słyszę go zawsze, gdy obieram pomarańczę.

00.32

W willi szalonego kolekcjonera

Na widok upadającego motocyklisty Mary Jazz nie potrafiła powstrzymać okrzyku zgrozy. Wiedziała, że Interpol wysłał za nią Petra. Miał ją osłaniać. Pełne niepokoju myśli tłukły jej się po głowie. Co się stało? Przypadkowy wypadek czy celowe działanie mafii? Wiedzieli o nim? Uświadomiła sobie, że na szczęście nie jechał szybko, więc może nic poważnego mu się nie stało...

Spojrzała uważnie na dwóch mężczyzn siedzących z przodu samochodu. Obojętnie patrzyli na jezdnię przed sobą. Sprawiali wrażenie zupełnie niezainteresowanych wypadkiem. Pewnie w ogóle go nie zauważyli. Odetchnęła z ulgą.

– Musisz mieć nowe imię – powiedziała siedząca obok Lena. – Każda z dziewczyn ma jakiś pseudonim.

– Coś wymyślę.

– Wymyśliłam za ciebie. Magda. Podoba ci się?

– Przecież ty chyba kiedyś pracowałaś pod takim pseudonimem – zauważyła Mary Jazz.

– Boss je lubi, to dlatego. Ma słabość do tego imienia – skłamała.

– W takim razie niech będzie.

Jeden zero dla mnie – pomyślała Lena.

Czarne bmw skręciło z Włókniarzy w kierunku Zgierskiej. Mary Jazz wiedziała, że jadą w kierunku opuszczonego domu na Julianowie, który od kilku tygodni był pod dyskretną obserwacją Interpolu.

Po kwadransie minęli front domu, skręcili w stronę parku i podjechali od tyłu. Automatycznie otwierana brama uchyliła się i wjechali na podjazd tonący w mroku. Mary Jazz wzdrgnęła się na myśl o kobietach przywożonych tu przez porywaczy.

– Będzie dobrze, pani komisarz – szepnęła Lena.

– Stul dziób, kretynko – syknęła Mary. – Jak mnie sypniesz, to do końca życia nie wyjdiesz z więzienia.

– Jasna sprawa, wszystko będzie dobrze.

Miało to zabrzmieć niby pojednawczo, ale Mary Jazz miała wrażenie, że słyszy ton ironii.

Minutę później wjeżdżali do ogromnego podziemia willi, w której od wielu miesięcy nikt nie podnosił żaluzji.

Lena bacznie przyglądała się Mary Jazz. Patrzyła, jakie wrażenie robi na niej klatka, w której tego wieczoru zamknięta była jedna z nieposłusznych kobiet. Z satysfakcją osoby wtajemniczonej patrzyła w przerażone oczy Mary, które spoczęły na regałach z dziesiątkami par damskich butów zgromadzonych przez szalonego kolekcjonera. Żałowała tylko, że nie widać stąd głębokiej skrzyni, do której porywacze wrzucali torebki i rzeczy osobiste porwanych kobiet. Powinna milczeć, trzymać karty w rękawie, ale nie mogła się powstrzymać. Czuła dziwną satysfakcję, gdy powiedziała:

– Szkoda mi tego motocyklisty, który za nami nie dojechał, ale obiecuję, że nic mu się nie stało. To twój kochaś, prawda?

Mary Jazz poczuła, że w jednej sekundzie wali się cały misternie konstruowany plan, nad którym pracowała z Interpolem od ponad roku.

98.53

Od następnych świąt kupuję więcej wina i dobrych trunków, bo zauważyłem, że alkohol w odróżnieniu od jedzenia się nie marnuje.

98.54

Kiedyś lubiłem Boże Narodzenie, ale gdy dziś widzę te kolejki w sklepach, nerwową krzątanię, koszyki wypełnione po brzegi, to mam wrażenie, że zbliża się wojna, a nie święta; wszyscy robią zapasy jak na powrót okupacji niemieckiej, a nie trzy dni wolnego.

Tulinka zapowiedziała, że z grupą studentów wyjeżdża na tydzień w góry, mogą się z nimi zabrać, zwłaszcza że zostają aż do Nowego Roku. Dla dziewczyny nie ma nic gorszego, niż przyznać przed koleżanką, że nie ma z kim iść na sylwestra, z drugiej strony szkoda okazji, nawet Kopciuszek w tym popiele po łokcie się urobił tylko po to, żeby z chałupy pojechać na bal. A zatem, powiada Tulinka, wskazane jest, bym jechał. Zbiórka za dwa dni po zajęciach przed budynkiem ASP.

98.55

Trochę tej dziewczynie współczuję, bo niczego jeszcze nie jest świadoma, do tej pory żyła sobie na wolności, z dala od myśli, którymi jej nie osaczałem. Była swobodna i bezpieczna, a teraz na każdy kaprys mojej wyobraźni i przymknięcie powiek będzie się zjawiać pod nimi posłusznie i trwać tam uwięziona nocami, a i w dzień mogę ją przecież przywołać, bezbronną i nieświadomą tego, że pamięć i wspomnienia są najdoskonalszą formą niewolnictwa – z więzienia można jeszcze jakoś się wydostać, ale nie da się uciec z człowieka.

Miłość to w gruncie rzeczy uczucie przestępcze – bezwzględne dążenie do pozbawienia innego człowieka wolności.

98.56

Było już między nami dotknięcie, liźnięcie i muśnięcie, tknięcie i zetknięcie, było kiwnięcie, kontakt, łączność, pchnięcie i popchnięcie, poruszenie, potrącenie, przesunięcie, styczność, trącenie, ujęcie, dotykanie się i stykanie, czucie, zmysł i podszczygnięcie, skubnięcie,

szarpnięcie i uszczypnięcie, poznanie i doznanie, popróbowanie, posmakowanie, było skosztowanie, sprawdzenie, spróbowanie, napoczęcie, wzięcie, oblizanie i rozpoczęcie, obejmowanie, pieszczenie i przygarnięcie, przytulanie, ściskanie i tulenie, umizgi, czułości, flirt i zaloty, gra miłosna, kares oraz migdalenie się, czułe słowa, czułościowość, nastrojowość, prostoduszność, przychylność, przyjazność, serdeczność, tkliwość i ogólna uczuciowość, zmysłowość i pobudliwość, był nawet buziak, całowanie, cmok i całus, kokietowanie, nadszkakiwanie i pieszczoty, było sto innych synonimów subtelności i cała ta gra wstępna, a rżnięcia tak jak nie było, tak nie ma.

98.57

Dziś mój kolejny program w Funeral TV. W brytyjskim miasteczku Scarborough działa firma And Vinyly. Założył ją Jason Leach, pomysłodawca winylowych płyt z odgłosem zmarłych. Klienci przynoszą mu prochy bliskich, a on zatapia je w longplaye tak półprzezroczyste, że pod światło wyraźnie widać szare smugi popiołu. Nagrywa piosenki wybrane przez klientów, podczas odtwarzania płyta trzeszczy w miejscach, w których igła dotyka drobin prochów, i wtedy właśnie wiemy, że ten trzask to był on, ten, który odszedł, nie mówi już do nas wprawdzie, ale przynajmniej trzeszczy, słyszymy go wyraźnie.

– I ty mówisz, że moje DNArt jest dziwactwem? – pyta Tulinka.

– Już niczemu się nie dziwię. Ludzi po prostu totalnie pojebało. Ale nawet obłęd ma chyba granice!

– Obłęd może ma, ale sztuka nie ma.

00.33

Co knuje Lena?

Gdyby Mary Jazz wzięła ze sobą pistolet, to z pewnością wyjęłaby go natychmiast i wypaliła w kierunku tej zdrajczynie.

– W co ty grasz, u licha? – syknęła. Lena położyła palec na ustach.

– Niech się pani nie denerwuje, bo wszystko się wyda – powiedziała z uśmiechem.

Siedziały w małym pokoiku i czekały na bossa. Żaluzje, jak w całym tym ponurym domu, były opuszczone. Lekkie światło dawały tylko dwa czerwone kinkiety nad sofą.

Mary Jazz rozglądała się po pokoju z niepokojem. Nie tak wyobrażała sobie spotkanie z tym mężczyzną. Wszystko miało być inaczej. Na dole powinien czekać Petr, na każdym kroku miał jej zapewnić poczucie bezpieczeństwa. Wystarczyło, że naciśnęłaby ukryty przycisk mikronadajnika wszytego w szlufkę, a stałby przy niej z bronią gotową do użycia.

To miał być ich wspólny sukces – jej i Petra. To wydawało się takie proste i dopracowane w każdym detalu. Teraz była wściekła, że nie we wszystko wtajemniczyła komisarza Grocha. Mogłaby liczyć na jego pomoc, a tak zdana jest na łaskę tej małej zdrajczynie.

– Dlaczego mi to zrobiłaś? – Złapała Lenę za ramiona.

– Spokojnie, nic złego się jeszcze nie stało – odparła tamta, mocno akcentując wyraz „jeszcze”. – Chcemy po prostu, żebyście wiedzieli, że należy traktować nas serio.

– Was? To znaczy ciebie, bossa, tę waszą szajkę?

– Nie, nie mam na myśli bossa.

– To kogo? Dla kogo ty pracujesz, Lena?

– Jak to dla kogo? Dla policji przecież. Powinna pani wiedzieć. To przecież ty wrobiłaś mnie w tę współpracę.

– Zgodziłaś się.
– A miałam wyjście?
– Nie miałaś.
– No widzisz.
– Więc dla kogo pracujesz?
– Słowo daję, że dla policji. Ale to policja nie jest pewna, dla kogo ty pracujesz – odparła spokojnie Lena, nie dodając jednak, że chodzi o inspektora.

Mary Jazz zaniemówiła z wrażenia. Chciała coś powiedzieć, ale w korytarzu słychać było już jakieś kroki. Zbliżał się boss, a wraz z nim odpowiedzi na najważniejsze pytania.

98.58

Powiem ci coś. Wiesz, że człowieka można rozkochać pieszczotą? Już jako mały chłopiec zauważyłem, że dorośli popadają w potrzebę taką, żeby się dotykać. Przy czym bywają to gesty nie tylko spokojne, opanowane i stateczne, jak w wieku dorosłych by wypadają. Zdarzają się też dotknięcia niesforne, niegrzeczne i rozbrykane. Mocne, zdecydowane i zaborcze, jakby kierował nimi nie rozum, lecz jakaś chciwość niecierpliwa. Nie wiedziałem jednak wtedy, że w tej chciwości przejawia się pożądanie.

Pożądanie jest potrzebą bezwzględną – nieokielznaną chciwością posiadania drugiego człowieka, przejęcia na własność jego ciała i duszy, a nawet jeśli są ludzie, co w duszę nie wierzą, to i tak nie potrafią się powstrzymać od zajęcia miejsca, które na nią przeznaczone. Pod tym względem pożądanie niczym nie różni się od pospolitego złodziejstwa, piractwa, zaborów austriackich, rosyjskich i pruskich, a także od zuchwałej kradzieży z włamaniem.

98.59

Pojechałem do Marysi Jezus, chciałem opowiedzieć jej to wszystko i usłyszeć słowa zrozumienia, ale milczała, z dezaprobatą kręcąc głową. Nawet herbaty mi nie zrobiła, a suszyło mnie jak Beduina na pustyni.

Wiem, że można się znać na prądzie trójfazowym oraz naprawie telewizorów, pralek i mikrofalówek, można też rozumieć sposób działania silników lotniczych i kolektorów słonecznych, ale nie spotkałem nikogo, kto tak do końca by wiedział, jak działa kobieta.

98.60

– Opowiedz mi jeszcze o miłości – prosi Tulinka.

– Dawno, dawnotemu, jeszcze przed wynalezieniem człowieka, anioły mogły obcować ze sobą cieleśnie. Dotykały się ustami, by tchnąć w siebie oddech, a wraz z nim swoją moc, bogactwo jawy i prorocstwo snów. Komunikowały się w ten sposób, wymieniały marzeniami, zaspokajały pragnienia. Potem Pan Bóg wymyślił człowieka. Na samym początku człowiek żył z aniołami i od nich nauczył się wszystkiego, łącznie z oddechem, który zawierał myśli, obrazy, muzykę, poezję. Tak powstała radość. Z dnia na dzień stawała się silniejsza, aż Bóg postanowił stworzyć coś potężniejszego i do głowy przyszedł mu smutek. Rozdzielił ludzi od aniołów. Do dziś człowiek usiłuje o nich sobie przypomnieć i dlatego tęskni. Gdy znajdzie kogoś, kogo pokocha, dotyka go ustami, tak jak to było w zwyczaju aniołów. I czuje z tego powodu przyjemność, chociaż sam nie wie dlaczego. I to się nazywa miłość.

98.61

Jesteśmy na siebie napaleni jak dwa parowozy, a tymczasem siedzimy po przeciwnych stronach stołu i w napięciu jąkamy się na różne tematy. Ja mówię coś o swojej pracy, ty opowiadasz o obrazach, chociaż oboje wiemy, że ciebie nie interesuje moja nudna praca, a mnie twoje głupie obrazy. Myślimy tylko o tym, by w końcu siebie dopaść i wsadzać języki do ust, a ręce do majtek. Wydaje nam się jednak, że jeszcze nie wypada, więc opowiadamy sobie te wszystkie dyrdymały i historie tak nudne, że w sypialni za ścianą łóżko zatyka sobie uszy poduszkami. Pytam, czy chce ci się pić, a ty wzdychasz, że owszem, masz wielkie pragnienie, po czym milkniesz rozbawiona dwuznacznością tego słowa i twoje wyznanie zawisa nad nami w oczekiwaniu, a ja jak ten głupek sięgam po szklankę z wodą zamiast nareszcie pod twoją spódnicę.

98.62

Wszystko jest możliwe, ale nic na pewno.

W radiu horoskop. Wygląda na to, że mam małe szanse na wielką miłość.

00.34

Na psa urok

Do pokoju wszedł mały łysawy mężczyzna w kwadratowych okularach. Wyglądał jak księgowy, a nie groźny boss. Chociaż nie każdego księgowego byłoby stać na najnowszy garnitur marki Hugo Boss.

– A więc to jest ta słynna uciekinierka, która się wywinęła niemieckim policjantom! – zwrócił się do Mary z sympatią, wyciągając dłoń na powitanie.

A więc on o niczym nie wie – odetchnęła z ulgą.

– Nie przesadzajmy, po prostu nie znaleźli dowodów – odparła skromnie.

Przez dobry kwadrans rozmawiali o przeszłości Mary Jazz. Tej nieprawdziwej, przygotowanej przez Interpol. Boss znał jej cały fikcyjny życiorys. Wiedział nawet, jakiej rasy był pies, którego w nim miała.

– To był briard? – zapytał, jakby jednak sprawdzał każdy element tej układanki.

– Nie, nie – zaproponowała. – To był owczarek starofrancuski.

Wzruszyła ramionami. Nigdy nie słyszała o briardach. Ale dobrze pamiętała, że to był owczarek. Boss zapalił papierosa.

– Przejdźmy do rzeczy – powiedział. – Jest posada do wzięcia. Menadżer VIProomu. To miejsce dla specjalnych klientów. Pochodzą głównie z zachodniej Europy, ale nie tylko. Są też bogaci Rosjanie. Polaków raczej mało. Pomagamy spełnić ich zachcianki. Ty skupisz się na pozyskiwaniu nowych klientów. Jasne?

– Jasne. Realnie VIProom oczywiście nie istnieje?

– W sensie materialnym? Oczywiście, że nie. Jest wirtualny. Do czasu, w którym prawdziwe miejsce wybierze klient.

– Rozumiem – zapewniła Mary Jazz. – My po prostu dostarczamy mu dziewczynę tam, gdzie chce.

Boss się skrzywił.

– Klient często sam nie wie, czego chce – powiedział. – Ty musisz to wiedzieć, a potem mu uświadomić. Dostarczamy wrażenie, że mamy coś specjalnego, wyłącznie dla niego i nigdzie

poza nami tego nie dostanie. Jeśli klient chce, to owszem, dostarczamy mu dziewczynę. Białą, czarną, żółtą. A jak będzie chciał w ciapki, to znajdziesz mu w ciapki. Jak będzie chciał nieletnie bliźniaczki, to mu je znajdziesz. A jak będzie chciał chłopca, to też mu go znajdziesz. Białego, czarnego, żółtego lub w ciapki. Rozumiesz? A jak będzie chciał kozę, to też.

– W ciapki?

Roześmiał się.

– Widzę, że rozumiesz.

– Rozumiem. Mamy jakieś granice?

– Obsługujemy bogaczy i ludzi z pierwszych stron gazet. Polityków, celebrytów, eminencje. Zapewniamy im usługę na najwyższym poziomie oraz dyskrecję. Granicą jest dolna stawka za najprostsze zlecenie, czyli tysiąc euro. Poniżej tej kwoty nie ruszasz palcem w bucie. Dla ciebie dziesięć procent z każdego zlecenia.

– Piętnaście? – Postanowiła pokazać, że jest pewna siebie.

– Osiem – powiedział spokojnie. – A jak będziesz się ze mną jeszcze targować, to zjadę do pięciu. – Wyciągnął rękę. – *Deal?* – zapytał

– *Deal.*

Gdy wyszedł, Mary Jazz odetchnęła z ulgą.

– Co masz taką niewyraźną minę? – zwróciła się do Leny, którą boss przez całą rozmowę traktował jak powietrze.

– Czy jesteś pewna, że wszystko poszło po twojej myśli? – odpowiedziała pytaniem dziewczyna.

– Chyba tak.

– I rzeczywiście w Niemczech miałaś owczarka, a nie briarda?

– Oczywiście! To był owczarek starofrancuski, żaden briard.

– Rozumiem.

Lena postanowiła nie mówić policjantce o błędzie, jaki przed chwilą popełniła. Ochroniarz bossa miał psa tej rasy, stąd wiedziała, że briard to to samo co owczarek starofrancuski. Ale skoro nie wiedzieli o tym ani boss, ani Mary Jazz, to może lepiej taką informację zachować sobie na później, nigdy nie wiadomo, co się w przyszłości przyda.

98.63

Wsiadła do autobusu ostatnia, na powitanie skinęła mi ręką. Włosy miała upięte w koński ogon, przez co jej szyja zrobiła się smukłą, pięknie współgrając z delikatnie zarysowanymi obojczykami, widocznymi spod szeroko rozpiętej koszuli. Na plecy narzuciła krótki kożuszek z mocno wciętą talią. Nogi opinały obcisłe dżinsy, których nogawki wpuściła do skórzanych oficerek. Kobiety po to mają nogi, by chodzić mężczyznom po głowie. Przystałem oddychać, gdy zbliżała się do mnie. A potem westchnąłem ciężko, bo wprawdzie puściła do mnie oko, ale usiadła obok koleżanki, tej czarnej, chudej z rodziny Addamsów. Człowiek składa się z wdechów, wydechów i westchnień.

Przed nimi rozsiadł się brodac, wysoki, zwalisty, niestety przystojny. Od razu było widać, że dziewczyny kleją się do niego jak miód do palców. I tak to już jest z dziewczynami, że jak widzą przystojnego mężczyznę, to od razu mówią głośnie. Jakby gałkę z fonią ktoś w nich podkręcał. Więc zaczęły trajkotać. A ten chłopak nic, głuchy i ślepy, jakby w nim ktoś dla odmiany gałkę nie tylko z fonią, ale i z wizją skręcił do zera. I im bardziej on ich nie widział, tym głośnie mówily. Humor miałem zepsuty przez całą drogę.

98.64

Całą nadzieję pokładałam w matematyce. Takiej najprostszej. Chciałbym po prostu wiedzieć, w jaki sposób mogę siebie dodać do ciebie.

98.65

Dyskutują ciągle o granicach w sztuce, tak jakby nie było nic pilniejszego niż ich przekroczenie. Przypomniało mi się, jak w madryckim Muzeum Narodowym Prado oglądałem kiedyś renesansowy obraz Pedra Machucy *Dziewica i dusze czyścicowe*. Przyszła jakaś wycieczka szkolna prowadzona przez dwie nauczycielki, które na widok obrazu zaczęły coś wykrzykiwać ze zgrozą (Hiszpania to kraj równie mocno, co powierzchownie katolicki jak Polska) i natychmiast przegoniły dzieci do następnej sali. Inkryminowane dzieło przedstawia Madonnię z piersiami nie tylko obnażonymi, ale i wezbranymi tak, że siedzący na jej kolanach Jezus, z łobuzerską miną naciskając jedną z nich, powoduje uwolnienie się strumienia mleka. Widząc reakcję nauczycielek, pomyślałem, że coś się zmieniło w naszym podejściu do ciała, a może i macierzyństwa, bo w XVI wieku obraz ten nie budził takich kontrowersji jak dziś.

98.66

Czas stanął w miejscu, ale nie wiadomo jakim. Co chwilę patrzę na zegarek i sprawdzam, czy nasza godzina nie minęła, kiedy na moment odwróciłem wzrok.

00.35

Wanna z kawiozem

Lena przypomniała sobie klatki na kobiety w podziemiu willi i ze współczuciem spojrzała na Mary Jazz. Nawet jeśli boss nie złapał jej na kłamstwie i nie zauważył niczego, to przecież ta młoda policjantka nie ma szans, by spełnić jego oczekiwania. Menadżerka VIProomu od siedmiu boleści, co ona sobie wyobrażała? – pomyślała z dezaprobatą.

– Jakim cudem załatwisz mu tych klientów? – spytała.

Mary Jazz spojrzała na nią ponuro.

– Bez Petra będzie trudno. A bez niego nie mam łączności z Interpołem – powiedziała.

– To chwilowe, jedziemy przecież na jednym wózku – uspokoiła ją Lena. – Pewnie już się pozbiarał.

– Zapłacisz mi za to. Mogłaś zepsuć całą akcję.

– Każdy tu w coś gra. Musiałam cię przekonać, że i ja mam karty.

– Czego chcesz?

– Szczegółów.

– Po co ci?

Lena milczała przez chwilę, zastanawiając się, czy powiedzieć. W końcu doszła do wniosku, że najlepiej grać po obu stronach.

– Groch mi kazał – przyznała.

– Kto? – W głosie Mary Jazz zabrzmiało niedowierzanie.

– Inspektor Groch. Jest niezadowolony, że ma pani swoje tajemnice z Interpołem. Chyba jest też trochę zazdrosny.

– Zazdrosny? O Petra?

– Raczej o możliwość awansu – uśmiechnęła się Lena.

– To jakieś wariactwo! – wściekła się Mary Jazz.

– On mówi, że to tylko rozgrywki personalne.

Mary chciała coś odpowiedzieć, ale poczuła lekką wibrację w nadajniku ukrytym pod szlufką.

Wyjęła z torebki słuchawki od iPhone'a i włożyła cienki wtyk w gniazdko nadajnika.

– Petr? Nic ci się nie stało?

Coś odpowiedział. Coś, co ją ucieszyło, bo twarz jej rozpogodziła się natychmiast.

– Tak, chyba czeka nas drobna korekta planów, ale nieznaczna. – Dotknęła uspokajająco mikrofonu wbudowanego w kabelek. – Tymczasem na jutro potrzebuję jakiegoś napaleńca. Wymyśl coś.

Chwilę słuchała odpowiedzi.

– Nie, nie, bogaty Rosjanin i panna w wannie pełnej kawioru to świetny pomysł, ale może następnym razem – roześmiała się. – Potrzebuję na początek bogatego napaleńca, który przysle mi z pięć tysięcy euro na przykład za którąś z tych tańczących gwiazd telewizji.

Przez chwilę słuchała odpowiedzi.

– Ale dlaczego ta gwiazda ma być w wannie z kawiolem? Co ty z tym kawiolem? – zdziwiła się.

Po chwili na jej twarzy pojawiło się niedowierzanie.

– Chcesz mi powiedzieć, że masz kontrolerów, przed którymi nie potraficie rozliczyć się z wanny kawioru i dlatego ja mam ją zaksięgować w naszą akcję?

Spojrzała na Lenę, która słuchała tej rozmowy z ustami otwartymi ze zdumienia.

98.67

Tulinka po butelce wina:

– Świat jest tak diabelnie popierdolony, że jeśli wymyślisz coś piekielnie popierdolonego, ale tak, że już bardziej popierdolone być nie może, to i tak się okaże, że przed tobą był ktoś jeszcze bardziej popierdolony i wymyślił coś jeszcze bardziej popierdolonego.

Po czym chaotycznie i w przypadkowej kolejności wymienia garść przykładów: rzeźba papieża trafionego meteorytem, obóz koncentracyjny z klocków lego, musical Jakuba Jaworskiego, podczas którego widzowie mieli SMS-owo zdecydować, czy należy ukrzyżować Jezusa, koncerty śpiewającej na krzyżu Madonny z koroną cierniową we włosach, *Pasja* Doroty Nieznalskiej przedstawiająca ukrzyżowane męskie genitalia, projekt Zuzanny Janin, która upozorowała swój zgon i w przebraniu sfilmowała dziejący się naprawdę pogrzeb, obraz Adama Rzepeckiego przedstawiający Matkę Boską z wąsami Salvadora Dalego, *Piss Christ* Andresa Serrano, czyli krucyfiks zanurzony w moczu, rzeźba *Him*, w której Maurizio Cattelan wymodelował postać modlącego się Hitlera, Tracey Emin pokazująca łóżko pełne zaschniętych płynów organicznych, obrazy z krwi menstruacyjnej tworzących niezależnie Judy Chicago, Carolee Schneemann i Jen Lewis, w końcu – rzeźby z ludzkich włosów Gunthera von Hagen.

Niektórzy ludzie mają w sobie taką głębię, że przepadają w niej bez wieści.

– Zobaczysz, też zrobię coś piekielnie niesamowitego – mówi do mnie Tulinka.

– Wołałbym nie widzieć.

– Zobaczysz – powtarza i brzmi to jak groźba.

98.68

Jakże czysta i niewinna jest przy tym gromadzona przez pięć lat kolekcja łez Rose-Lynn Fisher. Artystka suszyła je i fotografowała, zapisując towarzyszące im stany emocjonalne. Po czym opublikowała sto mikroskopowych fotografii, na których można odkryć, że łzy radości bardzo się różnią strukturą od łez wywołanych smutkiem.

98.69

Ranek nastał słoneczny, stok był roziskrzony świeżym śniegiem – zapowiadał się piękny dzień. Schodziła z piętra w rozpiętym kożusku. Bez czapki i szalika.

Chciałbym jej powiedzieć:

– Zimą staję się mrozem, który karcąco cię szczypie przez majtki za cienkie.

Ale mówię:

– Ale dziś zimno, Tulinko. Radziłbym jednak wziąć ze sobą czapkę oraz szalik.

– Ależ ja tylko na śniadanie schodzę! Ty zawsze jesz śniadanie w czapce i szaliku?

Może wyszedłem na idiotę, ale przynajmniej na troskliwego idiotę.

Dosiadłem się do niej. Brodacz konsumował naprzeciw nas, i to nie tylko śniadanie – jakaś blondynka siedziała z jego lewej strony i głaskała go po dłoni. Z prawej siedziała brunetka od Addamsów i głaskała go po udzie. Widać było, że mężczyzna woli po udzie, bo się bardziej przysuwał do brunetki. Blondynka jednak nie była gapą, bo widząc, co się święci, położyła mu dłoń w miejscu strategicznym. Brunetka nie chciała zostać w tyle, więc wsunęła swoją rękę pod dłoń blondynki i ścisnęła lekko. Na co niewdzięczny brodacz wstał i ostentacyjnie wyszedł z sali.

Oczy Tulinki zrobiły się okrągłe i było w nich tyle zdumienia, jakby dopiero przyszła na świat i rozejrzała się dookoła.

Niech patrzy, moja mała dziewczynka, niech patrzy.

Tulinka:

– Jeśli mężczyzna nie dorasta kobiecie do pięt, to nie powinien myśleć o całowaniu jej ud.

00.36

Powrót wakacyjnej Paskudy

Inspektor Groch z obrzydzeniem patrzył w telewizor.

– Wszystko w tym kraju schodzi na psy, a dziennikarstwo to już najbardziej – powiedział, zwracając się do blondynki zapinającej stanik. – Kiedyś to podczas wakacji mówili w telewizji albo o Paskudzie z Zalewu Zegrzyńskiego, albo o potworze z Loch Ness. Człowiek z ciekawością słuchał. A teraz? Nic, tylko podsłuchy, manifestacje i rządowe rekonstrukcje.

A zamiast Paskudy tylko politycy.

– Fakt, potwór byłby przyjemniejszy – zgodziła się Lena.

– A ty czemu już się ubierasz? – Inspektor oderwał wzrok od telewizora.

– Boss chciał mnie widzieć o osiemnastej.

– Sypiasz z nim?

– Ależ skąd, nie jestem w jego typie – roześmiała się. – Obawiam się, że chce porozmawiać o pani komisarz.

– O Mary? Podejrzewa coś?

– Nie wiem.

– Mówiłaś, że ona dobrze tam sobie radzi.

– Bo to prawda. W ciągu pierwszych dni zorganizowała sześciu klientów, którzy w sumie zostawili pięćdziesiąt tysięcy euro.

– Żartujesz? – zdumiał się Groch. – Jak ta suka to robi? Wiesz?
– Tak.
– No to mów.
– Wie pan, co to jest przepływ bezgotówkowy, prawda?
– Nie traktuj mnie jak głupka.
– No to te kobiety, które ona organizuje, są jak taki przepływ bezgotówkowy, też wirtualne. Klienci także.
– A pieniądze?
– Są prawdziwe.
– Jakim cudem?
– Po prostu ten jej kochaś z Interpolu składa fikcyjne zlecenia, a pani inspektor wysyła mu fikcyjne dziewczyny. Tylko pieniądze, które dostaje boss, są prawdziwe. Jak przyjdzie czas, będą dowodem obciążającym bossa. A dziś uwiarygodniają panią komisarz w jego oczach.
– Dużo mają tych pieniędzy?
– Pamięta pan zdjęcie agenta Tomka z walizką pełną pieniędzy? Często pokazywali w telewizji.
– Pewnie, że pamiętam.
– No, to jest tak jakby powrót agenta Tomka. Tyle że ta akcja jest międzynarodowa i Petr ma niejedną walizkę pieniędzy.
– Cholera, człowiekowi brakuje na nowy radiowóz, a oni szastają gotówką bez kontroli...
– zaczął utyskiwać Groch. – Wracaj do łóżka, trzeba mnie jakoś pocieszyć.
Lena spojrzała w kierunku oka miniaturowej kamery i pomyślała, że niebawem telewizją wstrząśnie coś znacznie mocniejszego niż wakacyjna Paskuda.

98.70

Dziś mam na imię Niecierpliwość. Przy schronisku jest wypożyczalnia skuterów śnieżnych. W południe Tulinka mówi, że ma ochotę wybrać się na przejażdżkę. Umawiamy się za kwadrans. Pół godziny później pukam do jej drzwi.

– Za ile będziesz gotowa?

– Pięć minut!

Czyli co najmniej kwadrans. Doskonale.

Gdy ruszyliśmy w dół stoku, zaczął prosić śnieg, lekki puch, jak to przy niskiej temperaturze. Pół godziny później, już u dołu góry, puch przeszedł w ciężkie płatki, co znaczyło, że temperatura musiała się znacznie podnieść. W dolinie zobaczyliśmy leśniczówkę, postanowiliśmy jeszcze objechać ją dookoła i wracać do schroniska. Kwadrans później jechaliśmy już pod górę, śnieg cały czas sypał, gęsty i mokry. Spojrzałem na termometr. Załedwie minus dwa stopnie. Pomyślałem, że to niedobrze, bo łąchy śniegu nabiorą ciężaru i mogą się osuwać ze stoku. I myśl ta stała się natychmiast samosprawdzającą się przepowiednią. Niewielki jeszcze fragment zaspy oderwał się od zbocza i zsunął w naszym kierunku. Zanim zdążyłem zareagować, zasypał nas po kolana. Skuter utknął. Włączyłem wsteczny bieg, wcisnąłem manetkę gazu do oporu i to był błąd – tył jednej z płóz zahaczył o wykrot lub kamień, natychmiast spadłem z siodełka, a skuter przeokoziółkował, przygniatając Tulinkę.

Podbiegłem, patrzę, płoza złamana, Tulinka próbuje wstać, ale nie potrafi:

– Coś mi się stało w kolano.

Spoglądam w dół, do leśniczówki jest najwyżej kilometr, dojedziemy bez problemu na złamanej płozi. Stawiam skuter, pomagam usiąść Tulince, ostrożnie jedziemy. Wkrótce jesteśmy

na miejscu, wyłączam silnik, pukam do drzwi. Nic, cisza. Obchodzę dom dookoła, nikogo, okiennice zamknięte. Wracam do drzwi, naciskam klamkę. Otwierają się z lekkim skrzypieniem, jakby czekały na takie ofiary losu jak my. W środku wielka izba wyposażona w małą kuchenkę, stół, kominek, cztery krzesła, kanapę. W powietrzu czuć palonym drewnem, co świadczy o tym, że z opuszczonej leśniczówki od czasu do czasu ktoś jednak korzysta. Na stole paczka świec i zapalki, nad nim, przypięta pinezkami do belek, zafoliowana kartka z napisem: „Witaj, zbłąkany wędrowcze, i korzystaj ze schronienia. Bierz to, co jest, zostaw, co możesz dla następnych gości, dbaj jak o swoje lub bardziej. Narąb dla innych drewna tyle, ile sam zużyłeś. Jeśli potrzebujesz pomocy, to w poniedziałki i czwartki zagląda tu WOPR, żeby wymienić butle gazowe na pełne”. Dziś wtorek, jutro pierwszy dzień świąt. Wyciągam telefon komórkowy i sprawdzam zasięg. Słaby, zaledwie jedna kreska, ale jest. Zaglądam do szafki kuchennej i widzę parę opakowań kawy i herbaty, cukier, kilka paczek ryżu i makaronu, konserwy. Stukam w butle z gazem, są pełne.

Wracam do Tulinki, biorę ją na ręce, niosę do środka. Izba jest wyziębiona, więc kładę Tulinkę na kanapie, przykrywam wszystkimi kocami, jakie znalazłem, i idę po drewno, aby rozpałić w kominku. Gdy wracam, na stole czeka już gorąca herbata, a Tulinka otulona kocem siedzi przy stole i sprawdza coś w telefonie.

– Masz zasięg? – pytam.

– Nie.

– Co z nogą?

– Będzie siniak jak Balaton, ale nic poza tym. Ból już przechodzi. A ty masz zasięg?

– Nie wiem jeszcze – kłamię. – Zaraz sprawdzę.

– Postawmy najpierw wodę na makaron, jestem głodna.

– Skuter jest uszkodzony, musimy wezwać pomoc.

– Później, chcę trochę od nich odpocząć.

– To chodź, przez kilka godzin pobawimy się w Robinsona Cruoe.

Od schroniska dzieliło nas najwyżej dwadzieścia kilometrów. Nasza bezludna wyspa była w jego bezpiecznym zasięgu.

Po paru minutach ogień w kominku zatrzęszczał, sypiąc do komina wesołymi iskrami. Przykucnęła koło mnie i powiedziała:

– Gdy byłam mała, mój ojciec mówił, że tak właśnie powstają gwiazdy, z tych iskier, które lecą do komina. A ja mu zawsze wierzyłam. Pewnie dlatego wierzę w to do dziś.

98.71

Tulinka:

– Jesteś mi pisany, nie wiesz jeszcze o tym, ale nauczę cię, jak to przeczytać. Zaczynij palcami po mojej skórze, jak po literach, pochyl się nade mną i usta przyłóż w zagłębieniu ciała tuż nad obojczykiem albo za uszami. Teraz spójrz na moją twarz i zobacz, jak zmienia się jej wyraz. A „wyraz” to synonim „słowa”. Skoro potrafisz zmieniać we mnie słowa, to znaczy, że umiesz mnie pisać.

– Dobra, zadzwoń już do schroniska – mówi wieczorem.

– Nie mogę, tu nie ma zasięgu – skłamałem.

– Dlaczego Pinokowi rósł nos?

– Bo kłamał.

– A co mu rosło w nagrodę, gdy mówił prawdę?

Kusi:

– Ludzie tak bardzo się boją rozczarowań, że nawet nie próbują być szczęśliwi. Ale lepiej być dwa razy rozczarowanym niż ani razu szczęśliwym.

00.37

Porno z inspektorem

Po wyjściu inspektora Lena podeszła do kamery ukrytej między książkami. Tymon, zgodnie z obietnicą, umieścił ją tak, że obejmowała całe łóżko. Wyjęła kasetę wielkości pudełka od zapalek. Mógłby zamontować coś nowocześniejszego – pomyślała.

Z klatki schodowej dobiegł głos otwieranych drzwi windy. Po chwili Tymon po cichu wszedł do mieszkania.

– Poszedł już? – zapytał szeptem.

– No przecież widzisz, głupku, że go nie ma. Jakiś kwadrans temu. Tu masz nową taśmę.

– To już trzecia.

– Chyba wystarczy. Zmontuj mi z nich jakiś filmik. Kilka minut na początek.

– Co ma być widać?

– Przecież nie to, jak smażę mu naleśniki.

– Miałem na myśli twarze.

Przez chwilę się zastanawiała.

– Na jednej kopii zasłoń je trochę. Niech będą niewyraźne. A na drugiej zasłoń tylko moją.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Pytaj.

– Skąd masz tę mapę, którą u ciebie znalazłem? Tę z naniesionymi zabudowaniami Grohmanów.

Wzruszyła ramionami.

– Z antykwariatu – skłamała.

– Maks, taki mój przyjaciel z Irlandii, opowiadał mi, że jak był kierowcą Magdy, to podobną mapę widział w teczce tego gościa, którego zamordowali. Zabrał ją, ale ta Magda chyba mu ją ukradła.

– Dlatego jej szukasz?

– Mapy?

– Magdy.

– Tak.

Przez chwilę się zastanawiała, ile czasu będzie jeszcze potrzebował, aby dojść do tego, że to ona miała wtedy na imię Magda i tak naprawdę to jej szuka.

– Mówiłam ci, jest teraz menadżerką VIProomu u mojego bossa – skłamała, chcąc, by poszedł fałszywym tropem.

– Nie wierzę w antykwariat – stwierdził po chwili namysłu. – Myślę, że to jest ta mapa, którą miał przy sobie tamten zamordowany mężczyzna.

Rozpięła guzik bluzki.

– Więc skąd masz tę mapę? – zapytał.

Rozpięła następny guzik.

– Powiesz mi?

Rozpięła trzeci guzik.

– Naoglądałem się ciebie na tych filmach z inspektorem – roześmiał się. Nie przepadał za kobietami o silikonowych piersiach.

Wzruszyła ramionami, zapinając guziki.

– Przecież grozi ci współudział w morderstwie – zauważył Tymon.

– Nawet tak nie mów! – zaprotestowała gwałtownie. – Z dwojga złego wolę być złodziejką niż podejrzaną o morderstwo. Ukradłam mapę jednemu Irlandczykowi. Taki wysoki rudzielec z Dublina.

Opowiedziała, jak to rudy i chudy Irlandczyk przyszedł niedawno do klubu, sporo pił, stawiał dziewczynom, a potem zabrał ją do pokoju na górze. Śmierdział i był niemiły, wcisnął jej pięć euro za stanik i chciał, żeby zrobiła striptiz. Palant jeden. W Polsce za pięć euro to tylko kura do rosółu się rozbierze. Gdy zasnął, rutynowo obszukała mu kieszenie, znalazła ten pergamin. Zabrała jedynie dlatego, że nic innego nie było.

O jakimś Irlandczyku wspomniał jej Maks przez telefon, resztę zmyśliła na poczekaniu, nie chciała, żeby Maks się dowiedział, że ukradła mu mapę.

Tymon zastygł z zaskoczenia. Przypomniał mu się tamten Irlandczyk, Dublin i bójka w barze, od której zaczęła się ta cała historia. Czyżby przypadek?

98.72

– Zróbmy inaczej – zaproponowała. – Jest jakiś powód, dla którego od kilku tygodni starasz się być koło mnie częściej niż uprzednio. Uroczo się do mnie uśmiechasz i mówisz mi ładne rzeczy. Może ja się nie znam. Może nie mam kobiecej intuicji za grosz. I może zaraz zrobi mi się bardzo przykro, bo poproszę o coś, a ty mi odmówisz. Ale, ryzykując w takim razie, czy mogę cię prosić, do licha ciężkiego, byś przestał się w końcu zastanawiać i pocałował mnie, no nie wiem, w usta, w szyję, za uchem lub gdziekolwiek?

Najpierw wybrałem gdziekolwiek, a potem usta, szyję i za uchem.

Moje usta po twoim ciele niby błędzą,
a docierają do celu.

98.73

Tulinka kusi:

– Lubię, gdy jesteś niegrzeczny – nie staniesz się całym moim światem, jeśli nie przekroczysz wszystkich granic.

98.74

Krótką i szybką jest droga do piekła, do nieba idzie się powoli.

98.75

Budzę się obok niej pierwszego dnia świąt. Wiem, że otrzymałem cudowny prezent, zaledwie parę godzin temu go rozpakowałem z czarnych dżinsów, białej bluzki i koronkowych majteczek, chyba nigdy dotąd nie miałem równie pięknego prezentu pod choinką.

Odkryłem najpiękniejszą tajemnicę świata. Ale kichnęła, więc znów ją zakryłem.

Tulinka patrzy, jaki jestem rozmarzony, więc mówi o sobie:

– Czasami kot w worku okazuje się królikiem z kapelusza.

98.76

W południe wyszliśmy na zewnątrz. Przestało padać, świeciło słońce. Dookoła, kołysane lekkim wiatrem, kłaniały nam się ośnieżone świerki. Wciągnąłem głęboko powietrze. Tak, byłem szczęśliwy. Wyjąłem z kieszeni telefon komórkowy. Wskaźnik zasięgu sieci pokazywał dwie kreski. Odwróciłem się i zobaczyłem radosną twarz Tulinki. Schyliła się, zagarnęła garść śniegu, rzuciła we mnie śnieżką. Pudło.

– Chodź, ulepimy bałwana – zaproponowałem.

– Dobry pomysł, będziesz mieć w końcu odpowiednie dla siebie towarzystwo.

Przewróciłem ją na śnieg. Była silna i zwinna, po chwili znalazła się na górze i starała się mnie natrzeć. Mocowaliśmy się kilkanaście sekund. W końcu znów byłem nad nią. Przygniotłem ciałem. Leżała pode mną, ciężko dysząc. Spojrzałem jej w oczy. Śmiały się. Spojrzałem na jej usta. Rozchyliła je lekko. W kieszeni zaczął dzwonić mój telefon.

– Twój telefon dzwoni – powiedziała Tulinka.

– Przecież mówiłem ci, że tu nie ma zasięgu – odparłem.

Zamknęła oczy, więc zrobiłem to samo, i tak na śniegu rozświetlonym słońcem całowaliśmy się po omacku. Jednak we właściwe do całowania miejsca usta trafiają w każdym warunkach.

00.38

Co wie jubiler?

Lena postanowiła, że sama zadba o swoje interesy. Nie wiadomo, jak potoczy się historia z tą komisarz policji – rozważała w myślach. Nie wiadomo, co będzie z bossem. Nie wiadomo, czego doszuka się Tymon. Jej życie zaczęło przypominać równanie złożone z samych niewiadomych.

Od czegoś trzeba było jednak zacząć. Wyjęła ze schowka szpulkę złotych nici znaną podczas tamtej nocy, gdy zginął jej klient. Do tej pory bała się pokazać ją komukolwiek. Wiedziała, że to paradoks, bo pewnie nigdy dotąd nie była w takim niebezpieczeństwie jak teraz, ale poczucie, że współpracuje z policją, dawało jej pewność siebie. W dodatku była to współpraca na dwa fronty. Z jednej strony – z Mary Jazz, z drugiej – z inspektorem Grochem, który też coś kombinował na własną rękę.

Wrzuciła szpulkę ze złotą nicią do torebki i pojechała na Piotrkowską. Doszła do jubilera znajdującego się za skrzyżowaniem sklepu i zdecydowanym ruchem nacisnęła klamkę. Siwy starszy mężczyzna za ladą wzbudził jej zaufanie.

– Może mi pan powiedziec, co to jest i ile mogłabym za to dostać? – zapytała, podając mu szpulę błyszczącą złotem.

Długo obracał ją w dłoniach.

– Zdumiewające. Bardzo dziwne... – odrzekł w końcu. – Mam pewne skojarzenie, ale musiałbym sprawdzić. Może pani przyjść jutro?

– Oczywiście – odparła z uśmiechem. – Zwłaszcza że dziś trochę się już spieszę.

Boss nie znoślił spóźnień. Szybko ruszyła w kierunku postoju taksówek.

Po dwudziestu minutach byli na miejscu. Minęli dom z opuszczonymi roletami, taksówkarz skręcił w stronę parku i podjechał od drugiej strony.

– Wczoraj też tu wiozłem pewną panią – zauważył. – Dała mi sto złotych i kazała czekać. Czekałem godzinę, dwie, potem przysnąłem. Odjechałem, gdy zaczęło świtać. A ona nie wróciła.

Mary Jazz? – przemknęło Lenie przez myśl. – Zdekonspirowana?

Twarcz ochroniarza otwierającego drzwi nic nie wyrażała. Nawet nie uśmiechnął się na jej

widok, chociaż powinien, bo dekolt miała szeroko odsłonięty.

Nie jest dobrze – pomyślała.

I rzeczywiście. Gdy podeszła pod drzwi gabinetu bossa, usłyszała dobiegające z tamtej strony krzyki. Tak mogła krzyczeć tylko śmiertelnie przerażona kobieta.

98.77

– Wiesz, trochę mnie dziwi, że nas nie szukają.

– Wczoraj zadzwoniłam i powiedziałam, że wszystko jest w porządku.

– To jednak miałaś zasięg?

– No coś ty.

Pod wieczór przyjechali po nas ze schroniska.

Tulinka:

– Wiesz, jaka jest recepta na długowieczną miłość?

– Jaka?

– Gdy za sto lat będę pytać, czy mnie kochasz, ty kłam najpiękniej.

98.78

Marysia Jezus była gadułą i nawet podczas seksu usta jej się nie zamykały. Najczęściej mówiła: „Rznij mnie, rznij”, co było kompletnie bez sensu, bo przecież właśnie ją rznąłem, albo się domagała: „Mocniej, mocniej”, a to wpędzało mnie w poczucie winy, bo rznąłem najmocniej, jak mogłem, a ona cały czas miała uwagi. Najbardziej lubiłem, gdy żądała: „Skończ już”, bo wtedy mogłem rznąć mocno i bez opamiętania, ale zazwyczaj było jej za mało i powtarzała: „Tylko nie kończ teraz, bo cię zabiję”, to zaś okropnie mnie stresowało i przynosiło skutek dokładnie odwrotny – i cały seks był do bani.

Zawsze bardzo głośno się kochała, krzycząc przy tym: „O kurwa”, a ja dla odmiany niestosownie: „O Boże”, co zazwyczaj kończyło się wspólnym wybuchem śmiechu. Pewnie byłoby lepiej, żebyśmy wykrzykiwali to odwrotnie, raz nawet starałem się nad tym zapanować i nie wymawiać imienia Pana Boga swego nadaremno, ale udało mi się częściowo, bo w decydującej chwili wrzasnąłem: „O Jezu”.

Kpiła ze mnie, mówiąc, że mam okrzyk bojowy jak pensjonarka, ale nie potrafiłem go zmienić. Z dezaprobatą wznosiła oczy do nieba, przez co przypominaliśmy modlącą się parę – ja z tym religijnym okrzykiem, ona ze wzrokiem skierowanym prosząco w nieboskłon.

Magdalena zaś rozczulała mnie podczas pierwszych naszych intymnych spotkań, bo szeptała: „O mamó”. Czasami, w chwilach absolutnie szczególnych, wołała dokądś: „Mamusi, mamusku”. To było słodkie, chociaż nie wiem, co by pomyślała, gdybym dochodząc, krzyknął analogicznie: „O tato!”. W łóżku mówiła mało, natomiast lubiła się pieprzyć. Nie wydawała przy tym żadnych form oznajmiających, z czasem nie używała też już wołaczy, partykuł czynnych ani żadnej semantyki, tylko ze zmrużonymi oczami mruczała cichutko. Z nikim zresztą nie byłem tak dobrze dopasowany, w Magdalenie wypełniałem szczerze formę przewidzianą na mężczyznę. Potem naoglądała się dziwnych filmów, niestety, i niespodziewanie zaczęła się do mnie zwracać po angielsku, wykrzykując głównie: „Fuck me”. Od razu mi się przypomniała pewna Kamila z Niemiec, którą tuż po studiach poznałem na planie filmowym; wołała: „Schneller, Peter, schneller!”, a ja czułem się, jakbym oglądał film o drugiej wojnie, pewnie mnie zaraz rozstrzela. Jako prawdziwy Polak patriotą zdecydowanie wolę język ojczysty i z dwojga złego bardziej mi w łóżku odpowiadało „wišta wio” niż „schneller”.

Natomiast w kwestii miłosnego dialektu chwilowo jestem pokonany – Tulinka kładzie mi dłoń na ustach, gdy kochamy się w tym schronisku. Nie chce, żeby słyszeli za ścianą. Złości mnie to, ale nic nie mówię, usta mam zatkane.

98.79

Jest diabelsko piękna, ale jej tatuaż na udzie wydaje mi się odrażający. Wąż wijący się dookoła nogi okręca się tuż pod pośladkiem, a jego głowa pojawia się poniżej podbrzusza, przy czym nie jest to głowa węża, lecz strzegącego dostępu kozła. Takiego samego, jakiego ma na plecach. Ilekroć zaczynamy się kochać, Tulinka kładzie moją rękę na waginie, a ja mam wtedy wrażenie, że za każdym razem pytamy tego kozła o zgodę.

00.39

Dziewczyna z tatuażem

Słyszając okrzyk pełen przerażenia, Lena zrobiła krok wstecz. Chciała uciec. Ale stojący za nią ochroniarz wskazał drzwi.

– Masz wejść, boss czeka.

Ze strachem nacisnęła klamkę. Na środku stała zapłakana dwudziestoparolatka. Szczupły rudzielec z wytatuowanym łbem kozła na łopacie. Obok uśmiechnięta Mary Jazz i rozbawiony boss. Lena odetchnęła z ulgą.

– Co tu się dzieje? – zapytała niepewnie.

– No, wyobraź sobie, że ta mała brzydzi się kawioru! – zaśmiał się boss, jak zawsze ubrany w marynarkę marki Hugo Boss.

– Ja też nie przepadam – przyznała nieśmiało Lena.

– Ale ona nie ma go jeść, lecz wleźć do wypełnionej nim wanny – zarechotał.

– Jak to do wanny?

– Takie zlecenie załatwiłam – wyjaśniła pospiesznie Mary Jazz. – Klient chce dziewczynę w wannie wypełnionej szampanem i kawioru.

– Na pewno zwariował – zauważyła Lena.

– Jakbyś miała tyle pieniędzy, to też by ci rozum odjęło – stwierdziła Mary Jazz.

– Ale ja nie wejdę do kawioru, bo będę śmierdziała jak ryba – szlochała dziewczyna.

Lena spojrzała na nią ze zrozumieniem.

Gdyby nie obecność Mary, ta mała siedziałaby już pewnie w klatce znajdującej się w podziemiu. Ale boss chyba chciał pokazać, że ma klasę.

– Kozie mleko też nieładnie pachnie, a królowe się w nim kiedyś kąpały. – Popisał się historyczną erudycją.

– To ja już wolę w mleku! – piszczała z obrzydzenia Ruda.

Boss bawił się świetnie tą sytuacją. Ze śmiechu miał łzy w oczach. Mary Jazz, o dziwo również roześmiana, próbowała opanować sytuację.

– Szefie, skoro malutka nie chce, to może Lena pójdzie? – Mary Jazz puściła oko w kierunku Leny.

– No ale jak to nie chce? Tu nie jest koncert życzeń. – Boss się zachmurzył.

– Ale się boję, że dla tego klienta może być jednak za młoda – ratowała sytuację Mary Jazz.

Boss chwilę pomyślał, po czym machnął ręką.

– Mnie jest wszystko jedno. Ważne, żeby zapłacił tyle, ile mówiłaś. A teraz zostawcie

mnie z młodą – zwrócił się do Mary i Leny, wskazując drzwi.

Wyszły. Na korytarzu Lena zapytała wprost:

– Co wy robicie? Słyszałam przecież twoją rozmowę z tym kochasiem z Interpolu. Oni rzeczywiście zdefraudowali wannę z kawiozem i chcą ją wpuścić w koszty tej akcji?

– Nic nie rozumiesz – prychnęła Mary. – W rozpracowaniu siatki handlarzy kobiet potrzebujemy pomocy z Rosji. Ale formalnie strasznie trudno z nimi teraz cokolwiek załatwić. Wiesz, Putin skłócił się z całą Europą. Trzeba więc było podkupić rosyjskich agentów. No i znaleźliśmy takich, którzy w Polsce prowadzą fikcyjną firmę handlującą kawiozem. Interpol kupił u nich ten kawior. Oczywiście na niby. Żeby tylko coś mógł zaksięgować. No ale po co im wanna kawioru? Więc teraz przeznaczy go na potrzeby naszej akcji. Oczywiście również na niby. Wirtualnie, jak wszystko w tej akcji.

– No a ta mała? Nie powiesz mi przecież, że to hologram.

– Porwali bidulę – powiedziała ze współczuciem Mary Jazz.

– A ten idiotyczny kawior?

– Jest fikcją. W odróżnieniu od pieniędzy dla Rosjan, które są bardzo prawdziwe.

98.80

W powietrzu krążą sukienki wyrzucone z szafy, unoszą się pod sufitem, po czym opadają powoli, by zdążyła dokładnie im się przyjrzeć i ocenić, która będzie dobra na jutrzejszy wieczór, jakże wyjątkowy. Jej mistrz, profesor, organizuje w pełni księżycy coroczny bal wiosenny. Będą wspaniali goście, wanna z kawiozem i basen pełen szampana. Nie miałem pojęcia, że ASP się tak bawi po nowobogacku, ale Tulinka tylko się śmieje i wiruje po domu radośnie – będą tańce, będą tańce-połamańce, szachy gadające, Kaligula i wszystkowiedzący globus. A ja stoję z ogłupiałą miną, bo nie miałem pojęcia, że tak lubi tańczyć.

98.81

– Nie możesz skończyć we mnie – ostrzega Tulinka. – Jeszcze nie chcę mieć dzieci.

Marysia Jezus często mówiła podobnie. Nie chciała ich, przynajmniej ze mną. „Tylko proszę cię, uważaj” – zastrzegła, ściągając majtki. Nie pamiętam chociaż jednej miłosnej nocy, podczas której by tego nie powiedziała. Czar pryskał, a ja myślałem tylko o jednym – muszę uważać. Uważałem więc i przez lata byłem najostrożniejszym w tym względzie facetem na świecie.

Chyba wiedziała, że nie sprawdziłbym się jako dobry ojciec. Była matką chrzestną takiej małej Poli, śmiesznej dziewczynki z kucykami. Kiedyś, jak mała miała trzy latka, Marysia Jezus wpadła z nią po drodze na uczelnię, prosząc, bym po południu ją odwiózł wraz z plikiem notatek, które u mnie wcześniej zostawiła. Robiłem przy dziewczynce pranie.

Pokazałem otwarte drzwiczki pralki.

– Popatrz, jaka głodna, otwiera usta. Trzeba ją nakarmić.

Przejęta zaczęła razem ze mną wrzucać bieliznę do bębna pralki.

– Pola karmi pralkę. Pralka jest głodna.

Parę godzin później pojechaliśmy do Marysi Jezus. Mieszkała na piątym piętrze starego wieżowca, takiego jeszcze z telepiącą się windą i zsysem na śmieci. Miałem zabrać na górę stertę papierzysk, więc pod blokiem dałem Poli swoją saszetkę z dokumentami i kluczami do samochodu.

– Pomóż mi i pilnuj – poprosiłem. Wzięła chętnie, lubiła czuć się potrzebna.

Wysiedliśmy z windy, objuczony papierami zadzwoniłem do drzwi. Wtedy zobaczyłem, że Pola nie ma moich dokumentów.

– Polu, a gdzie jest ta saszetka, której miałaś pilnować?

Pokazała otwarty właz zsypu na śmieci.

– Pralka głodna, Pola nakarmiła. Dom też głodny, więc Pola nakarmiła.

Dziś wydaje mi się to śmieszne, ale wtedy powiedziałem coś o małych idiotkach akurat wtedy, gdy Marysia Jezus otworzyła drzwi.

98.82

Moja dziewczyna mieszka na dziewiątym piętrze,

jadę do niej windą,

piętro po piętrze jestem bliżej nieba.

98.83

Z Marysią Jezus wychowaliśmy się w jednej z gorszych dzielnic dużego miasta. Takich dzielnic jest w naszym kraju mnóstwo. To była dzielnica jeszcze trudniejsza niż łódzkie Bałuty, warszawska Praga czy wrocławski Trójkąt Bermudzki. Rodzice Marysi Jezus byli biedni, moi rodzice byli biedni, nasi sąsiedzi byli biedni, cała klatka schodowa była biedna. Tak jak następna i jeszcze następna, jak cała kamienica.

Pamiętam, co matka mówiła mojej siostrze.

– Kudły ci wydrę, jak się zadasz z którymś z sąsiadów, gołodupcem. Jak masz mieć brzuch, to tylko z kimś spoza naszej kamienicy.

Inne matki mówiły podobnie swoim córkom i pewnie dlatego żadna dziewczyna z naszej ulicy nie chodziła z chłopakiem, który mieszkał po sąsiedzku. Szukały w centrum miasta lub w kawiarniach lepszej części miasta. Gdy znalazły odpowiedniego partnera, natychmiast zachodziły w ciążę. Cięża często była przepustką do lepszego życia.

Marysia Jezus miała pomysł na inną przepustkę, ale wówczas o tym jeszcze nie wiedziałem. Zaczęliśmy sypiać ze sobą, gdy chodziła jeszcze do liceum, była śliczna, ja zaś wpasowywałem się dokładnie w definicję urody powtarzaną przez moją matkę: „Mężczyzna nie musi być przystojny, wystarczy, że jest ciut ładniejszy od diabła”. Na tym „ciut” kończył się zakres mojej urody, więc byłem tak zachwycony tym, że Marysia Jezus spotyka się ze mną, że przy każdej okazji obsypywałem ją prezentami. I nauczyłem ją, niestety, przyjmować pieniądze od mężczyzn.

98.84

Magdalena była całkowitym przeciwieństwem Marysi Jezus. Przez kilka pierwszych miesięcy naszej znajomości, gdy tylko próbowałem sięgnąć do guzika jej spodni lub bluzki, odsuwała moją rękę, pozwalając się jedynie całować. Za każdym razem byłem jednak dalej o jeden rozpięty guzik. Chyba dopiero po pół roku udało mi się rozpiąć wszystkie. Ale i tak na nic to się zdało, bo z resztą musiałem czekać do ślubu.

Mężczyzna jest jedynym stworzeniem na świecie zdolnym do odczuwania szczęścia na widok rozpinanych guzików.

Jej ojciec miał cukiernię specjalizującą się w produkcji lukrowanych pączków, nie miałem pojęcia, że ich produkcja może być aż tak dochodowa. Patrząc na majątek przyszyłych

teściów, zrozumiałem, że słowa nie powstają przez przypadek, bo lukratywność w ich przypadku brała się właśnie z lukru.

00.40

Co zmyśliła Mary Jazz?

Lena miała wrażenie, że wszystko w jej życiu nagle się odmienia. Po siedmiu latach chudych przyjdą tak tłuste, jakby każdy dzień miał być tłustym czwartkiem. Sypia z inspektorem, pracuje z panią komisarz, ociera się o świat rosyjskich agentów. Jest Kimś. Kimś przez duże „K”, a nie przez małe, jak do tej pory, gdy na jej drzwiach smarkacze wypisywali: „Tu mieszka k...”.

Zdobyła nie tylko zaufanie policji, lecz także sympatię bossa. Zaproponował nawet, że odwiezie ją do domu. Siedziała teraz w jego wielkim czarnym bmw. Przysłuchiwała się rozmowie z kierowcą. Na skrzyżowaniu, tuż przed ich maską, przeleciał rozpędzony radiowóz na sygnale.

– Czemu mu nie ustąpiłeś, cymbale? – warknął boss. – Chcesz nas pozabijać?

– Wjechali na czerwonym, szefie.

– Sygnału nie słyszałeś, palancie?

– To była kia, one mają sygnały tak ciche, że gdy człowiek włączy radio, to w ogóle nie słyhać – tłumaczył kierowca. – Ze dwa tygodnie temu, szef pamięta, jechaliśmy Piłsudskiego, jak taki rozpędzony radiowóz staranował opla astrę. Potem walnął w kamienicę na rogu Przędzalnianej.

– Bo chociaż sygnał miał włączony, to kamienica nie ustąpiła mu pierwszeństwa – potwierdził boss.

– Oni w ogóle przesadzają – wtrąciła Lena. – Szłam sobie ostatnio z klientem, kupił puszkę piwa, bo upał niemiłosierny, i niesie tak tę puszkę do mnie, a tu nagle przez torowisko przejeżdża radiowóz, też na czerwonym. Z piskiem opon hamuje. Wyskakuje taki młody policjant, całkiem przystojny. Dopada mojego klienta, że niby konsumpcja w miejscu publicznym się odbywa. I nagle – co za zdziwienie – puszka jeszcze zamknięta!

– Ha, ha, ha – zaśmiał się boss, a kierowca wtórował mu, zadowolony, że awantura tak ładnie przeszła bokiem.

– Ty, a miałem cię o coś zapytać – przypomniał sobie boss, zwracając się do kierowcy. – Masz briarda, psa takiej rasy, prawda?

– Mam, szefie.

– A briard to to samo co owczarek starofrancuski, tak?

– Tak, szefie.

– No tak mi się też wydawało. A ta nasza nowa menadżerka VIProomu mówi, że to nie to samo, chociaż miała takiego psa, gdy pracowała w Berlinie.

– Nie ma opcji, szefie. Briard to owczarek starofrancuski. Wiem, co mówię.

– To dlaczego ona o tym nie wiedziała? – zadumał się boss. – Zmyśliła tego psa?

– Nie mam pojęcia, szefie...

– Hm. A jeśli tak, to co jeszcze w swojej opowieści zmyśliła?

Lena zdrętwiała. Jeszcze trochę i boss się domyśli, że cała historia Mary Jazz jest wyssana z palca. Potem przycisnie ją do muru i odkryje, że razem z Leną są nasłane przez policję. A wtedy – do jeziora z kamieniem u szyi.

98.85

Czasami zaczyna się między ludźmi psuć z najdziwniejszych powodów. Między mną a Marysią Jezus pierwszym powodem były białe spodnie jej mamy, w dodatku nieistniejące.

Miałem wówczas psa, bardzo wielorasowego, przypałał się kiedyś, gdy byłem w Szczecinie, i ze względu na trudną urodę oraz miejsce pochodzenia wabił się Paprykarz Szczeciński, w skrócie Paprykarz. Moja dziewczyna nie przepadała za nim. Gdy leżał pod drzwiami wejściowymi, to było źle, bo czekał, gdy ktoś przechodził klatką schodową. Jak przegoniony spod drzwi kładł się na kanapie, to też było niedobrze, bo brudził obicie. Jak pogoniony z kanapy wskakiwał na fotel, też było źle, bo co będzie, gdy ktoś przyjdzie w białych spodniach i usiądzie w fotelu.

– Ależ Marysiu – próbowałem tłumaczyć – nie znam nikogo, kto nosi białe spodnie.

– Moja mamusia często nosi.

– Ale przecież nas nie odwiedza, jesteśmy ze sobą pięć lat i tylko raz tu była.

No ale to nie był dla Marysi argument.

Gdy raz wróciłem z pracy, widziałem, że Paprykarz jest przywiązany na smyczy do trzepaka na podwórku. Od rana, osiem godzin. Dobrze, że chociaż miał obok miskę z wodą.

– Dlaczego przywiązałaś tam psa?

– Przecież wieczorem i tak pójdziesz z nim na spacer – odpowiedziała spokojnie Marysia.

Aż mnie zatkało. To pies ma siedzieć cały dzień przywiązany do trzepaka, bo kiedyś jej mama w białych spodniach do nas przyjedzie?

Nie bez powodu święty Franciszek mówił o zwierzętach, że to nasi bracia mniejsi. A jak ktoś jest bratem mniejszym, nie powinien być przez cały dzień przywiązany do trzepaka.

Magdalena była jej dokładnym przeciwieństwem. Gdy przyszła do mnie po raz pierwszy, to od razu poddałem ją testowi na psa. Test polegał na tym, że wziąłem Paprykarza pod pachę i usiadłem z nim na kanapie.

– Jaki piesiunio śliczniutki – zaszczębiotała Magdalena.

No i wtedy uznałem, że ona jest aniołem. Bo o Paprykarzu Szczecińskim wiele można było powiedzieć, ale śliczny to on nie był.

98.86

Śnił mi się Tony Halik, pochylał się nade mną i pouczał:

– Prawdziwy obieżyświat i podróżnik, taki, który widział już wszystko, z całą pewnością może powiedzieć jedno: nie ma na świecie miejsc piękniejszych niż te, które się znajdują na ciele kobiety.

Plecy, szalenie pociągają mnie plecy, a zwłaszcza takie delikatne wgłębienie między łopatkami, przykładam tam wargi i czuję, jak oddech przenika przez skórę i łączy się z jej oddechem, chwilę figlują, po czym jeden oddech drugiemu się wymyka i gonią się dookoła nas, ona się odwraca i próbujemy je złapać, tak łączą się nasze usta.

98.87

Tulinka nad krzyżówką:

– Co to za zjawisko, któremu towarzyszy fala uderzeniowa, promieniowanie ciepłe oraz przenikliwe?

– Wybuch bomby atomowej.

– Zaczyna się na literę „o”.

– No to orgazm.

98.88

Tulinka wieczorem:

– Uodporniłeś mnie na koniec świata. Gdy się kochamy, nie boję się nawet wybuchu bomby atomowej, a falę uderzeniową, promieniowanie cieplne oraz przenikliwe przeżywam z tobą wielokrotnie.

98.89

Patrzę, jak leży na brzuchu, unosi zgięte w kolanach nogi i macha stopami, krzyżując kostki, po czym mocno odchyła je na zewnątrz, jakby się bawiła w piekło-niebo. Przy czym to drugie w psotnej zabawie trwa coraz dłużej i coraz wyraźniej je widzę. Mam niebo na wyciągnięcie dłoni, chociaż nie byłem u spowiedzi od ćwierć wieku i w warunkach recydywy obraziłem Pana Boga następującymi grzechami: kocham ją, kocham grzesznie, szalenie i dziko, kocham ją, gdziekolwiek popadnie; pod kołdrą lub pod prysznicem, na jawie lub we śnie, w kuchni lub w przedpokoju, gdzie kocham też jej odbicie w lustrze, albo w kuchni, gdy siada na blacie i mówi: „Podano do stołu”, lub w parku na ławce albo za drzewem, o które opiera się rękami, w windzie ją kocham na ostatnim piętrze nieprzytomnie, zazwyczaj szybko, a powoli tylko wówczas, gdy cierpliwość nam na to pozwala, zaś pora jest bezpiecznie późna i nikt nie ściąga nas na ziemię przyciskiem z parteru.

98.90

Kochaj mnie, kochaj obłądnie, nieprzytomnie, bądź przy mnie szalona. To z ludzi, których nie stać na odrobinę szaleństwa, biorą się groźni i nieobliczalni wariaci.

A potem nie życz mi ani dobrych snów, ani kolorowych, ani słodkich i pięknych, po prostu mi się przyśnij.

00.41

Uciec przed katastrofą

Lena przeczuwała katastrofę zbliżającą się wielkimi krokami. Myślała teraz tylko o jednym: powinna jak najszybciej się dowiedzieć, o co chodzi z tym ukrytym majątkiem Grohmanów. Gdyby się udało jakimś cudem go odnaleźć, miałyby za co uciec daleko od Łodzi.

Poprosiła, by taksówkarz wysadził ją w pobliżu Piotrkowskiej. Szybkim krokiem ruszyła w kierunku jubilera. Po drodze zaczepił ją jakiś menel. Coś bełkotał. Śmierdział. Wyciągnął do niej rękę owiniętą brudnym bandażem.

– Spadaj mi stąd – rzuciła z obrzydzeniem.

– To ty spadaj, bo ja tu mieszkam. – Wskazał na bramę pobliskiej kamienicy.

Silnie kontrastował z pięknie odnowioną ulicą, ale to on, a nie ona, był u siebie. Czy oni nigdy stąd nie znikną? – otrząsnęła się ze wstrętem.

Skręciła z Piotrkowskiej i po kilku minutach pchnęła drzwi jubilera.

– Dzień dobry.

– Dobry, dobry. Czekałem na panią – przywitał ją siwy mężczyzna w czarnych okularach.

Przystojny, jak na swoje lata – pomyślała Magda. – I pewnie bogaty. Twarz jakby znana. Ciekawe, czy był kiedyś moim klientem.

– Od razu panią poznałem – uśmiechnął się szeroko.
A więc był. Co za sytuacja, naprawdę muszę uciec z tego miasta – pomyślała.
Uśmiechnęła się niepewnie.
– Trudno nie poznać kobiety, która przychodzi z tak niecodzienną rzeczą. – Jednym zdaniem rozproszył jednak jej wątpliwości. – Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego, ale popytałem starszych kolegów.
Podszedł do małego sejfu w ścianie i wyjął przedmiot, który wczoraj Lena pozostawiła mu do wyceny. Położył na ladzie szpulkę złotych nici.
– I wie pan już, co to jest? – zapytała.
– Wiem.
– Więc co?
– To jest coś bardzo dziwnego.
– No ale co?
– Nić.
– Widzę, że nić, ale taka zwykła nić?
– Nie, nie. To nie jest zwykła nić.
– A jaka?
– Jak nie jest zwykła, to znaczy, że jest niezwykła.
Bawił się jej zniecierpliwieniem.
– To znaczy? – W jej głosie zabrzmiała nadzieja.
– To jest nić ze szczerzego złota – wyjaśnił. – Dwadzieścia cztery karaty. Najwyższa jakość, próba tysiąc, a mówiąc ściślej dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięćdziesiąt dziewięć setnych.
– Super! – ucieszyła się. – A wie pan, po co komu taka nić?
– Wiem.
– No to niech pan w końcu mówi! – niemal krzyknęła z podniecenia.

98.91

Magdalena była jak anioł. I prawdę mówiąc, jak na anioła przystało, początkowo nie miała zielonego pojęcia o seksie. Pochodziła z rodziny bardzo religijnej, byłem jej pierwszym mężczyzną. Przez dwa lata nie chciała mieć dzieci, bo studiowała eksternistycznie i bardzo jej zależało, aby skończyć te studia. Nie zgadzała się na sztuczną antykoncepcję, więc prowadziła sekretny kalendarzyk, w którym zaznaczała dni płodne, podczas których omijała mnie szerokim łukiem. Po jakimś czasie dowiedziała się jednak, że skuteczność kalendarzyka nie jest za wysoka, więc zaczęła sobie dodatkowo mierzyć temperaturę. Szybko okazało się, że metoda opierająca się na założeniu, iż w okresie jajczkowania temperatura ciała wrasta o minimum pół stopnia, jest w jej w przypadku bezużyteczna. Codziennie miała temperaturę inną, od 35 do 37 stopni, a najrzadziej termometr wskazywał książkowe 36,6. Przeszła więc na metodę Billingsów, małżeństwa, które stosując naturalną antykoncepcję, dochowało się dziewięciorga dzieci. Codziennie wydobywała śluz z głębi pochwy i poddawała go skrupulatnej analizie. Czasami sama nie potrafiła ocenić, więc razem się zastanawialiśmy, czy jest gęsty, lepki i nieprzejrzysty, a wówczas nieprzepuszczalny dla plemników, czy może śliski, ciągnący się i szklisty, jak to podczas owulacji. Rzadko jednak udawało nam się stwierdzić to ze stuprocentową pewnością, zwłaszcza przy słabym świetle nocnej lampki. A jakoś nam się nie chciało paradować w celach obserwacyjnych do łazienki lub kuchni. Przyjmowaliśmy więc zazwyczaj, że jest gęsty, i radośnie oddawaliśmy się pieszczotom.

Oboje byliśmy wierzący, wprowadzie ja dość powierzchownie, dlatego w kwestii prezerwatyw nie byłbym aż tak radykalny. Przecież są w każdej drogerii, aptekach, na stacjach benzynowych, przy kasach w supermarketach. A naród przecież katolicki w ponad dziewięćdziesięciu procentach. To znaczy, że co? Że te niecałe dziesięć procent zużywa te wszystkie prezerwatywy? Toż to nawet króliki nie przerobiłyby takiej ilości.

98.92

Miałem wtedy taki sen.

Magdalena zaszła w ciążę, USG wykazało, że będą trojaczki.

– Mamy dwa pokoje! Jak zmieścimy się tu z trójką dzieci? – mówiłem zbyt podniesionym głosem. – Nie mogłaś się w końcu jakoś zabezpieczyć?

– Przecież widziałeś, że się zabezpieczam! Robiłam wszystko jak należy, badałam śluz, sprawdzałam termometrem! Sprawdzałam nawet lusterkiem, czy aby na pewno już ustąpiły zewnętrzne objawy owulacji!

– Mamy dwudziesty pierwszy wiek, kobiety używają skuteczniejszych metod antykoncepcji niż termometr i lusterko!

– Do tej pory to było skuteczne!

– Nie licząc trójki naszych uroczych nadchodzących dzieci!

– Nigdy nie mówiłeś, że nie chcesz mieć dzieci!

– Bo chciałem! Ale nie troje! A w dodatku z zaskoczenia, niespodziewanie.

– Co to znaczy z zaskoczenia? Dzieci to nie partyzanci, że pojawiają się z zaskoczenia. Gdy się mężczyzna kocha z kobietą, to wiadomo, że mogą być z tego dzieci! Nie uczyli cię w szkole?

O partyzantach uczyli, ale o dzieciach nie, więc nie wiedziałem.

98.93

Dobrze mi z nią było, jeździliśmy razem na wycieczki za miasto, chodziliśmy do kina. Raz poszliśmy nawet na rosyjski balet i w ogóle nie miała mi za złe, że zasnąłem.

98.94

Magdalena kilka razy jeździła na pielgrzymki do Rzymu. Raz poszła tam z koleżankami do apteki, która miała certyfikat oznajmiający, że sprzedawane w niej środki antykoncepcyjne są zgodne z doktryną Kościoła. Tym środkiem przywiezionym wówczas przez nią był maleńki mikroskop. Na specjalną szybkę kładła kroplę śliny i czekała, aż zaschnie. Po jakimś czasie przeprowadzała obserwację. Jeśli obraz był czysty, z punktowymi plamkami, mogliśmy się kochać bez ryzyka zajścia w ciążę. Jeśli przypominał pojedyncze fragmenty paproci, to znaczyło, że poziom estrogenu jest wyższy i należałoby już uważać. Jeśli natomiast obraz składał się z samych kształtów podobnych do paproci, to znaczyło, że prawdopodobieństwo poczęcia jest bardzo duże. W aptece tej były też analogiczne mikroskopy do badania śluzu z pochwy, ale farmaceuta odpowiedział, że w jego mniemaniu porządna katoliczka może poprzestać na badaniu śliny. Niewykluczone, że po prostu chciał więcej zarobić, bo ten na ślinę był droższy o kilkanaście euro, a dziewczyn z pielgrzymki było sześć i wszystkie bardzo zainteresowane zakupem.

00.42

Złotogłów

Jubiler, rozbawiony zniecierpliwieniem Leny, nagle spoważniał. Wziął do ręki szpulę złotych nici i zapytał:

- Mogę wiedzieć, skąd pani to ma?
- Dostałam w spadku od mojej babci – skłamała.

Przecież nie mogła mu powiedzieć, że znalazła na miejscu, w którym porwano jej klienta, mężczyznę, który chciał odnaleźć ukryty majątek Grohmanów.

– A wie pani może, skąd miała to szanowna babcia?

– Wspominała kiedyś, że jej matka służyła w rodzinie łódzkich fabrykantów. Miała wtedy osiemnaście lat i wdała się w romans z jednym z paniczów. Zaszła w ciążę. Ten panicz bał się gniewu ojca, więc dał jej to, byleby milczała. – Lena łągała jak najęta, sama zdumiona swoją umiejętnością zmyślania historii.

- Tak, to by się zgadzało! – ucieszył się jubiler.
- Powie mi pan w końcu, co to jest? – Była już naprawdę zniecierpliwiona.
- To nic do tkania złotogłowa! – wypalił jednym zdaniem, ale Lenie niewiele to mówiło.
- Złotogłowa? Jakiego złotogłowa?
- Złotogłów to nazwa takiej bardzo cennej tkaniny – pośpieszył z wyjaśnieniem jubiler. –

Wytwarzało się ją w ten sposób, że osnowa była z jedwabiu, a wątek ze złotych nici. Uważana była za tkaninę królewską. Przy czym samą złotą nić też nazywamy złotogłowiem...

Przestała słuchać jego wywodu i zaczęła kojarzyć fakty. Ten jej klient, który mówił o ukrytym majątku przedwojennych fabrykantów, potem mapy i złota nić, a w tle przedzalnie Grohmanów. Rozsypane puzzle zaczęły się składać w całość.

- Myśli pan, że łódzcy fabrykanci chcieli zająć się produkcją tego złotogłowa?
- Hm... wcale bym się nie dziwił. W końcu Łódź ma niebywałe tradycje włókiennicze.

Czytałem, że któryś z fabrykantów nawiązał handlowe kontakty z Watykanem. Być może miał w planie produkcję na zamówienie biskupów. Kapy liturgiczne, ornaty. Złotogłów nosili nie tylko królowie i księżęta, lecz także hierarchowie kościoła. Z czasem zaczęto złotą nić stosować przy wytwarzaniu szlacheckich pasów kontuszowych. Osiągały niewyobrażalne ceny już w tamtych czasach.

- A dziś? – zapytała podekscytowana.
- Trzy lata temu brałem udział w licytacji zorganizowanej przez warszawski dom aukcyjny Lamus. Pas kontuszowy wystawiono wtedy za dwadzieścia pięć tysięcy...
- Aż tyle? – zdziwiła się.
- ...a ostateczna cena sięgnęła stu czterdziestu tysięcy złotych – dokończył jubiler.
- A ile może być warta ta moja szpulka złotych nici? – zapytała, czerwona z emocji.
- Trudno powiedzieć – zasępił się jubiler. – Ostatnio miałem klienta, który o nie pytał.

Mogę mu przekazać telefon do pani.

– Będę bardzo wdzięczna – podziękowała, nie zdając sobie sprawy, że będzie to początek jej nowych kłopotów.

98.95

Kiedyś dzieci mnie irytowały. Gdy są małe, to wrzeszczą, gdy są nieco większe, to domagają się pieniędzy, a gdy zaczynają dorastać, to nie tylko domagają się pieniędzy, ale i znów wrzeszczą.

Z Magdaleną jednak chciałem je mieć. Gdy skończyła studia, od razu wyrzuciłem do śmieci notesik z jej sekretnym kalendarzykiem.

98.96

Przez pół roku kochaliśmy się radośnie jak nastolatki. Bez kalendarzyka, mikroskopu i badania śluzu. Wspaniały, pozbawiony lęku i zahamowań seks, dziki i wolny. Z pewnym zdziwieniem zauważyliśmy, że jednak z tego nie ma ciąży. Jej rodzice zaczęli dopytywać, początkowo nieśmiało i delikatnie, potem bez pardonowo, w końcu natarczywie. Czas rzeczywiście leciał i Magdalena zaczęła popadać w popłoch. Przestało być radośnie i przyjemnie. Znowu zaczęliśmy chodzić do łóżka z kalendarzykiem i mikroskopem. Z tą różnicą, że wybieraliśmy właśnie te dni, które przedtem były szczególnie zakazane. Na szybcie mikroskopu miały się zaś pojawiać kwiaty paproci. Magdalena zaczęła rysować różne wykresy, których ni w ząb nie rozumiałem. W określaniu dat swojej najwyższej płodności doszła do takiej perfekcji, że stosowaliśmy nie tylko kalendarzyk, lecz także zegarek. Brała bowiem pod uwagę nie tylko swój cykl, ale nawet koniunkcję planet i fazy księżyca. Moim zdaniem czytała zdecydowanie za dużo jakiejś mało wiarygodnej literatury poradniczej; nie bardzo wierzyłem w ten księżyc, ale moja wiara nie miała tu żadnego znaczenia.

Jednocześnie radykalnie zmieniała się dieta w naszym domu. Zniknęły moje ulubione mięsa smażone, a w ich miejsce pojawiły się kulinarne obrzydliwości, takie jak szpinak, małże, a nawet obłeńskie ostrygi. Magdalena mówiła, że na tym polega dieta płodności. Musiałem też pić surowe żółtka z jajek, chociaż za każdym razem robiło mi się niedobrze. Zakazane zostały wino i słodycze, a w ich miejsce pojawiły się krojone marchewki. Do wszystkiego dostawałem pietruszkę. A twarde i gumowate grahamki zjawiły się zamiast chrupiących bagietek. Magdalena nakazała mi też spać równo po osiem godzin, w związku z czym praktycznie nie wolno mi było oglądać filmów w telewizji.

Kochaliśmy się tylko raz w miesiącu, w dniu dokładnie wyznaczonym przez moją żonę, tak jakby jej jajeczko było ruchomym celem, w który z dokładnością co do kilku godzin trzeba trafić plemnikiem. Chodziłem spać o dwudziestej drugiej, zaś rano, przed śniadaniem, byłem wyganiany na półgodzinny spacer. No i ta okropna dieta. Wszystko po to, żeby materiał genetyczny był w jak najlepszej kondycji. Nie wiedziałem, jak mój materiał, ja byłem w całkiem dobrej, a regularnie co miesiąc dobiegał mnie z łazienki okrzyk pełen żalu, rozczarowania i złości:

– Jasna cholera, dostałam okresu!

98.97

Chodzimy razem do kina, na spacer, byliśmy na wakacjach, sypiamy ze sobą. Czyli robimy to, co zazwyczaj robią pary. Ja, facet po czterdziestce, i Tulinka, dziewczyna młodsza o dwadzieścia lat. Moja matka pewnie przewraca się w grobie. Ojciec chyba też, ale w drugą stronę, bo raczej jest dumny i zadowolony.

Poza Tobą innego szczęścia nie potrzebuję.

00.43

Poufna wizyta

Lena niecierpliwie czekała na wiadomość o kliencie, który będzie zainteresowany

kupnem złota. Z radością odebrała więc telefon od jubilera. Mogła się jednak spodziewać wszystkiego, ale nie tego, że będzie chciał ją odwiedzić w mieszkaniu.

– Sprawa jest poufna, wolałbym, żeby nikt pani nie widział w moim zakładzie – wyjaśnił. Umówili się na wieczór, gdy upał nieco zelżeje.

Wracała do domu. O dziewiętnastej spojrzała na zegarek. Powinna być już na miejscu, tymczasem taksówka tkwiła w bezruchu na rondzie Solidarności. Taksówkarz kłął jak polski minister z afer taśmowych. Był rozdrażniony upałem, co nie mogło dziwić, bo podobnie jak większość taksówkarzy oszczędzał paliwo, nie włączając klimatyzacji.

Spóźniła się ponad kwadrans. Jubiler czekał pod domem w białym mercedesie z przyciemnionymi szybami. Na jej widok wyszedł z samochodu. Lekko zatrzaskał za sobą drzwiczki. Zauważyła, że nie zgasił silnika. Nie przyjechał sam – stwierdziła z niepokojem.

W domu wyjęła z lodówki dzbanek z zieloną herbatą, wrzuciła kilka plasterków cytryny oraz kostek lodu i postawiła na stole.

– Miałbym dla pani klienta – powiedział jubiler. – Jest zainteresowany złotą nicią, a to poważny odbiorca, i pyta, czy ma pani tego dużo więcej.

Rzucił okiem na sofę, potem na łóżko w sypialni widoczne przez uchylone drzwi, tak jakby złoto trzymała pod każdą poduszką. Podeszedł do okna i wyjrzał na ulicę.

– Nie, nie! W domu nic nie ma! – zaprzeczyła pospiesznie, z obawą myśląc o tym kimś, kto mógł czekać w samochodzie na znak jubilera.

– A mogłaby pani mieć więcej, gdyby cena okazała się satysfakcjonująca?

– Sama nie wiem.

Od dawna zastanawiała się nad mapą Grohmanów i zainteresowaniem, z jakim Tymon o nią wypytywał. Może ta mapa prowadzi do prawdziwych skarbów?

– Być może tak, ale to nie tylko ode mnie zależy – dopowiedziała.

– To dobrze – zatarł ręce jubiler. – Bo widzi pani, mój klient jest jakby hurtownikiem w tej dziedzinie.

– Zajmuje się produkcją tego materiału, o którym mi pan opowiadał?

– Produkcją złotogłowa? – Roześmiał się. – To byłoby w Łodzi naturalne, biorąc pod uwagę włókiennicze tradycje miasta, ale mój klient reprezentuje nowocześniejszą branżę.

– To znaczy?

– Realizuje marzenia kobiet, przywracając im młodość.

– Młodość?

– Nie słyszała pani o złotych niciach młodości?

Lena otworzyła usta ze zdumienia.

98.98

Jubileusz pięćdziesięciolecia naszej szkoły. Dostałem zaproszenie na dwudniową imprezę dla byłych absolwentów. Przyjechało kilkadziesiąt osób. Lekarze, prawnicy, kilku dziennikarzy. Wieczorna impreza pełna przechwałek trudnych do wytrzymania, ale i uroczych wspomnień, podczas których odżywają stare miłości.

Rano przy szwedzkim stole dwie absolwentki pierwszego niegdyś rocznika nakładają na talerzyki twarożek ze szczypiorkiem.

– Cholera, mam sześćdziesiąt pięć lat i wiesz, jakie pytanie najbardziej mnie dziś nurtuje?

– Czy istnieje jakieś życie po śmierci? Też się zastanawiam.

– Ocipiałaś chyba. Czy jeszcze kiedykolwiek będę uprawiała seks, czy ten wczorajszy był już ostatni.

– Chodź, nadrobimy zaległości, masz na sobie tyle miejsc niewycałowanych.

– A kochałeś się kiedyś ze związanymi rękami? – pyta Tulinka.

– Nie.

Na co ona powiada, że chciałyby być pieszczona, mając związane ręce i zasłonięte oczy. Ewentualnie w pokoju tak ciemnym, żeby nie było nic widać.

Tulinka:

– Seks to nie picie wódki, by traktować go połowicznie, do połowy to można wypić flaszkę, ale pieprzyć się trzeba na całego.

Niemal każda moja dziewczyna, którą do tej pory pytałem o niezrealizowaną fantazję, Marysia Jezus, Kamila oraz Magdalena, też chciały być związane. Zdumiewające, że każda ma taki brak seksualny, zupełnie jakby ich poprzednim facetom nie chciało się kupić sznurka. Ale ja chcę być lepszy, więc jadę do Castoramy, by zainwestować w seks mojego życia. Mogłem pojechać do Praktikera, mam nawet bliżej, ale Praktiker nie wydawał mi się podniecający. A ja mam już ochotę jak diabli, tym bardziej że też jeszcze nie kochałem się w ten sposób, prawdopodobnie dlatego, że sznurek zawsze wydawał mi się krępujący.

Oglądam te wszystkie motki, ale większość to jakieś szpagaty, przykładam je do przegubów dłoni i stwierdzam, że cienki sznurek może być niebezpieczny, zwłaszcza gdy dziewczyna będzie już dochodzić. Sporo jest plastikowych linek, ale wydają mi się za szorstkie. Są też gładkie, do wieszania prania, ale jakieś takie nieseksowne w dotyku. W końcu znajduję odpowiednią linkę, ale niestety nie da się kupić kawałka, więc biorę cały zwój – dwadzieścia pięć metrów, i wiozę do domu, zupełnie jakbym miał zamiar zrobić ze swojej dziewczyny zawijaną roladę.

Odcinam cztery kawałki, przywiązuję do poprzeczek łóżka, opuszczam rolety, wykręcam żarówki z nocnych lampek, by jasność nie wiodła nas na pokuszenie, poza tym Tulinka życzyła sobie, żeby było ciemno, i czekam, ćwicząc najmocniejszy węzeł żeglarski.

No i wraca z zajęć. Najpierw ładnie się całujemy, długo i namiętnie, a gdy usta mamy już tak gorące, że grożą pożarem, biorę ją za rękę i biegniemy do sypialni. W sypialni ciemność absolutna, ale udaje nam się dotrzeć do łóżka bez przewracania krzesel.

Po chwili ona już leży i czuję, jak drży z podniecenia, tym bardziej więc trzęsą mi się ręce, gdy przywiązuję sznurek do przegubów rąk oraz kostek jej nóg. Wszystko jest tak, jak sobie zaplanowaliśmy, więc zrzucam bokserki i kładę niecierpliwe dłonie na udach Tulinki.

I dopiero teraz zdaję sobie sprawę z tego, że nie zdążyła zdjąć spodni. Rozpinam je, ale to przecież bez sensu, bo ich z niej nie ściągnę, skoro jedna noga przywiązana do jednej poręczy, a druga do drugiej.

Sięgam do węzła i próbuję go rozplątać, no trudno, za chwilę zawiążę z powrotem. Ale to dobry węzeł żeglarski, po ciemku nie dam mu rady. Zastanawiam się gorączkowo, gdzie schowałem żarówki. W szafce nocnej? Wychylam się z łóżka i otwieram szufladę. Zbyt nerwowo, szuflada leci na podłogę, coś się rozsypuje. Wstaję i słyszę jakieś chrupnięcie, czując równocześnie potworny ból, bo rozdeptałem tę cholerną żarówkę. Podskakując na jednej nodze, docieram do przedpokoju, zapalam światło i aż słabo mi się robi. Kawałki szkła cienkiego jak żyłtka wystają ze stopy, krew się leje, na pewno umieram, jak każdy facet na wojnie ciężko ranny w stopę. Kuśtykam do łazienki i szukam pęsety, żeby te kawałki szkła wyciągnąć, ale niby dlaczego w taki pechowy wieczór mam sobie przypomnieć, gdzie schowałem pęsetę.

Opadam więc na sedes i czuję, że zaraz niebohatersko się rozplączę – tam w pokoju leży

dziewczyna piękna jak marzenie, gotowa na wszelkie pieszczoty, a ja tu siedzę na kiblu z poharataną stopą. No ale przynajmniej w końcu wiem, dlaczego tak mało mężczyzn ulega kobiecej fantazji ze sznurkiem.

Następnego dnia wieczorem pyta, czy mam na dziś jakieś plany ze sznurkiem.

– Oczywiście, kochanie, miałem, ale już powiesiłem pranie.

00.44

Sekret młodości

Lena spojrzała na jubilera ze zdziwieniem.

– Nie, nie słyszałam do tej pory o żadnych złotych niciach młodości – przyznała.

Spojrzał na jej twarz, potem na dekolt.

– Jest pani bardzo piękna i młoda, ale proszę pamiętać, że młodość to krótkotrwała zaleta – powiedział. – Dlatego mój klient inwestuje w złoto, które kobietom pomaga ją utrzymać.

– Nie rozumiem – przyznała.

– Złote nici wykorzystywano już w starożytności – wyjaśnił jubiler. – Badacze twierdzą, że fragmenty złota znaleziono w ciałach królowych Egiptu: Kleopatry oraz Nefretete. A obie słynęły z piękna i długotrwałej młodości.

– Ale skąd w ich ciałach znalazło się złoto? – zdziwiła się Lena.

– Prawdopodobnie królowe nacierano balsamami zawierającymi drobinki kruszcu. Do dziś podobne zabiegi stosuje się w kosmetologii.

– Złote maski! – Lena przypomniała sobie reklamę oglądaną niedawno w telewizji. – Widziałam gdzieś taki salon kosmetyczny, chyba nawet w Łodzi.

– Na pewno – przyznał jej rację. – W każdym większym mieście jest przynajmniej kilka salonów nakładających kobietom maseczki ze złota.

– Z prawdziwego złota?

– Oczywiście. Używa się do tego specjalnej metody i płatków najwyższej próby kruszcu, tak drobnych, że wnikają w głąb skóry.

– Ale co to ma wspólnego z moją szpulką złotych nici? – zafrasowała się.

– Już wyjaśniam – zapewnił jubiler. – Najnowocześniejszą metodą wykorzystania tego kruszcu w przywracaniu młodości są implanty ze złotych nici. Wszczepia się je głównie w twarz, dekolt i szyję.

– Chce pan powiedzieć, że kobiety wszczepiają sobie w twarz nitki ze złota? – spytała z niedowierzaniem.

– Ależ oczywiście! Zresztą, nie tylko w twarz. Bogatsze kobiety wszczepiają złote nici także w brzuch, uda i pośladki. Niektóre aktorki z Hollywood całe są od środka obszyte złotem. Wyobraża sobie pani? Mają w sobie siatkę złotych nitek!

– To trochę okropne – wzdrygnęła się.

– Ale skuteczne! A jakie kosztowne! – Jubiler zatarł ręce. – Na samą twarz potrzeba z dziesięć nitek, a każda kosztuje ponad tysiąc złotych!

– Ale sam pan mówił, że na mojej szpulce jest nić do złotogłowia, tkaniny, z której wytwarzano szaty. Ma na pewno inną grubość i nie jest sterylna! Nie można chyba wszczepiać kobietom w twarz nici, które miały służyć do wyhaftowania jakiejś kapoty, chociażby królewskiej!

– Myślę, że przy dzisiejszej technice uzyskanie sterylności to najmniejszy problem – zapewnił jubiler. – Zresztą, ja pani tylko tłumaczę, czym mój klient się zajmuje. Dla świętego spokoju możemy po prostu założyć, że jest zwykłym kolekcjonerem i spodobało mu się

skojarzenie złotogłowa ze złotą twarzą.

Chwilę jeszcze rozmawiali, po czym zapadła cisza. Wtedy kamera ukryta w sąsiednim pokoju wyłączyła się automatycznie, tak jak wcześniej automatycznie się włączyła. Kiedy umieszczasz taką kamerę w swoim domu, nigdy nie możesz być pewien, czy akurat ciebie ktoś przez nią nie obserwuje.

99.00

Chodź, kochaj się ze mną natychmiast.

Spiesz mi się zegar biologiczny.

– Pamiętaj, że nie możesz skończyć we mnie – jak zwykle ostrzega Tulinka. – Mam owulację i przerwę w przyjmowaniu pigułek.

– Właściwie czemu nie? Może fajnie by było mieć z tobą taką małą uroczą Tulineczkę. Albo zawiadackiego Tulinka.

Przytula mnie mocniej.

– Ej, wyjdź jednak – decyduje po paru następnych minutach.

– Wypędzasz mnie na zewnątrz? Na ten chłód i poniewierkę? A gdzie słowiańska gościnność?

– Niech cię diabli porwą! Wyłaź ze mnie. Ja nie wiem jeszcze, czy w ogóle chcę mieć dzieci.

Udając złość, łapie ją za szyję.

– Natychmiast weź tę rękę! – krzyczy rozwścieczona.

– Przecież nic złego bym nie zrobił – próbuję się tłumaczyć.

– Nigdy więcej tego nie rób! Mam okropne wspomnienia.

– O Boże, jakie?

– Zamknij się, jutro ci opowiem.

No i potem o niczym innym nie potrafię myśleć, tylko o tych jej złych wspomnieniach. Przed snem takie myślenie jest najgorsze, pełne złych domysłów i obcych mężczyzn.

99.01

Nazajutrz opowiada. Jej ojciec zmarł w wieku pięćdziesięciu trzech lat śmiercią zdumiewającą – taką, jaka przydarzyła się Ludwikowi Henrykowi Burbonowi. Był profesorem historii Uniwersytetu w Kłajpedzie, napisał trzy biografie, pracował nad książką o Burbonach, zafascynowała go postać Ludwika. Książkę ożenił się, mając piętnaście lat, uznano jednak, że jest zbyt młody na konsumpcję małżeństwa i żonę odesłało do klasztoru. Wprawdzie po pewnym czasie porwał ją stamtąd, ale chodziły słuchy, iż niespełniona noc poślubna trwale wpłynęła na jego preferencje seksualne. Wprawdzie związał się potem ze śpiewaczką operową, a po niej ze służącą, więc erotyczna łączyła go także z baronową de Feuchères, jednak zginął podczas masturbacji, zbyt mocno podduszając się paskiem, mającym doprowadzić do zintensyfikowania wrażeń. Podduszania nauczyła go baronowa, pokazując, że ograniczenie dopływu tlenu powoduje nagły skok adrenaliny, co zwielokrotnia orgazm.

Pewnej nocy ojciec Tulinki, chcąc na własnej skórze poznać upodobania swojego bohatera, uprosił małżonkę, by założyła mu na szyję pasek. Miała zaciskać go delikatnie i tak też początkowo robiła, jednak z czasem oboje dali się unieść atmosferze perwersji i tuż przed szczytowaniem małżonka profesora ścisnęła pasek tak mocno, że mu zmiażdżyła tchawicę. Odsiedziała prawie rok, zanim jej adwokatowi udało się wyjaśnić, iż nie był to mord, lecz

nieszczęśliwy wypadek, taki sam, jaki zdarzył się nie tylko księciu Burbonowi, lecz także na przykład Davidowi Carradine'owi, wybitnemu aktorowi z Hollywood, grającemu tytułową rolę w filmach Quentina Tarantino pod tytułem *Kill Bill*. Co więcej, erotyczna satysfakcja wynikająca z podduszania siebie lub partnera ma swoją klasyfikację medyczną i zwana jest asfiksjofilią, zaś z powodu asfiksji autoerotycznej w samych Stanach rocznie ginie tysiąc osób pragnących brakiem tlenu zwiększyć przyjemność podczas masturbacji.

Z ostrym seksem trzeba ostrożnie, można się naciąć.

99.02

Tulinka:

„Piszesz do mnie, że tęsknisz i że Cię kłuje pod piersią, a musimy oszczędzać Twoje serce, więc bardzo proszę – tęsknij za mną niedbale i od niechcenia”.

99.03

Nie jestem pewien, do czego służy miłość, ale tak mniej więcej mi się wydaje, że do kupowania ci świeżych rogalików, gdy jeszcze śpisz, do podawania ręcznika, gdy wychodzisz spod prysznica, do parzenia ci kawy i przyjmowania za to uśmiechu, do chowania cię pod parasolem, do niewierzenia w cellulit, do niewidzenia zmarszczki i do zabicia komara latającego nad tobą, do słuchania razem muzyki i do spacerowania palcami po tobie, do pokazywania księżycy i wspólnego dziwienia się, że taki dziś duży i brzuch ma pełen snów.

Tulinka:

– Dziś ludzie boją się kochać. Uczucia są na wymarciu, niedługo zakochanych będą pokazywać w rezerwach lub ogrodach zoologicznych, podobnie jak nosorożce, delfiny i foki.

00.45

Materiał cenniejszy niż złoto

Tymon od początku nie ufał tej dziewczynie. I to nie dlatego, że pracowała w nocnym klubie. Czytał o kurtyzanach i wiedział, że goszczono je kiedyś w najlepszych domach, nie wyłączając królewskich dworów i papieskich komnat. Ale jak można ufać kobiecie, która sypia z inspektorem policji i każe nagrywać wspólne igraszki? Albo okrada swojego klienta, jak tego Irlandczyka, którego pozbawiła mapy majątku Grohmanów?

Przewijał ostatnie nagrania, na których baraszkowała z inspektorem Grochem. Zgodnie z poleceniem wybierał fragmenty, z których miał skleić kompromitujący go film. Sporo tego było. Ze złością zauważył, że od niektórych scen trudno mu było się oderwać. Mimo silikonowego biustu Lena była urzekającą kobietą. Nogi jak marzenie, biust jak marzenie, pupa jak marzenie – bez wątpienia ta kobieta składała się z samych męskich marzeń.

Ze zdziwieniem zobaczył, że na ostatniej kasecie prawie nic nie ma. Kamera pokazywała tylko puste łóżko. Podczas instalacji nastawił ją tak, że miała się włączać automatycznie, gdy ktoś znalazł się w jej polu widzenia. Widocznie coś się w niej przestawiło i została uruchomiona samym głosem.

Usłyszał nagraną Lenę i mężczyznę, którego nie znał:

– Mówił pan, że to jest bardzo cenny materiał?

– Tak, niezwykle cenny.

– I ma nadzwyczajne właściwości?

– Odmładzające, jak już wcześniej powiedziałem. Ale także bakteriobójcze. Poza tym złoto przyspiesza gojenie ran, blizn, stymuluje witalnie organizm.

– To pewnie można na tym zarobić majątek?

– Tak, droga pani. Dlatego warto by dotrzeć do źródła, z którego pochodzi ta nić, i mieć jej znacznie więcej.

Tu nagranie się urwało.

Tymon przez chwilę trwał w zadumie. Zastanawiał się, kim mógł być nieznany gość Leny i o czym z nią rozmawiał. Co to za materiał? Nadzwyczajne właściwości? Bakteriobójcze? Stymulujące? Nic mu nie przychodziło do głowy.

Skończył montować film, zgrał go na dwie płyty CD. Jedną ukrył w swoich rzeczach, drugą położył na nocnym stoliku Leny.

Ciekawe, co z nim zrobi – pomyślał. – I ciekawe, co ja zrobię ze swoim – uśmiechnął się do własnych myśli.

Poczuł głód. Zajrzał do lodówki. Nie znalazł tam nic poza kremami, które Lena chowała przed upałem panującym tego lata.

Postanowił zjeść coś na mieście. Zamknął za sobą drzwi mieszkania i lekko zbiegł po schodach. Przed domem stała czarna skoda z przyciemnianymi szybami. Mijał ją obojętnie, gdy nagle drzwiczki się otworzyły i na wprost niego stanął mężczyzna z pistoletem widocznym w kaburze. Ten sam, którego przed chwilą widział na pornograficznym filmie Leny. Tym razem jednak inspektor Groch był całkowicie ubrany.

99.04

– Zamknę cię w swoim obrazie – mówi po południu Tulinka.

– Uważaj, żebyś ja cię nie zamknął w swojej książce.

– I co ze mną zrobisz?

– Wsadzę cię do klatki na wszelki wypadek, a potem się zobaczy. Jeszcze nie podjąłem decyzji.

Strzeżcie się pisarzy, mogą was zamknąć w jednym zdaniu.

99.05

Tulinka woskuje meble w przedpokoju. Trze szmatką po szubienicy.

– Słuchaj, tu jest jakiś napis! – woła zaaferowana.

Rzeczywiście, w drewnie wyrzeźbiono sygnaturę. Udaje nam się ją odczytać: „Eliasz Stumann, 1889, Łódź, ul. Piorkowska 18”.

– O do licha! – Wzdryga się Tulinka. – To pewnie nazwisko kata!

– Co ty mówisz? – Pukam się palcem w czoło. – Wyobrażasz sobie, że kat chodził po mieście z podręczną szubienicą?

Sprawdzamy nazwisko w internecie. Jest! Eliasz Stumann, jeden z najwybitniejszych łódzkich fotografów dziewiętnastego wieku. Miał atelier przy Piotrkowskiej. Jako jedyny w mieście dysponował specjalnie skonstruowanym stelażem do wykonywania zdjęć *post mortem*, czyli po zgonie fotografowanego. W tamtych czasach było to dość popularne. Czasami nie zdążono zrobić sobie rodzinnego zdjęcia za życia, więc robiono je po śmierci. Zmarłego ubierało się elegancko i wspierało się na tym stelażu, retuszując mu oczy lub zamieniając gałki oczne na szklane dla lepszego połysku.

– Wspaniałe! – klaszcze w dłonie Tulinka, pokazując stelaż. – Chociaż chyba bym jednak

wolała, by to była używana szubienica.

99.06

W tramwaju.

– Mamo, przestań mnie pouczać i spójrz na siebie, nic ci się w życiu nie udało.

– Ty mi się udałaś.

00.46

Inspektor Groch na tropie obcego wywiadu

Rosły mężczyzna zastąpił Tymonowi drogę.

– Inspektor Groch – przedstawił się krótko.

– Tak, wiem – przyznał zaskoczony Tymon.

– Pan mnie zna? – zdziwił się policjant.

Tymon ugryzł się w język. Co miał odpowiedzieć? Że owszem, zna go z filmów pornograficznych, które nagrywa na polecenie Leny? I wie nawet, że nad kostką ma wytatuowane kolumny w kształcie szpulek?

– Gdzieś widziałem pana zdjęcie. Chyba w „Expressie Ilustrowanym” – zablefował. Celnie, bo policjant uśmiechnął się z zadowoleniem.

– A, możliwe...

Wskazał głową otwarte drzwiczki radiowozu:

– Proszę wejść, porozmawiamy.

Tymon zerknął do środka. Nikogo. Na służbie policjanci raczej nie jeżdżą pojedynczo – pomyślał z niepokojem. – Czego on ode mnie chce?

Usiadł na tylnej kanapie, policjant za kierownicą. Ruszyli.

– Od dawna mieszka pan z Leną? – zapytał Groch przez ramię.

W jego głosie Tymon wyczuł zazdrość.

– Ależ skąd – uspokoił inspektora na wszelki wypadek. – Oboje korzystamy tylko z gościnności mojego przyjaciela. Ja pewnie do końca sierpnia wyjadę z miasta.

– Widział pan tego starszego mężczyznę, który odwiedził Lenę kilka dni temu? – Groch postanowił przejść do konkretów.

– To trochę jubiler, trochę antykwariusz, ma zakład gdzieś niedaleko ulicy Piotrkowskiej.

– A co go sprowadza do Leny?

– Nie mam pojęcia.

Komisarz zmarszczył brwi.

– Z tego, co wiem, był pan w Irlandii, prawda? Wdał się tam pan w ciężką bójkę z użyciem kija bejsbolowego... – przypomniał. – Omal nie zabił pan człowieka.

Tymon poczuł, że zasycha mu w gardle. Mają mnie – sparaliżowała go myśl o tamtym zdarzeniu.

– Na razie to rozmowa tylko między nami – uspokoił go inspektor. – Muszę jednak wiedzieć, co łączy Lenę z tym jubilerem.

– Wydaje mi się, że nic takiego.

– Pieprzy ją?

– Ależ skąd! To tylko jakieś interesy!

– Interesy? Co pan o nich wie?

– Słyszałem niewiele. – Tymon starał sobie przypomnieć treść nagranej rozmowy. –

Mówili coś o jakimś bardzo cennym materiale. Takim, który chroni organizm...

– Tak jak ten, który jedna z firm łódzkich produkuje na potrzeby wojska i policji? – dopytał Groch. – I robi się z niego kamizelki kuloodporne?

Głowę miał od razu pełną podejrzeń, inaczej nie byłby przecież inspektorem. Lena i ten jubiler, pewnie fałszywy, chcą wykraść tajniki produkcji czegoś jeszcze nowocześniejszego od kevlaru. Na pewno pracują dla obcego wywiadu. Tak, to byłoby zrozumiałe, wśród szpiegów było wiele kobiet lekkich obyczajów. Nic tak bowiem mężczyznom nie rozwiązuje języków, jak zestaw złożony z alkoholu, pięknej kobiety i łóżka.

99.07

Gdy wychodzi na zajęcia, zaglądam do jej pracowni. Stoi tam pięć rozstawionych blejtramów, wszystkie zasłonięte prześcieradłami. Odkrywam pierwsze i widzę portret szpakowatego mężczyzny, niemal ukończony. Mężczyzna ma na sobie lnianą marynarkę i jasne spodnie, w dłoni trzyma smycz, jakby gdzieś w pobliżu biegał jego pies. Uchylam drugie prześcieradło, pod nim siwa kobieta w białej sukni z falbanami, na głowie ma fikuśny kapelusik, w dłoni ukrytej pod koronkową rękawiczką trzyma parasol przeciwsłoneczny. Na trzecim i czwartym obrazie znów mężczyźni, dostojni, elegancy, ale staromodni, trochę jak z dziewiętnastego wieku. Piąty obraz mnie zaskakuje. Przedstawia blondwłosą nastolatkę, chyba lunaticzkę, bo dziewczyna ma zamknięte oczy, jakby spała, a jednak idzie po schodach, z książką pod pachą. Na okładce widnieje napis: „Hic requiescit Laetitia in somno pacis”. Obraz nie jest skończony. Spod farb, którymi malowane są loki lunaticzki, widać nieprzykryty jeszcze werniksem jasny pukiel prawdziwych włosów dziewczyny. Sprawdzam w słowniku znaczenie łacińskiego napisu. Tłumaczenie brzmi następująco: „Tu spoczywa Letycja w śnie spokojnym”.

99.08

Wieczorem piszę kolejny odcinek thrillera do Funeral TV, zastanawiając się, czy między dziewczyny nie wprowadzić lunaticzki. Tulinka wspominała kiedyś, że jej matka cierpiała na lunatyzm i nocą zamykano ją na klucz. Chcę ją o to zapytać, akurat wchodzi do pokoju, ale to ona pierwsza zadaje pytanie:

– Zostawiłam laptopa na uczelni, czy mógłbyś mi sprawdzić, jak się pisze „Hic requiescit”? Przez „t” czy „d” na końcu? Bo już nie jestem pewna.

Pamiętam, bo sprawdzałem tłumaczenie zaledwie kilka godzin temu, więc bez zastanowienia odpowiadam, że przez „t”. Za późno gryzę się w język.

– Dzięki!

Ma zamiar wyjść, odwraca się i robi kilka kroków, gdy nagle jakaś niepewność zatrzymuje ją przed progiem:

– A właściwie to skąd o tym wiesz?

99.09

Śnił mi się wielki las. Biegało w nim mnóstwo ludzi. Naganiacze. Krzyczeli, stukali patykami o pnie drzew. Z krzaczków odrywały się przerażone jagody i znikwały w wiklinowych koszykach zbieraczy. Myślałem, że to jakaś głupota, ale przypomniało mi się, że Lec kiedyś wspominał o grzybobraniu z nagonką.

99.10

Jest zła, bardzo zła, bo miałem nie zaglądać do pracowni bez jej wiedzy, ona przecież nie grzebie mi w biurku ani nie szuka w laptopie, nie sprawdza, co napisałem, a przecież wie, że piszę, może nawet o niej jakąś historię wyssaną z palca, zmyśloną, bo gdyby nie była zmyśloną, to nie byłoby o czym pisać. Choć czasami się wydaje, że nie ma o czym pisać, a potem się okazuje, że jest o czym czytać.

Próbuję niezdarnie się wytłumaczyć, że był przeciąg i trzasnęło okno na górze, wszedłem, żeby je zamknąć, a wiatr zrzucił z obrazu prześcieradło, podniosłem je i nie chciałem na obraz patrzeć, ale sam mi się zobaczył.

No i jest pierwsza nasza poważna awantura, słowa latają jak ciężkie szerszenie pomiędzy nami.

00.47

Inspektor Groch na tropie Świętego Graala

Pod wpływem słów komisarza Tymon zaczął się zastanawiać, czy rzeczywiście Lena mogłaby pracować dla obcego wywiadu. Przypomniała mu się Mata Hari, luksusowa prostytutka, będąca jednocześnie najślynniejszym szpiegiem wśród kobiet. Przypomniał sobie też wizytę weteranki tego zawodu, która odwiedziła niedawno Lenę i opowiadała jej, że w czasach PRLu prawie wszystkie sprzedające się dziewczyny z hotelów Orbis współpracowały ze służbami.

Ten tok rozmyślań przerwał mu jednak inspektor Groch:

– Więc z tym fałszywym jubilerem Lena rozmawiała o kuloodpornych kamizelkach?

Rety, co za baran z tego gliny – pomyślał Tymon. Ale oznajmił to uprzejmie:

– Nie, oni nie wspominali nic o żadnych kamizelkach! Mówili tylko o jakimś materiale posiadającym cudowne właściwości.

– Przecież mówił pan, że ten materiał miał ochraniać ciało.

– Nie tyle ciało, ile organizm. I nie chodziło chyba o taką zwykłą ochronę – zawahał się Tymon. – Oni mówili, że raczej ten materiał stymuluje organizm, chyba nawet go odradza. Przywraca młodość czy jakoś tak.

– Co ty mi tu, chłopie, lipę wsadzasz? – rozżościł się Groch, przechodząc bez pardonowo na per ty.

– Słowo daję! – Tymon podniósł do góry dwa palce jak podczas składania przysięgi w harcerstwie. – To chyba jest jakiś nowy wynalazek!

– Chrzanisz! – Inspektor gwałtownie nacisnął hamulec. Samochód zatrzymał się z piskiem opon.

– Przysięgam na zdrowie mojej matki!

Groch przez chwilę milczał. Zapalił papierosa.

– Nowy wynalazek? – zadumał się, wypuszczając kłąb dymu.

– Nie wiem, tak tylko się domyślam.

– W sumie to możliwe – orzekł w końcu policjant. – Cały czas teraz coś wynajdują. Słyszałeś o grafenie? Może to coś jak na przykład ten grafen?

– Nie wiem, być może. – Tymon przypomniał sobie, że czytał o grafenie kilka tygodni temu. – To taki materiał o zdumiewających właściwościach – powiedział. – Rewelacyjny przewodnik ciepła i elektryczności, a przy tym wytrzymałszy od stali i kevlaru, z którego robi się kuloodporne kamizelki. Ostatnio polscy naukowcy dokonali jakiegoś ważnego odkrycia z nim związanego. Dzięki nim materiał ten ma zrewolucjonizować światowy przemysł.

– Nazywany jest Świętym Graalem elektroniki – uzupełnił komisarz. – Jego cena przekracza tysiące dolarów za centymetr kwadratowy.

Tymona zatkało z wrażenia. Groch też przez dłuższy czas się nie odzywał. Przed oczami miał czekające na niego miliony dolarów.

99.11

Przez dwa dni milczy i mnie unika, śpi w swoim pokoju, zamknięta na klucz przede mną, wścibstwem i moimi dłońmi. Ja i moje wścibstwo doskonale to rozumiemy, była wina, musi być kara, ale dłonie nie mają o naszych przewinach pojęcia i się niecierpliwia.

99.12

Trzeciego dnia, niemal jak w Piśmie Świętym, zostaje mi wybaczone i fale wzburzenia opadają. Tulinka wchodzi do pokoju, jakby nic się nie stało, i mówi, że tak naprawdę to tamta dziewczyna z obrazu nie miała na imię Letycja, tylko Roksana, trochę tak jak ten niemiecki dezodorant. Nigdy jednak nie lubiła swojego imienia, więc jej ojciec doszedł do wniosku, że głupio tak w łacińską inskrypcję wpisywać nieulubioną pamięć dezodorantu. Wymyślił Letycję, gdyż imię to po łacinie oznacza piękno, wesołość i wdzięk, a właśnie taka była jego córeczka za życia i pewnie znów będzie, gdy tylko kiedyś obudzi się ze snu. Bo obraz ten, podobnie jak pozostałe cztery portrety znajdujące się na poddaszu, został zamówiony przez nieutulonych w żalu krewnych, chcących, by pamiątkowe wizerunki wraz z rodowodowym DNA zawisły w domach, których nawet po śmierci nie muszą dzięki temu opuszczać. A po latach, kto wie, może zostaną ożywieni, powstaną z martwych, jeśli nie dzięki cudowi Chrystusa, to laboratoriom, które najpóźniej za dziesięć lat będą świadczyć takie usługi na szeroką skalę. Tak czy owak, jeśli nie pomoże Chrystus, to nauka, o czym wiedział już także Walt Disney, który – jak głosi miejska legenda – w podobnym celu kazał się zahibernować i obudzić w 2066 roku, ale jeśli chodzi o Disneya, to już, jak samo nazwisko wskazuje, zupełnie inna bajka.

99.13

Czasami człowiek w zdumiewających sytuacjach znajduje potwierdzenie słuszności swoich wyborów.

Wczoraj spotkałem szefa Funeral TV. Nie może się nadziwić, że wspominam o zmienieniu pracy.

– Będziesz mieć więcej władzy niż wcześniej? – Szuka przyczyny.

– Nie.

– Zarobisz więcej?

– Nie.

– Krócej będziesz pracował?

– Nie.

– Hm. To dlaczego chcesz zostać pisarzem?

– Pisarze to jedyni mężczyźni, którzy mogą mieć każdą kobietę. Wystarczy, że umieszczą ją w książce, i tam mogą z nią wszystko.

– Pieprzenie.

Podchodzi jego asystentka. Długonoga blondynka z mocno wyeksponowanym biustem. Podaje mu etui z okularami.

– Zapomniał pan, szefie. – Uśmiecha się, odchodzi.
Patrzmy, jak kołysze biodrami. Zupełnie jakby morze się w niej huštało. Przyptyw, odpływ, przyptyw, odpływ.
– Cudowna, prawda?
– Niezła – przyznaję. – Bzykasz ją?
– Zapomnij. Prawniczka, przy pierwszym podejściu od razu by mnie oskarżyła o molestowanie.
– To po co zatrudniłeś prawniczkę?
– Zarząd tak chciał, ponoć norma unijna.
– To pech.
– Pech.
Po chwili pyta:
– A ją możesz umieścić w książce?
– Jasne.
– To umieść ją i mnie, chciałbym to sobie poczytać.

99.14

Tulinka śpi odwrócona plecami. Przyglądam się jej łopatce z wytatuowaną głową kozła. W pewnym momencie mam wrażenie, że ten kozioł też mi się przygląda. Odsuwam się odruchowo. A ona przekręca się w moją stronę i mówi:

– Im dalej jesteś, tym bardziej myślę o zbliżeniu.
Kiedy odwijam cię z kołdry, jesteś jedynym dowodem na to, że świat ma sens także o szóstej trzydzieści.

00.48

Między nami agentami

Komisarz Groch położył swoją ciężką dłoń na ramieniu Tymona.
– Słuchaj, chłopcze, zapomnę o tej bijatyce w irlandzkim pubie – powiedział. – Wyczyszczę ci kartotekę ze wszystkich grzechów, ale musisz się dowiedzieć czegoś więcej o tym, co ukrywa Lena.
– Spróbuję.
– Spróbować to ty możesz zupeł u mamy – uciął Groch. – Masz tydzień na to, żebyśmy wiedzieli, czy ten materiał to coś jak grafen, czy jakieś inne odkrycie. Wiesz, ostrożnie, żeby nikogo nie spłoszyć. A ja się potem zajmę tym fałszywym jubilerem.
– Dobrze, proszę pana.
Tymon wysiadł z radiowozu i ruszył piechotą w kierunku domu. Nie podobało mu się to wszystko. Miał przyjechać do Polski, odnaleźć Magdę i dowiedzieć się, czy wie coś o ukrytym majątku Grohmanów. Tymczasem trafił na prostytutkę, która nie dość, że ma romans z inspektorem, to może jeszcze okazać się szpiegiem. Co za bajzel. Ona nagrywa inspektora, ten każe ją śledzić i jeszcze się domaga, by Tymon z nim współpracował. Ale niby jak?
Nagle przystanął i uderzył się otwartą dłonią w czoło. Skopolamina! Serum prawdy! Że też zapomniałem – przemknęło mu przez głowę. Miał gdzieś przecież blaszane pudełko, które otrzymał przed wyjazdem z Irlandii. Może nadszedł czas, by użyć jego zawartość?
Po drodze zatrzymał się jeszcze przy targu bałuckim i kupił kilo jabłek. Pyszne. Twarde, soczyste, takie lubił najbardziej.

Lena była już w domu, smażyła sobie naleśniki.
– Chcesz jabłko? – zapytał.
– Nie przepadam za jabłkami – odpowiedziała.
– Zjedz, jedzenie jabłek jest patriotyczne. Gdy Putin wstrzymał kiedyś import polskich jabłek, to takie hasło nawet krążyło: „Zjedz jabłko, zrób na złość Putinowi”.
– Nie mam zamiaru robić na złość Putinowi. To bardzo interesujący mężczyzna. Poza tym uważam, że w wielu kwestiach ma rację.
Tymon pomyślał, że źle słyszy.
– Ty chyba zwariowałaś! – stwierdził. – Przecież on chce odtworzyć Związek Radziecki, a poza tym to były agent KGB!
– No i co z tego? – Wzruszyła ramionami.
– Nie powiesz mi przecież, że darzysz sympatią rosyjskich agentów!
– Wiesz, tak się składa, że w pewnym sensie jestem ostatnio z nimi związana – zażartowała, po czym przypomniała jej się feralna wanna kawioru i uświadomiła sobie, że to już wcale nie jest żart. Tymon nie miał jednak pojęcia o żadnej wannie kawioru, więc przyszło mu na myśl, że Lena rzeczywiście może być szpiegiem rosyjskiego wywiadu. Postanowił działać.

99.15

Kiedy Tulinka przyniosła do domu doniczkę z paprotką, nawet tego nie zauważyłem, jednak dwa dni później, gdy na parapecie stały już cztery, zacząłem mieć pewne podejrzenia.

Moja babcia, matka ojca, mieszkająca na wsi pod lasem cały ogród oddała we władanie paprociom. Początkowo miała kilka odmian przyniesionych ze spacerów, potem dołożyła szlachetniejsze gatunki, które kradła z ogrodów botanicznych w trakcie niedzielnych wycieczek. Podczas gdy sąsiedzi hodowali szczypior, czosnek, pomidory i pietruszkę, babcia rozsadzała długosze królewskie, narecznice samcze, jęczyniki zwyczajne i onoklee wrażliwe. Kiedyś ktoś jej podarował dorodny kwiat pióropusznika strusiego, paproć niezwykle ekstensywną, z czasem zaczynającą wypierać inne gatunki, opierała jej się tylko onoklea, z nazwy tylko wrażliwa, i po kilku latach cały półhektarowy ogród zarosnięty był półtorametrowym pióropusznikiem, któremu towarzyszyła przy ziemi tylko półmetrowa onoklea.

Po śmierci dziadka mama postanowiła zabrać babcię do naszego mieszkania. Dostała w nim pokój zajmowany kiedyś przeze mnie i tam na mniejszą bez porównania skalę znów hodowała paprocie. Parapety zastawiła małymi doniczkami, w których rosły paprotki zwyczajne, z półek zwisały charakterystyczne płaskły łosiorogie i nefrolepis wyniosły, zwany też wysokim, jednak nieco na wyrost, bo rzadko przekracza trzydzieści centymetrów, zaś po obu stronach drzwi, niczym wartownicy, stały udomowione paprocie drzewiaste. Babcia kochała paprocie z bezwzględną wzajemnością – gdy zmarła, wszystkie wyschły w ciągu dwóch tygodni, chociaż regularnie były podlewane.

Książdz, który złożył babci ostatnią wizytę, powiedział potem mamie, że podczas pobytu w Anglii widział w księgach parafialnych opisy podobnych fascynacji paprociami: w epoce wiktoriańskiej roślina ta była główną ozdobą religijnych ceremonii, chrztów, ślubów i pogrzebów, panowała przy tym wówczas tak niewiarygodnie silna, a przy tym niezrozumiała, metafizyczna wręcz potrzeba gromadzenia paproci, że były w każdym domu, od pałaców i dworów po najuboższe wiejskie chałupy, a ich motywy pojawiały się na dziesiątkach przedmiotów – począwszy od sukna i tapet poprzez biżuterię i obrazy, karety, dywany, garnki, kielichy, talerze, dzbany po piece kaflowe, a nawet ciastka. W odróżnieniu jednak od holenderskiej tulipanowej gorączki mania paproci nie miała racjonalnego wytłumaczenia,

z czasem więc lekarze sklasyfikowali ją jako obsesję i dali jej medyczne miano pteridomanii. I w ten sposób babcia, która przez całe życie tyrała w polu i zachowywała się nadzwyczaj normalnie, przeszła do historii rodzinnej jako pteridomanka, wcale nie zwykła chłopka, lecz osoba cierpiąca na słabość właściwą epoce królowej Wiktorii.

99.16

Kiedy liczba paprotek na parapetach w kuchni zbliżyła się do dziesięciu, spojrzałem wymownie na wisiorek Tulinki ze złotym liściem paproci i zapytałem ją, czy aby na pewno wszystko jest w porządku. Na wszelki wypadek opowiedziałem jej o historii z babcią. W ogóle się nie przejęła. Nawet jej ramiona tym razem pozostały niewzruszone.

99.17

Policzyłem paprotki na parapetach w kuchni. Osiemnaście.

99.18

Ludzie mają zdumiewające obsesje. Dla Funeral TV przygotowuję właśnie program o sławnej trucicielce ze stanu Ohio, która nazywała się Martha Wise. Pochodziła z ubogiej rodziny, wyszła za mąż za biedaka i urodziła mu pięcioro dzieci. Gdy jedno z nich zmarło, wyprawiono mu pogrzeb i była to najpiękniejsza uroczystość, jaką Martha do tej pory widziała. Piękniejsza niż ślub, bo ani w jej trakcie, ani po zakończeniu nikt niczego od niej nie oczekiwał, wszyscy byli mili, przytulali ją i szeptali słowa pocieszenia. Noc pogrzebowa też okazała się lepsza od nocy poślubnej, bo mąż na siłę nie domagał się jej ciała.

Tak jej się ten pogrzeb spodobał, że zachciała następnych, a że wieś nie była wielka i z tego powodu pogrzeby zdarzały się rzadko, postanowiła sama je sobie zapewnić. W tym celu kupiła w aptece sporą ilość arsenu i dolewała truciznę do wody i kawy komu popadnie. Najbardziej spragniony był zawsze mąż, więc to on jako drugi w kolejności sprawił jej przyjemność swoim pogrzebem. Potem najstarsza z córek Marthy trafiła do szpitala, ale ku rozczarowaniu matki jakoś wyzdrowiała, chociaż świece już się paliły do pogrzebu. Nie czekały przy tym długo – matka Marthy okazała się słabsza, podobnie jak jedna z ciotek – obie zmarły w regularnych odstępach czasowych, co za każdym razem niezwykle uszczęśliwiało Marthę. Wuj też nie kazał na siebie czekać – pogrzeb był piękny, z dużą liczbą wieńców i niezwykle udaną stypą.

Martha psychicznie żywiła się pogrzebami, a bez nadziei na ich zbliżającą się wizję popadała w smutek i przygnębienie, zatem wyposażona w arsen odwiedzała coraz dalszą rodzinę – i tak podupadła na zdrowiu następna ciotka, jej mąż i ich dzieci. Gdy zachorowała siedemnasta osoba z rodziny, policji zaczęło wydawać się to podejrzane. Wszczęto śledztwo, w którego wyniku Martha przyznała, że nie ma na świecie nic równie pięknego jak lśniący karawan pogrzebowy. Jest to widok, od którego czuje się uzależniona, daje jej siłę i chęć do życia, podobnie jak ceremoniał związany z pochówkiem. Bez pogrzebu wytrzymywała dwa, trzy tygodnie, potem wpadała w depresję.

Skazano ją na dożywocie, ale tuż przed osiemdziesiątką zwolniono z więzienia. Morderczej staruszki nie chciał jednak przyjąć żaden z domów opieki, nie mówiąc już o dzieciach, które cudem przeżyły. Poszwędała się więc trochę po okolicy i po kilku dniach poprosiła władze więzienne, by ją przyjęto z powrotem.

99.19

Morderstwo doskonałe?

Więź zabita dechami.

99.20

Zbieram materiał do historii o człowieku, który podobnie jak Martha został skazany na dożywocie. Twardy chłop, wielki, napakowany, cały wydzierany. Zapytałem go, czy pamięta, kiedy ostatnio płakał.

– Tak – przyznał z pewnym ociąganiem. – W zeszłym tygodniu.

Czatował wtedy z córką. I napisał jej, że późno już i chyba powinna za chwilę iść spać.

A ona mu odpowiedziała:

– Ty też nie siedź zbyt długo.

00.49

Serum prawdy

Niczego nie podejrzewając, Lena beztrąsko krzątała się po domu. Tymon podszedł do niej powoli. Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. Zobaczyła w nich coś, co musiało ją zaniepokoić. Cofała się krok za krokiem, aż jej plecy natrafiły na ścianę. Podszedł do niej tak blisko, że czuła jego oddech.

– Na jednej z taśm nagrała się twoja rozmowa z jakimś facetem – powiedział.

– To pewnie Groch, przecież wiesz, że nie przyjmuję w domu innych mężczyzn.

– To nie był ten glina.

– Może listonosz w takim razie?

– Z listonoszem nie rozmawia się o materii, której centymetr kosztuje tysiąc dolarów!

– Zwariowałaś? – Lena wyglądała na szczerze zdumioną.

– Może zwariowałem, a wariatów trzeba się bać – wycedził. – Myślałaś, że się nie dowiem?

Przycisnął kobietę do ściany tak, że poczuł dotyk jej piersi. Natychmiast dostał mocny cios w splot słoneczny, potem silny raz kolanem w okolice krocza. Widać było, że Lena nie pierwszy raz radzi sobie w ten sposób z nachalnymi mężczyznami.

Patrzyła, jak Tymon najpierw pada na klęczki, potem przewraca się na bok, łapie powietrze niczym ryba, a z oczu ciekną mu strużki łez.

Z mężczyzn łatwiej wycisnąć łzy kolanem niż najbardziej wzruszającym melodramatem – pomyślała z satysfakcją.

Od razu też w jej dłoni pojawił się pojemnik z gazem pieprzowym.

– Masz dość? – zapytała na wszelki wypadek.

Pokiwał głową. Nie próbował już swoich sił. Przez pół godziny nie odzywali się do siebie.

– Może chciałabyś mi jednak o czymś powiedzieć, w końcu ze sobą współpracujemy? – Tymon tym razem spróbował po dobroci.

– Ach, prawda, miałam odnaleźć dla ciebie Magdę! – Sprytnie zmieniła temat, udając, że dopiero teraz sobie przypomina o wcześniejszej prośbie Tymona.

Pomyślał, że na razie da za wygraną. Na wykonanie zlecenia inspektora ma cały tydzień.

Może rzeczywiście w pierwszej kolejności zajmie się odnalezieniem Magdy.

– I wiesz już, gdzie mogę ją spotkać? – zapytał najmilej, jak potrafił.

– Tak, pracuje jako menadżer w klubie nocnym na Julianowie. – Snuła intrygę, licząc, że zyska na czasie. – Podam ci adres, bo sam tam nie trafisz, to klub ukryty w domu, który wygląda na opuszczony. Ale nie wiem, czy teraz ją tam znajdziesz. Wiesz, są wakacje.

Wziął kartkę, zanotował, a gdy Lena poszła do sypialni, wyjął walizkę schowaną pod sofą. Z zadowoleniem stwierdził, że nikt w niej nie grzebał.

Z bocznej kieszonki wyciągnął blaszane pudełko, które dostał w Irlandii od Maksa. Otworzył ostrożnie. Spojrzał na zasuszone owoce przypominające bukowe orzeszki w kosmatych łupinach. Bieluń, zwany też czarcim ziele. Miał go podrzucić Magdzie, by dzięki zawartej w nim skopolaminie wydobyć z niej informacje o majątku Grohmanów. Wziął pudełeczko i ruszył do kuchni. Po kwadransie mikstura była gotowa. Teraz tylko należało znaleźć sposób, by podać ją Magdzie. Spojrzał na zegarek. Dochodziła dwudziesta druga. W sam raz pora na wizytę w nocnym klubie.

99.21

Paprocie znikły z parapetów. Tulinki nie ma od dwóch dni. Widzę drobiny ziemi i listki na schodach wiodących w kierunku jej pracowni. Wchodzę na górę. Doniczki stoją dookoła krzesła. Patrzę na obraz już niemal skończony. Na krześle siedzę ja w otoczeniu tych wszystkich paproci. Niepokoi mnie tytuł widoczny po drugiej stronie blejtramu: *Martwa natura z paprociami*.

99.22

W Funeral TV prowadziłem dziś program o portretach trumiennych. Malowano je od szesnastego do osiemnastego wieku i umieszczano głównie z przodu trumny, tak by podczas ceremonii pogrzebowej można było odnieść wrażenie, że nieboszczyk bierze w niej udział nie tylko biernie. Z czasem niektóre rody nagromadziły ich tyle, że podczas kolejnych pogrzebów wieszano wokół katafalków dziesiątki portretów zdjętych z trumien i w ten sposób zmarli przed latami krewni mogli symbolicznie uczestniczyć w pochówku swoich następców. W wydanej w 1856 roku *Genealogii portretowej Sapiehów* ówczesny historyk, Józef Łoski, podaje, że w kościele świętej Anny w Kodniu zgromadzono siedemdziesiąt pięć trumien i portretów zmarłych, którzy należeli do rodu.

Niestety, widzów dzwoniących po programie nie interesował ten zwyczaj niespotykany poza Polską na taką skalę, lecz wypytywali, czy prawdą jest, iż jako podkład pod farbę stosowano wtedy sok z czosnku, mający nie tylko zapewnić jej lepkość, lecz także odpędzać diabła, wampiry, demony i tym podobne siły nieczyste.

Gdy wracam do domu, Tulinka wita mnie kusząco podekscytowana i mówi z triumfem, że jej obrazy z poddasza są w pewnym sensie kontynuacją portretów trumiennych, o tyle nowocześniejszą, że umożliwiają po śmierci nie tylko pamięć, ale i życie. A każdy umrze w ciągu życia.

99.23

Tulinka ma na sobie koszulkę z dużym dekoltem na plecach, widać potakującą z aprobatą głowę kozła, gdy maluje zamasztytymi pociągnięciami pędzla.

– Możemy też wszystko obrócić i przekształcić ze skandalu w rewolucję obyczajową.

– Co masz na myśli?
– Nie powiedziałam ci wszystkiego. To nie jest tylko mój pomysł, to wizja diabelnie znanego malarza z Kopenhagi. Działamy w grupie o nazwie Żywe Obrazy. Bo przecież one są potencjalnie żywe. Płótna z DNA wiszą w największych muzeach – od Ameryki poprzez Europę i Australię. Teraz chodzi o to, żeby zawisły w domach zwykłych ludzi, przeciętnych mieszczan.
– Trochę się pogubiłem.
– To wyobraź sobie taki dzień, w którym wygłaszamy swój manifest. Tysiące, setki tysięcy ludzi dowiaduje się, że na obrazach, które zawiesili w swoich domach, jest nie tylko farba. W swoich salonach, jadalniach, sypialniach goszczą intruzów. Nas – pod postacią skrawków naszych ciał, krwi, wydzielin z gruczołów, płwocin, śluzów kochanek i spermy kochanków.
– Przestań, to obrzydliwe. I głupie.
– Wcale nie! Miał być ładny obrazek, żeby sąsiedzi podziwiali, może nawet lokata kapitału. A tu taki szok! Miał być obraz, jest obraza!
– To okropne i niemożliwe.
– A zanim zobaczyłeś to, co robi Marc Quinn, uwierzyłybyś, że portret z łożyska matki jest możliwy?
– W życiu.
– No widzisz.
– Ale po co to?
– Żeby zrobić rewolucję. Rewolucje zawsze zaczynają się od sztuki. Ale nic więcej ci już nie powiem. Nie teraz.

00.50

W ponurym domu

Po dwudziestej drugiej nigdzie nie było już korków, więc droga na Julianów zabrała Tymonowi zaledwie kwadrans. Zaparkował przed willą zarośniętą bluszczem. Porównał numer domu z tym, który Magda zapisała mu na karteczce. Zgadzało się – to tu, chociaż ponury budynek wyglądał na opuszczony. Wcisnął przycisk dzwonka. Nic, cisza. Począł jeszcze minutę i nacisnął klamkę furtki. Ustąpiła z lekkim skrzypieniem.

Od frontu wszystkie okna chroniły szczelnie zasłonięte żaluzje. Podszedł do drzwi. Zamknięte. Obszedł dom dookoła. Zauważył, że od strony parku w jednym pomieszczeniu na piętrze paliło się słabe światło. Dostrzegł też, że brama garażowa jest niedomknięta. Chwilę się wahał, po czym wślizgnął się przez nią do środka.

Wewnątrz panował półmrok. Na końcu olbrzymiego garażu zobaczył otwarte drzwi. Z klatki schodowej sączyło się światło, oświetlając coś, co wyglądało jak regał z kobiecymi butami. Podszedł z niedowierzaniem. Rzeczywiście. Dziesiątki butów na wysokim obcasie. Nieopodal regału stała klatka. Zza metalowych prętów spoglądała na niego para przestraszonych oczu. Zbliżył się do klatki. Młoda dziewczyna, całkowicie naga, cofnęła się w kąt. Podkuliła kolana, dłońmi zasłoniła drobne piersi. Obróciła się plecami. Na łopatkach miała wytatuowany łeb kozła.

Zrozumiał, że znalazł się w nieodpowiednim miejscu. Niemal na palcach wyszedł z garażu. Gdy był już przy furtce, drzwi domu otworzyły się i stanął w nich rosły mężczyzna. Wyglądał na ochroniarza.

– Pan w jakiej sprawie? – W nocnej ciszy jego tubalny głos zabrzmiał jak dzwon. Tymon przez chwilę się wahał. Zostać czy uciec?

- Ja... ja... do Magdy – wyjąkał.
- Umówiony?
- Tak, tak – zapewnił pospiesznie.
- Klient nasz pan – zapewnił ochroniarz, gestem ręki zapraszając do środka.

Przeszli wzdłuż amfilady odgradzonych kotarami pomieszczeń, w których młode dziewczyny uśmiechały się do internetowych kamerek w laptopach i rozbierały zgodnie z płynącymi z nich poleceniami. Weszli po schodach, ochroniarz zapukał do drzwi. Uchylił je i zapytał:

- Czy można, pani Magdo?

Potem wpuścił Tymona do środka i zamknął za nim drzwi.

W środku nie było łóżka, którego Tymon przede wszystkim się tu spodziewał. Zamiast niego stało wielkie biurko i trzy otwarte laptopy. To nie był pokój prostytutki. To był pokój dowodzenia. Młoda kobieta ubrana w garsonkę spojrzała na niego pytająco.

99.24

W przedziale tylko ja i dwie trzydziestolatki. Udaję, że śpię, dla niepoznaki nawet poświstuję, więc się nie ograniczają.

- Kradniesz w sklepach, naprawdę? Dlaczego?
- Dla adrenaliny. Moje życie jest tak nudne, że można umrzeć. Mąż, dzieci, pranie, sprzątanie, gotowanie, prasowanie, a jedyna okazja założenia szpilek to wywiadówka.
- Rozumiem cię, ale żeby kraść?
- A ty? Ciebie to wszystko nie nudzi? Nie masz ochoty się zbuntować?
- Czasami się buntuję.
- Jak?
- Na przykład sortuję śmieci do różnych worków, a potem i tak wrzucam wszystkie do jednego kubła.

99.25

Nie ma sensu o uczuciach mówić z pełnymi ustami.

- Jesteś moją miłością – mówię podczas śniadania.
- Jesteś oją ością – odpowiada.

Miłość to po prostu wynik dodawania nas do siebie.

99.26

W nocy, kiedy się kochamy, kładzie jak zwykle moją dłoń na swoim podbrzuszu, abym wytatuowanego kozła zapytał o zgodę. Nie goli miejsc intymnych, jej drobne, delikatne włoski zazwyczaj mnie rozczulają, przypominając o naturalnej dziewczęcości Tulinki, ale dziś nie są delikatnymi włoskami, pod palcami czuję szorstki dotyk i mam wrażenie, że to sierść kozła, który nie wyraża zgody. Nie mówię jej jednak o tym i miękko w nią wchodzę, co tam głupi kozioł będzie się do nas wtrącał.

99.27

Tulinka narzeka, że chłodno jej w stopy, więc grzebie w mojej szafie, wyciąga szufladę,

a z niej co i rusz kolejne skarpetki nie do pary i narzeka, że mam nieporządek. Tłumaczę jej, że to nie moja wina, bo skarpetki często chodzą swoimi drogami, czasami dochodzi między nimi do nieporozumień, zupełnie jak u ludzi, i bywa, że się ze sobą rozstają. Wśród par dochodzi także do zdrad pospolitych i zwykłych porzuceń, a wtedy skarpetka z jednej pary łączy się ze skarpetką z pary zupełnie odmiennej, swoją poprzednią towarzyszkę pozostawiając w samotności.

W mojej szufladzie pełno jest flirtów i romansów, a nawet zdrad i cudzołóstwa, wszystko to dzieje się wtedy, kiedy nie patrzę, a gdy zaglądam tam nad ranem, to widzę już tylko ogrom par rozbitych, wiele skarpetek porzuconych, odtraconych i przez te drugie niechcianych. Bywam świadkiem skutków rozpusty, a nawet gorszących wynaturzeń, gdy na przykład podkolanówka do garnituru splata się w kłębku ze sportową stopką. Życie w mojej szufladzie jest grzeszne i rozwiązłe, a przez to pełne tęsknoty, bo trudno nie tęsknić za kimś, z kim było się sparowanym na wieczne przeznaczenie albo do dziury na pięcie.

Ludzie niczym nie różnią się od skarpetek, koniecznie muszą być w parach.

99.28

Słyszę, jak Tulinka przygotowuje coś w kuchni, wchodzę i widzę, że miksuje coś w misce, którą trzyma między rozchylonymi udami. Na mój widok z uśmiechem mówi:

– „Bóg dał człowiekowi pożywienie, a diabeł kucharzy”, jak pisał Lew Tołstoj.

Pytam ją, dlaczego siedzi w kuchni i świruje mikserem, zamiast siedzieć ze mną i pozwalać się obmacywać. A ona odpowiada, że kręci masę makową na ciasto czy coś, bo przez żołądek do serca, i takie bzdury.

– Kochanie – mówię jej – odłóż ten mikser. Kobiety mieszają mężczyznom w głowach, kręcąc biodrami.

99.29

Scena miłosna w kuchni przy stole

Pytasz, czy cię kocham
odpowiedziałbym natychmiast
ale nie mogę
za plecami świszczy czajnik.

99.29

Pierwszy atak na Mary Jazz

Mary Jazz ze zdziwieniem spojrzała na mężczyznę stojącego w drzwiach.

– Pan do mnie?

– Pani jest Magdą? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

Przez chwilę milczała. W tym świecie żadna dziewczyna nie używa swojego imienia.

Wprawdzie na początku tej pracy Lena taki nadała jej pseudonim, ale poza bossem i ochroniarzami nikt w ten sposób się do niej nie zwracał.

– Tak, nazywam się Magda – odparła po chwili wahania.

– Ma pani pozdrowienia z Irlandii. – Tymon się uśmiechnął, próbując nadać swojej twarzy wyraz w miarę naturalny. – Przyszyła mnie Maks.

– Maks? – zdziwiła się kobieta.

– Pani były kierowca...
Znów chcą mnie sprawdzić – pomyślała Mary Jazz. To jakaś prowokacja, na pewno wymyślona przez bossa.

- Ach tak... – Zrobiła minę, jakby dobrze wiedziała, o kogo chodzi.
- Tymon odetchnął z ulgą. Był pewien, że znalazł się u właściwej osoby.
- Co tam u niego? – Postanowiła blefować.
- W porządku. Jestem jego przyjacielem. Przysłał mnie do pani.
- A w jakiej sprawie, jeśli mogę spytać?
- W sprawie majątku Grohmanów.
- Tak, oczywiście.

W Łodzi wszyscy wiedzą o rodzie Grohmanów. Pół miasta do nich należało. Starła się w pamięci znaleźć cokolwiek o ich majątku. Po głowie chodziły jej strzępy informacji – Niemcy, druga wojna, złoto.

– Chcielibyśmy z Maksem odnaleźć kosztowności, o których mówił pani klient – wyjaśnił Tymon. – Liczymy na to, że pani nam pomoże. Oczywiście podzielimy się sprawiedliwie.

Spojrzała na niego oczami okrągłymi ze zdumienia. Spodziewała się stu innych wariantów, ale nie takiego. Zrozumiała, że na szczęście nie jest to prowokacja bossa, lecz jakieś nieporozumienie. Odetchnęła z ulgą.

– Zastanowię się, proszę pana – odpowiedziała, by zyskać na czasie. – Proszę przyjść za kilka dni. Po długim weekendzie.

Odwróciła się, by uchylić nieco okno. Miała wrażenie, że w pokoju powietrze zgęstniało. Nie zauważyła, że mężczyzna wyciągnął z kieszeni mały flakonik i jednym ruchem wlał jego zawartość do szklanki z wodą stojącej przy laptopie.

- Jeśli można, to w takim razie zostałbym z panią – zaproponował Tymon.
- W jakim sensie?
- No, w takim, w jakim w klubie nocnym mężczyzna zostaje w pokoju z kobietą...

Mary Jazz zatkało ze zdumienia. To nie był przecież typowy nocny klub, tylko baza wirtualnych schadzek. Poza tym dla wszystkich od początku było jasne, że jako menadżerka VIP-roomu jest osobą do zleceń specjalnych. Do ściągania najbogatszych klientów. Tym samym ma gwarantowaną nietykalność. Gdy niczego nieświadomy mężczyzna zbliżył się o krok i wyciągnął rękę w kierunku jej piersi, złapała ją w nadgarstku. Błyskawicznie obróciła się, pochyliła i przerzuciła mężczyznę przez bark. Kiedy znalazł się na podłodze, przycisnęła kolaniem jego szyję.

– Zrobisz jeden ruch, a zmiążdżę ci krtań.

To wszystko działo się zbyt szybko, by mogli dostrzec otwierające się drzwi i bossa wchodzącego do pokoju.

99.30

Kamasutra

Nie mogę się z tobą kochać do góry nogami,
bo mi się od ciebie kręci wtedy w głowie.

99.31

Świetnie mówi po polsku, ale w pisaniu popełnia mnóstwo błędów. Pyta, jak może się

nauczyć polskiej ortografii. Przedstawiam jej krótki kurs ortografii dla małomównych seksuoholików:

- Hm... – mruknął, żeby jakoś zagaić.
- Oho! – krzyknęła lekko zaskoczona.
- Ech... – pomyślał rozczarowany.
- Ehe... – dodała, by jednak nie rezygnował.
- Uch – stęknął zadowolony.
- Och! – sapnęła po chwili.
- Aha... – pomyślał zadowolony.
- Ach! – jęknęła z rozkoszą.
- Ha! – skonstatował z dumą.
- Chi, chi, chi! – zaśmiała się w duchu. – Znowu udawałam. Nawet się nie uśmiechnęła.
- Okres mi się spóźnia – powiedziała.
- Poczułem ucisk w gardle.
- Ale bierzesz już chyba tabletki?
- Skąd ci to przyszło do głowy?
- No właśnie. Skąd?
- Nie mówiłaś, że nadal nie bierzesz.
- Nie pytałeś.

99.32

Jak zrobić dziecko domowym sposobem

Aby zrobić dziecko domowym sposobem,
bierzemy szczyptę dorosłego i głęboki oddech.
Dodajemy trzy płatki fiołków i koszyczek rumianku.
Wanilia, sól i miłość do smaku.
Składniki mieszamy, wystawiamy na słońce i patrzymy,
czy równo rośnie.

99.33

Spoglądam przez okno
na plac zabaw,
a tam huśtawka nastrojów.

99.34

Pamiętam, jak w końcu wybraliśmy się z Magdaleną do lekarza. Pierwszego, drugiego, trzeciego. Wreszcie do kliniki. Przeszliśmy cykl badań, po których okazało się, że Magdalena jest absolutnie zdrowa i może mieć dzieci. Ja jestem absolutnie zdrowy i mogę mieć dzieci. A jednak ich nie mamy.

– Wiecie, dlaczego często udaje nam się uniknąć chorób, chociaż zmarzliśmy, przewiało nas lub w pracy wszyscy kichają, rozsiewając wokół wirusy lub bakterie? – zapytał lekarz. – Bo mamy układ odpornościowy, który rozpoznaje wirusa, tak jak wartownicy rozpoznają zwiadowcę

obcej armii, i potrafi go unieszkodliwić.

Dokładnie tak samo było ze mną i Magdaleną. Jej układ odpornościowy rozpoznawał moje nasienie jako takiego obcego najeźdźcę i wysyłał przeciwciała, które walczyły z plemnikami. Fachowo nazywa się to niepłodnością immunologiczną i dotyczy mniej więcej co dziesiątego przypadku niepłodności.

– Boże, to okropne – szlochała Magdalena. – Przecież to jest tak, jakbym ja sama zabijała własne dzieci.

– Głuptasku, przecież plemniki to nie dzieci – przekonywałem, całując zapłakane oczy. – Niczego nie zabijasz, po prostu masz zbyt silny układ odpornościowy.

– To się będę przeziębiał, żeby go osłabić.

00.52

Drugi atak na Mary Jazz

Sytuacja była co najmniej dziwna. Mary Jazz klęczała na leżącym mężczyźnie, przyciskając kolanem jego gardło. W drzwiach stał boss w zwyczajowej marynarce marki Hugo Boss na polo od Ralpa Laurena i patrzył z ciekawością. Mary go dostrzegła. Wstała, otrzepała spódniczkę.

– Takie tam nieporozumienie – wyjaśniła krótko.

– Coś ty za jeden? – zwrócił się boss do gramolącego się z podłogi mężczyzny.

– Przyszedłem jako klient do tej pani – wymamrotał Tymon. – Ale widocznie nie przypadłem jej do gustu. Pójdę już sobie.

– Siadaj tam w kącie, pójdiesz, gdy pozwolę – odrzekł boss.

Podszedł do stołu.

– Gorąco tu – powiedział i sięgnął po szklankę z wodą. Wypił duszkiem.

Tymon mimowolnie jęknął. Wiedział, że wyciąg z czarciego ziela przeznaczony dla dziewczyny za chwilę zacznie działać.

Boss ponuro spojrział na Mary.

– Coś mi się tu nie zgadza, moja panno – powiedział złowróbnym głosem. – Nigdy nie spotkałem kobiety, która w ten sposób rozprawiłaby się z mężczyzną.

– Chodziłam na kurs samoobrony – skłamała Mary Jazz.

– Nie zgadzało mi się też to, co mówiłaś o swoim psie – dodał boss, wyciągając z kieszeni jakiś metalowy przedmiot.

Ma kastet – przemknęło Mary przez głowę. – Będą kłopoty.

– No to zobaczymy, czego cię nauczyli podczas tej samoobrony. – Boss stanął w rozkroku, wsuwając na palce metalową broń.

– Wszystko na pewno da się wytłumaczyć. – Mary Jazz cofnęła się na ugiętych w kolanach nogach, oceniając sytuację. Tymona powaliła bez trudu, każda policjantka ma za sobą cykl lekcji walki wręcz, ale boss wyglądał na zbira, który miał już za sobą niejedną walkę na śmierć i życie.

– No to jakiej rasy był ten pies, którego miałaś w Niemczech?

– Mówiłam przecież, owczarek starofrancuski – błyskawicznie przypomniała sobie życiorys wymyślony przez Interpol.

– A nie mówiłaś wtedy, że briard?

– Skądże znowu! Na pewno owczarek. – Była pewna, że do życiorysu dopisali jej owczarka, natomiast o briardach nie miała zielonego pojęcia.

– Ciekawe. Bo jeden z naszych ochroniarzy ma właśnie psa tej rasy. I mówi, że owczarek

starofrancuski i briard to jedno i to samo. Gdybyś naprawdę go miała, to musiałabyś o tym wiedzieć. – Zrobił kolejny krok w stronę Mary. – Przychodzisz z fałszywym życiorysem, walczysz jak wyszkolona agentka. A może ty jesteś agentką? Jeśli się przyznasz, trafisz tylko do klatki. Na czas potrzebny nam do spokojnego opuszczenia miasta. Jeśli się nie przyznasz, to cię zatłukę.

Przed oczami stanął jej widok metalowej klatki. Wiedziała, że żadna z kobiet tam zamkniętych nigdy nie wyszła. I jeśli ją w niej zamkną, to nie wypuszczą.

99.35

Moja determinacja religijna była raczej powierzchowna, więc próbowałem namówić Magdalenę na *in vitro*. Nie zgodziła się, bo Kościół twierdzi, że to grzech. Rozmawiała natomiast ze swoim spowiednikiem o inseminacji i ten wyjaśnił, że w przeciwieństwie do *in vitro* sztuczne unasienianie jest dopuszczalne, chociaż niektórzy teologowie mają zastrzeżenia. Pognaliśmy więc do lekarza, potem do kliniki. Całe życie wstydzilem się oddawać kobietom w laboratoriach mocz, a co dopiero spermę. Czerwony ze wstydu podałem skierowanie. W recepcji pani wręczyła mi plastikowy pojemniczek i skierowała do specjalnego pokoju z pisemkami erotycznymi, zaznaczając, że w razie potrzeby mogę też sobie włączyć DVD. Byłem tak zestresowany, że przeglądanie zdjęć roznegliżowanych kobiet nic we mnie nie poruszyło, zwłaszcza że po kilku minutach ktoś pomylił drzwi i nacisnął klamkę. Na szczęście zamknąłem się od środka, ale i tak sparaliżowało mnie ze strachu. No bo już wyobrażałem sobie, że ktoś wchodzi i patrzy, a tu ja ze spodniami opuszczonymi do kolan, w jednej ręce plastikowy pojemniczek, w drugiej penis, a na stoliku gołe panienki. Chciałem więc włączyć DVD, ale nie działało. Potrzasnałem pilotem, nic. Jakiś za lekki mi się wydawał, otworzyłem klapkę, patrzę, a tam nie ma baterii. Co za paranoja. Podciągam więc spodnie i wracam do recepcji.

– Proszę panią, w pilocie nie ma baterii – mówię konfidencjonalnym szeptem.

Patrzy na mnie bez zrozumienia.

– W jakim pilocie?

– No tym od DVD, co chciałem sobie włączyć w tamtym pokoju na końcu korytarza.

– A, w tamtym pokoju! – Recepcjonistka rozpromienia się w przyływie nagłego zrozumienia. Po czym otwiera szufladę i szuka.

– Misia, masz jakieś baterie? – pyta w końcu koleżankę obok.

– Jakie?

– Zwykle, dwa paluszki.

– Nie, nie! – wtrącam się nieśmiało. – Paluszki to AA, a te są cieńsze i mają symbol

AAA.

– Aaa.

– No właśnie.

– No to nie mamy takich baterii. Proszę chwilę zaczekać.

Sięga po telefon.

– Panie Mirku, proszę mi przynieść dwie baterijki do recepcji. Takie cienkie, do pilota. Stoję przy tej recepcji, uszy mi płoną ze wstydu, czekam. Po dziesięciu minutach przychodzi mężczyzna w roboczych ogrodniczkach. Z kieszeni wyciąga pilot do bramy.

– Proszę – mówi, wręczając recepcjonistce.

– Ale ja nie potrzebuję pilota, tylko baterie.

– Przyniosłem pani nowy pilot, nie woli pani?

– To niech mi pan wyciągnie baterie, bo potrzebuję do pilota od DVD.

- A to trzeba było od razu mówić. Zaraz przyniosę.
- A te nie mogą być?
- Nie, bo te są mniejsze, A23, a do DVD potrzebne są AAA.
- Aaa.
- No właśnie.

99.36

Z Magdaleną dwa razy próbowaliśmy inseminacji. I nic. Od ślubu minęło ponad pięć lat, a my nadal nie mieliśmy dziecka. Lekarze mówili, że możemy jeszcze spróbować kolejne dwa razy, a jak się nie uda, to pozostaje już tylko metoda *in vitro*. Ale o *in vitro* Magdalena nawet nie chciała słyszeć.

Tymczasem zmienił się jej spowiednik. Przyszedł raz do nas z wizytą, wypytywał o dzieci. Powiedziała mu o naszych problemach, po czym z pewnym wstydem, ale i radością przyznała, że byliśmy dziś na trzeciej próbie inseminacji.

Ksiądz aż się za głowę złapał.

– Ależ moi drodzy! To grzech i niegodziwość!

Zamurowało nas. Zaczął wyjaśniać, że niemoralne jest oddawanie spermy poza łonem kobiety. W wyjątkowych przypadkach sztuczne unasiennianie jest przez Kościół dozwolone, o ile dochodzi do niego podczas obcowania męża i żony, a następnie nasienie jest przesunięte przez jedno z małżonków odpowiednim narzędziem medycznym. W ostateczności, biorąc pod uwagę względnie długą żywotność nasienia, można się zwrócić w tym celu do lekarza. To znaczy od razu po stosunku należy udać się do lekarza, aby to nasienie fachowo przesunął. Nie wolno natomiast pobierać nasienia poza organizmem kobiety i następnie go tam umieszczać. To grzech, w dodatku ciężki. Dlaczego? Wiele osób musiało zadawać sobie podobne pytanie, bo gdy do wyszukiwarki internetowej zacząłem wpisywać „czy inseminacja jest”, to najpierw pojawiła mi się podpowiedź „czy inseminacja jest akceptowana przez Kościół”, potem „czy inseminacja jest grzechem ciężkim”, a dopiero później „czy inseminacja jest refundowana przez NFZ”.

Nie chciałem tego krytycznie zgłębiać, bo wtedy jeszcze chodziłem do kościoła, ale to wszystko wydawało mi się niezrozumiałe i dziwne. Do dziś nie mam pojęcia, dlaczego kwestią religijną stało się moje oddawanie spermy.

Magdalena, podobnie jak ja, bardzo chciała mieć dzieci. Postanowiła więc w końcu odejść i mieć je z kimś w sposób po katolicku moralny, czyli bez ejakulacji poza jej łonem. I trafiła na tamtego młodzieńca pachnącego perfumami marki Hugo Boss.

99.37

Duszpasterz małżeństw w tygodniku „Niedziela”: „Kolejnym zagrożeniem jest stosunek przerywany. Przeszkadza w budowaniu jedności; w niektórych wypadkach może mocno poranić”.

Teraz wiadomo, dlaczego w szpitalnych izbach przyjęć czeka w kolejkach tylu poranionych.

99.38

W dziele narodowej prokreacji bardzo skuteczny jest planowy brak oświaty seksualnej. Jadę sobie na przykład tramwajem i słyszę taką rozmowę dwóch nastolatk:

- Wiesz, że Kasia jest w ciąży?
- Ale głupia.
- Z Jackiem wpadła.
- Z nim? Kretynka.
- Bzykała się z nim, a na drugi dzień poszła do apteki i zamiast postinoru kupiła posterisan.
- Ale głupia.
- No.
- A czym to się różni jedno od drugiego?
- No, pierwsze to „dzień po”, a drugie to na hemoroidy.

00.53

Kolejna demaskacja

Z wirtualnego klubu dla mężczyzn Tymon wracał roztrzęsiony. Najpierw ta dziewczyna, Magda, powaliła go na podłogę, jakby był jakimś smarkaczem. Swoją drogą, w ciągu zaledwie paru dni po raz drugi leżał powalony przez kobietę. A przecież miał przy sobie trzysta złotych, uczciwie by jej zapłacił. Potem wszedł ten wielki mężczyzna, zwany bossem. Wypił przez pomyłkę czarcie ziele przeznaczone dla dziewczyny i odleciał.

– Sam nie wiem, dlaczego nie wyjechałem z Łodzi na długi weekend – stwierdził ni stąd, ni zowąd, po czym usiadł na podłodze. – Prawie wszyscy wyjechali, nawet w klubie nie było wczoraj ani jednego wirtualnego klienta.

Potem zrzucił ubranie, bez żadnego szacunku dla marynarki marki Hugo Boss, i w samych majtkach położył się na podłodze.

– Opalam się – wyjaśnił. – Poproszę drinka z palemką, może być ta z parapetu. – Wskazał na rosnącą tam paprotkę.

Potem dostał halucynacji i bredził o kozach ciapatych, z którymi po kolei się ożeni.

Tamta dziewczyna stała w kącie pokoju i ze zdumienia nie mogła wykrztusić ani słowa. Tymon, nie czekając na to, co dalej będzie się działo, ruszył w kierunku drzwi.

Po kwadransie był w domu. Zajrzał do sypialni Leny. Łóżko było rozkopane, poduszki na podłodze. Domyślił się, że przed chwilą była z Grochem. Sprawdził kamerę. Rzeczywiście, nowe nagranie zakończyło się zaledwie parę minut temu. Przewinął do tyłu. Nagi inspektor leżał przykuty kajdankami do poręczy łóżka. Lena stała nad nim i powoli zdejmowała z siebie ubranie.

Tymon wyjął telefon i zadzwonił do Maksa.

– Klapa na całej linii – powiedział, gdy tamten podniósł słuchawkę. – Byłem dziś u tej twojej Magdy. Nic z niej nie wyciągnąłem.

– Jak to?

– Miałem dać jej skopolaminę, ale doszło do nieporozumienia. Skończyło się tak, że przerzuciła mnie przez bark i wylądowałem na podłodze.

– Co zrobiła? – zapytał Maks z niedowierzaniem.

– No przecież ci mówię. Przerzuciła mnie przez bark.

W słuchawce zapadła cisza.

– To w takim razie nie była Magda – odezwał się głos po drugiej stronie. – Pół roku temu trwale uszkodziła sobie bark, po pijaku przewracając się na schodach. Nie jest w stanie podnieść ręki powyżej łokcia.

– Jak to?

– Po prostu.

– To kim ona jest?
– Nie wiem.
– Mam tego dość – jęknął Tymon. – W dodatku ta jej przyjaciółka, Lena, o mało nie potraktowała mnie dziś gazem.
– A coś jej zrobił? – zdziwił się Maks.
– Prawie nic, a dostałem najpierw kolanem w krocze, potem od razu ten gaz.
– Chwileczkę... – Maks zawiesił na chwilę głos. – A mógłbyś opisać mi tę dziewczynę, która podaje się za przyjaciółkę Magdy? Jak ona ma na imię?
– Lena. Taka bardzo ładna blondyneczka. Zadarty nosek, wąska talia. Bardzo drobna i nieproporcjonalnie duży biust. Pewnie silikonowy.
– Tak, to jest silikon.
– Skąd wiesz?
– Znam ją. Widziałem ją kilka razy w akcji. Jest słaba fizycznie, więc do perfekcji opanowała ten rodzaj obrony: zawsze najpierw cios w splot słoneczny, od razu kopniak w krocze, potem zawsze wyciąga gaz. Jej popisowy numer. To właśnie Magda, nie Lena.

99.39

Owszem, wszystko jest cudne – morza, lasy, góry, niebo, gwiazdy, księżyc, deszcz, świt, śpiew ptaków, smak źródlanej wody i zapach łąki, ale nic w swej cudowności nie dorównuje rozbieraniu kobiety. Zastanawiam się, w którym momencie stwarzania świata Pan Bóg to wymyślił.

99.40

– Muszę ci coś powiedzieć – zaczęła niepewnie Tulinka.
– To powiedz.
– Okres mi się nadal spóźnia.
– E tam. Pociągi też się spóźniają.
– Tak, spóźniają się, ale nie o tydzień. Ani o dwa tygodnie. A tym bardziej o trzy.
– Chyba że są odwołane?
– Tak, ten wygląda na odwołany.
W ten sposób dowiedziałem się, że jest w ciąży.

99.41

Zawsze chciałem mieć dziecko. Jako jedyny ślad, że żyli, zostanie po niektórych ludziach tylko ostatni wydruk EKG.

99.42

Jeżu, jak się cieszę. Ale emocje zbyt duże.
Przyjeżdża lekarz i mierzy mi ciśnienie. Przez chwilę nie może się z Tulinką porozumieć.
– 180 na 90 – mówi lekko zafrasowany.
– Proszę? – dziwi się Tulinka.
– 180 na 90.
– Dwa.

- Co dwa?
- 180 przez 90.

99.43

Śni mi się, że słyszę zbliżający się sygnał karetki pogotowia. Po chwili pod domem zatrzymuje się ambulans.

Do drzwi dzwoni lekarz.

- Ktoś tu jest chory.
- Nie, wszyscy zdrowi.
- No to będzie chory.
- Nie, nie wzywaliśmy nikogo.
- Teraz służba zdrowia jest taka szybka, że przyjeżdża przed wezwaniem.

99.44

Tulinka przed lustrem czesze włosy.

– Wiesz, ilekroć moją matkę dopadały smętne myśli, siadała przed lustrem i czesała się powolnymi, długimi pociągnięciami szczotki, przynosiło jej to ulgę podobną do tej, jaką czuła za każdym razem po wizycie u fryzjera, skąd wychodziła lekka i podniesiona na duchu, jakby istniała jakaś teoria smętności mówiąca o tym, że z każdym smutkiem trzeba natychmiast się do niego udać, chociażby po to, by przyciąć warkocze lub wyrównać grzywkę, bo wszelkie nieszczęścia kobiet chowają się w końcówkach włosów.

99.45

Chodź, zrobimy coś niemożliwego.

Może na przykład uda nam się miłość.

99.46

Przy tobie zawsze jestem na swoim miejscu.

00.54

Śmiertelne wizje bossa

Mary Jazz nie mogła uwierzyć własnym oczom. Boss leżał na podłodze w samych majtkach i mówił zupełnie od rzeczy.

– Byłem wczoraj na Arturówku, żeby może jakąś dziewczynę przywieźć, ale tam latają w powietrzu same rosyjskie agentki. Ty też jesteś rosyjską agentką. Wszystkie jesteście rosyjskimi agentkami nasłanymi przez Putina.

Bredził, ale poza tym wyglądał zupełnie niegroźnie. Pewnie się naćpał. Mary Jazz pomyślała, że to nieco za wcześnie, by kończyć akcję, jednak z tego, co boss powiedział, wynikało, że jest spalona. Zamierzała uprzedzić o wszystkim Petra i już sięgała po ukryty nadajnik, gdy nagle boss powiedział coś, co ją zmroziło.

– A ten twój Petr to też jest przecież agent Putina.

Nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Jaki Petr? – próbowała dopytać.

– Ten, który kupił ci na imieniny latającą wannę z kawiozem.

Miał halucynacje, ale wplatał w nie informacje, których nie zmyślał, fakty, o jakich nie miał prawa wiedzieć.

Najgorsza z myśli przyszła jej do głowy. Petr ją zdradził? Dogadał się z przestępcami? Nie mogła uwierzyć. Nie, raczej mafia ma wtyczkę w policji. Wiedziała o wizytach inspektora u Leny. Spojrzała na nadajnik. Z ociąganiem schowała go z powrotem. Zrozumiała, że na razie musi polegać na sobie.

Tymczasem boss zaczął śpiewać. Głośno, na całe gardło wykrzykiwał słowa jakiejś piosenki. Drzwi się otworzyły i pokazała się w nich twarz jednego z ochroniarzy. Spojrzał na bossa. Zmarszczył brwi.

– Wszystko w porządku, szefie?

Boss usiadł na podłodze i zaczął płakać.

– To wszystko przez nią – wskazał palcem na Mary Jazz. – Ona jest rosyjską agentką naslaną przez agentów KGB, przyleciała tu w wannie z kawiozem.

Ochroniarz powoli sięgnął do pasa z przytroczoną teleskopową pałką.

– O co tu chodzi, szefie?

– O wojnę z Putinem, drogi bracie – odrzekł boss, wstając z podłogi. – My też nałożymy na niego sankcje. Powiedz chłopakom, żeby wszystkie ruskie tirówki zabrali z poboczy i odesłali mu z powrotem. Nie widziałeś tu gdzieś zaparkowanej wanny? Zjadłbym kawioru.

Powiedziawszy to, zachwiał się i bezwładnie runął na podłogę. Ochroniarz pochylił się nad nim.

– Szefie, co jest? Dobrze się czujesz?

Nie odpowiedział.

Mary Jazz pochyliła się nad mężczyzną. Przyłożyła mu palce do tętnicy szyjnej, potem złapała za przegub ręki, starając się wyczuć puls.

– On nie oddycha. Nie żyje – orzekła po chwili.

– Coś ty mu zrobiła? – krzyknął ochroniarz, unosząc metalową pałkę.

99.47

– Przynieś mi ręcznik, bo zapomniałam! – zawołała przez lekko uchylone drzwi łazienki.

Stała w wannie pod prysznicem. Patrzyłem, jak woda płynie strużkami wzdłuż jej szyi, potem zakręca nad obojczykami, dociera do ramion i znów zmienia kierunek, otacza piersi z obu stron, a najcieńsza ze strużek wspina się ku sutkom i potem opada na brzuch, wciąż płaski, ale już niedługo. Wkrótce on też się uroczo zaokrągli. To będzie jej krągłość dla mnie albo moja dla niej, skoro ja ją w niej zrobiłem, nasza wspólna krągłość, od dawna przeze mnie wymarzona.

Ciąża Tulinki na razie widoczna jest tylko w huśtawkach nastroju. Po kąpieli wytarłem podłogę ręcznikiem.

– To, do cholery, mój ręcznik z Benettona za dwieście pięćdziesiąt złotych! – wrzasnęła.

– A kto kupuje takie drogie ręczniki? – spytałem. – Przecież za dwieście pięćdziesiąt złotych to pięć dobrych ręczników można kupić. Tyle że bez napisu „Benetton”, ale człowiek nie wyciera się przecież napisem, lecz ręcznikiem.

Rozpłakała się, jakby rzeczywiście wycierała się napisem.

99.48

- Co jest ze mną nie tak? Mam za płaski tyłek? Za małe piersi?
- Nie, no coś ty, są cudne.
- To czego ci we mnie brakuje?
- Niczego!
- Przecież widzę!
- Szczerze?
- Tak.
- Spisu treści. Wciąż się w tobie gubię.

99.49

Tulinka, piekielnie wściekła:

- Nie wchodź na wagę, jeśli miałas ciężki dzień.

99.50

Boże, jak my do siebie pasujemy – powtarzam po raz trzeci, jakbym stał przed skarbcom i wypowiadał zaklęcie, które go otworzy. I skarbiec rzeczywiście otwiera się przede mną. Splatasz stopy i nogami obejmujesz mnie w pasie na tyle mocno, że cień niepewności się nie przeslizgnie. Twój brzuch dzieli od mojego tylko parę sekund, a po chwili nagle mówisz, że kwitną kwiaty pomarańczy i pada ciepły deszcz. Początkowo zaledwie mżawka, ale nadciąga ulewa. W końcu przychodzi urwanie chmury, ziemia tętni, niebo otwiera się nad nami gorące jak piekło, a pomarańcze są pełne soku i pękają na drzewach. Tęcza kręci się jak szalona w osiemdziesiąt dni dookoła świata i nie można już jej zatrzymać. Pod naszymi oknami niczego nieświadome matki pokazują ją małym dzieciom, tłumacząc, że tęcze powstają z wody, która paruje – matki kłamią, bo przecież tęcze są z orgazmów.

Miałem zamiar podejść do ciebie i zapytać, czy masz wolny wieczór, ale uświadomiłem sobie, że wieczór to za mało, więc chciałbym zapytać od razu, czy masz dla mnie wolne całe swoje życie.

99.51

- Jestem otwartą misą na twoje DNA – powiedziała Tulinka.

Pewnie miała na myśli to, że nie musimy już uważać ani używać zabezpieczeń, ale słowa te niepokojąco skojarzyły mi się z jej obrazami. Tym niemniej nie ma nic przyjemniejszego niż seks z kobietą, która jest w ciąży, za każdym razem czułem się tak, jakbym potwierdzał to, co już zostało przesądzone.

00.55

Uwięziona

Ochroniarz uniósł do góry teleskopową palkę i ruszył na Mary Jazz. Był o pół kroku przed nią. Postawiła swoją prawą stopę przy jego stopie, złapała za ramię i odwróciła się, by go przetrzucić przez biodro. Robiła to dziesiątki razy, głównie na ćwiczeniach, ale nigdy z kimś, kto był dwa razy cięższy.

Ochroniarz stracił równowagę, ale zamiast przelecieć przez jej biodro, przygniótł ją tak, że oboje znaleźli się na podłodze. Niestety – Mary Jazz twarzą do dołu, a on na niej. Chwycił ją

za włosy, uniósł głowę i mocno uderzył o podłogę. Próbowwała się wyrwać, ale nie dała rady. Uderzył jeszcze raz. Ogarnęła ją ciemność.

Miała wrażenie, że śpi i w tym śnie ktoś ciągnie ją po podłodze. Jak przez watę usłyszała metaliczny odgłos otwieranego zamku, a potem poczuła, że pada na coś twardego, i wszystko ucichło.

Obudził ją potworny ból. Pomyślała, że zaraz rozsadzi jej czaszkę. Dotknęła twarzy. Skorupa zaschniętej krwi. Dotknęła nosa. Jęknęła. Z pewnością złamany. Przesunęła dłonią w kierunku ust. Spuchnięte i popękane, jakby walczyła z bokserem.

Sięgnęła do szlufki z nadajnikiem. Z ulgą zorientowała się, że sygnał o natychmiastową pomoc został już wysłany. Nie pamiętała, kiedy to zrobiła. Może wtedy, gdy ten zbir taszczył ją jak worek ziemniaków.

Oczy powoli przyzwyczyły się do ciemności. Wyłonił się kontur jakiegoś regału. Wyteżyła wzrok. Nie było wątpliwości. Obok stał regał szalonego konesera, a na nim buty porwanych kobiet. Odruchowo sięgnęła do stóp. Były bosc.

Powoli wstała. Poczuła zawrót głowy. Oparła się o ścianę. Chłód metalu. Wiedziała, że to nie ściana, lecz kraty metalowej klatki. Oburącz złapała za pręty w drzwiach. Potrząsnęła raz, drugi, trzeci. Bezskutecznie.

– Ratunku! Czy ktoś mnie słyszy? – krzyknęła.

Cisza. Żadnej odpowiedzi. Opadła na ziemię, płacząc z bezsilności.

– Czy ktoś mnie słyszy?

– Ja – usłyszała cienki głosik. Dopiero wtedy dostrzegła, że w kącie klatki siedzi skulona dziewczyna. Drobna, ruda, całkiem naga. Chciała do niej podejść, ale tamta zatrzymała ją gestem dłoni.

Nie wiedziała, jak długo to trwało. Godzinę, dwie, cztery? W końcu usłyszała, jak drzwi podziemia otwierają się z lekkim skrzypnięciem. Wielki cień padł na podłogę, potem przesunął się na ścianę. Na chwilę znikł w labiryncie pomieszczeń, po czym pojawił się ponownie. Ostrożnie zbliżył się do klatki.

– Mary? Jesteś tu? – dobiegł ją szept.

– Petr!

Oboje w tym samym momencie dopadli do drzwi klatki. Wsunął ręce za kraty, złapał kobietę w pól.

– Nic ci nie jest?

– Nos mam tylko rozwalony. – Starła się bagatelizować sytuację.

Zbliżyła twarz do krat i poprosiła:

– Pocałuj mnie. Bałam się, że nie przyjedziesz.

– Zdążyłem – odpowiedział. – Nie wiesz, gdzie znajdę klucze?

Chciała coś powiedzieć, ale ktoś ją ubiegł.

– W mojej kieszeni – rozległ się spod ściany tubalny głos z wyraźnym obcym akcentem.

99.52

Tulinka:

– Kobiety, które całymi dniami starają się utrzymać porządek w domu, nie utrzymają tam swoich mężczyzn.

Staram się od czasu do czasu posprzątać, ale walka z jej latającą garderobą jest jak walka Don Kichota z wiatrakami. Każdy dzień zaczyna się tak samo. Tulinka wyłącza dzwoniący budzik, śpi jeszcze pół godziny, potem zrywa się z łóżka, jak tornado przelatuje przez kuchnię,

zostawiając wszędzie piekielny bałagan. Potem tornado leci przez łazienkę. Tulinka ubiera się w pośpiechu, zazwyczaj coś jej nie odpowiada fasonem lub kolorem, zrzuca więc wszystko z siebie, oczywiście na podłogę. Ale te chwile to akurat lubię, gdy stoi w samych majteczkach.

I tak trzy, cztery razy, zanim się wszystko szczęśliwie na niej poukłada. Po powrocie z pracy już na spokojnie wiesza zdjęte ubrania na poręczach krzeseł. Dziś policzyłem te krzesła. W całym domu jest piętnaście, a na każdym coś wisi z części jej garderoby, niekiedy od miesiąca.

- Dlaczego nie powieszysz tego w szafie? – pytam.
- Bo rzeczy noszonych nie wiesza się w szafie.
- Przecież większości nie nosiłaś, tylko przymierzałaś.
- Nie znasz się.

Pewnie, że się nie znam. Kiedyś piekarz z sąsiedztwa, wkurzony tym, że klienci macają chleb przed zakupem, powiesił taki napis: „Pieczywo dotknięte uważa się za sprzedane”. Z ubraniami Tulinki jest podobnie, wyjęte z szafy uważa się za noszone.

A co na to Tulinka?

- Bałagan to porządek, który się znalazł nie na swoim miejscu.

À propos.

Smutne jest życie niektórych sprzętów AGD. Taka pralka, lodówka lub blender – chodzą i chodzą, a nigdzie nie dojdą. Odkurzacz to co innego. Ten to sobie przynajmniej pojeździ.

99.53

W redakcji rozmawiają dwie lektorki.

– Mówię ci, mam wyżej uszu tej roboty, od pół roku pracuję w programach kulinarnych. Cały czas mówię o jedzeniu i jak patrzę na te wszystkie potrawy, które oni gotują, to mam bezustanne napady głodu. Więc zrę tyle, że przytyłam sześć kilo.

– Ja to mam lepiej, bo robię w programach przyrodniczych. Biegnie antylopa, biegnie, a ja sobie spokojnie papieroska pykam, bo o czym tu gadać. Nagle pojawia się lew, no to mówię, że pojawił się lew, chociaż i tak wszyscy widzą, że pojawił się lew. Goni tę antylopę, goni, to sobie znów pykam, a gdy ją dorwie, to robimy cięcie, a ja mówię, że taka jest natura zwierząt. Bajka nie praca, powiadam ci.

- Super. Ja wcześniej byłam lektorką przy porno, ale też się cały czas objadałam.

99.54

Codziennie staję naga przed lustrem, patrzy na swoje piersi i patrzy, czy już jej rosną. Patrzę razem z nią, żeby nie przeoczyć.

- Przestań gapić się tak na moje cycki!
 - Coś ty! Zaglądam przecież w twoje serce!
- No i tyle nieporozumień przez to, że kobiety mają dekolt w pobliżu serca.

99.55

Wieczorem, kiedy nie może zasnąć, pyta mnie, jak było kiedyś, ale nie na przykład przed dekadą, tylko bardzo, bardzo dawno temu, jakbym był starszy od niej nie o dwadzieścia zwykłych lat, lecz o lata świetlne. Zatem mówię jej, że było to tak: na początku panował porządek. Wszystkie gwiazdozbiory były poukładane. Wielki Wóz znajdował się tuż za gwiazdozbiorem Konia, a za nim rozpościerał się układ Wielkiej Niedźwiedzicy. Gwiazdozbiór

Raka był obok gwiazdozbioru Syren, obok Muszli oraz Ryby, a gwiazdozbiór Węża ulokował się przy gwiazdozbiorze Skorpiona. Księżycy świeciły cztery, wyznaczając końce ramion Krzyża Południa. Gdy spadała gwiazda, na Ziemi rodził się człowiek. W miejscu jego urodzin spadał deszcz. Miłość razem z perłami rodziła się w oceanach, stamtąd parowała i opadała na ziemię wraz z deszczem. Ludzie byli jej pełni, ich organizmy składały się tak samo z wody, jak i z miłości. Dlatego do dziś, jeśli przy kimś nie ma miłości, mówimy, że człowiek ten usycha z tęsknoty.

Nie było złych snów, tylko same dobre. Opiekowały się ludźmi od zmroku aż po świt, a raniem zaparzały kawę.

99.56

Tulinka mówi, że widzi światła w domu naprzeciwko. Podchodzę do okna. Nic, ciemno, żadnych światel.

– Przed chwilą jeszcze były – zapewnia.

Nie wie, co mówi. Jest tak osłabiona, że w tym miesiącu przechodziła już katar, zapalenie zatok i ludzkie pojęcie.

00.56

W potrzasku

Petr sięgnął po broń, ale mężczyzna stojący pod ścianą był szybszy. Rzucił się w jego kierunku. W dłoni błysnęło ostrze noża. Mary Jazz usłyszała cichy świst i po chwili zobaczyła, jak Petr miękko osuwa się na ziemię. Jej przeraźliwy krzyk odbił się echem w labiryncie podziemnych pomieszczeń.

Nieznany mężczyzna podszedł, pochylił się nad Petrem. Przeszukał kieszenie, wyjął mu z kabury pistolet, po czym zwrócił się do Mary.

– Witaj, Magdo. On jeszcze żyje. Ale bez pomocy umrze – powiedział, cedząc słowa. – Ty możesz mu pomóc.

Widać było, że jest cudzoziemcem, mówił niewyraźnie, powoli dobierał wyrazy.

– Zadzwoń po pogotowie, błagam! – krzyknęła.

– Oczywiście. Jest warunek. Tylko jeden.

– Mów!

Uśmiechnął się.

– Ach, te zakochane kobiety.

Sprawił wrażenie naprawdę rozbawionego.

– Powiesz mi, gdzie znajdę złoto Grohmanów – zażądał.

Mary Jazz pomyślała, że źle słyszy.

– Jakie złoto? – zapytała słabym głosem.

Spoważniał.

– Przyleciałem do ciebie z Irlandii. Masz pozdrowienia od Maksa.

– Ale to jest jakaś pomyłka! Nie znam żadnego Maksa!

Mężczyzna pochylił się nad Petrem.

– Źle z nim – orzekł.

Mary Jazz ze złością zaczęła szarpać metalowymi drzwiami klatki. Dziewczyna siedząca w kącie zasłoniła dłońmi uszy.

– Maks, twój kierowca, twierdzi, że poznałeś tajemnicę jednego ze swoich klientów –

powiedział spokojnie mężczyzna. – I jest to informacja o miejscu, w którym ukryte jest złoto. Dla wszystkich lepiej będzie, gdy mi o nim powiesz, Magdo.

– Nie jestem Magdą!

– Gadanie. Tamten ochroniarz na górze mówił co innego – stwierdził mężczyzna. – Zresztą jemu też przydałaby się pomoc. Za chwilę obu będziesz miała na sumieniu.

– Szukasz kogoś innego! Dziewczyny, przez którą się tu znalazłam! To ona mnie wyspała!

– Chyba ci nie wierzę.

– Dam ci jej adres – zaproponowała.

Mężczyzna wyjął papierosa, pstryknął zapalniczką. W jej świetle zobaczyła rude włosy i piegowałą twarz.

– Zróbmy *deal* – zaproponował. – Zabieram cię stąd. I będę trzymał jako zastaw, dopóki nie znajdę swojego złota.

99.57

Przykry dźwięk budzika budzi mnie przed świtem, uciekają przyjemne, a niedokończone sceny ze snu, chcę uciszyć dzwonek, więc gwałtownie odrzucam ramieniem kołdrę, zbyt gwałtownie, bo czuję ostry ból w okolicy barku, snu miłego na pewno nie dośnię. Z dnia na dzień ból rośnie, po tygodniu staje się nie do zniesienia, dzwonię do znajomego ortopedy, mówi, że pewnie naderwałem śpiący jeszcze mięsień, mam przyjść do przychodni, to zobaczy. Przychodnia jest specjalna, dla sportowców. W poczekalni czterech wielkich drabów, przynajmniej dwóch znam z telewizji. Opowiadają, co się komu stało. Jeden miał uraz na boisku taki, a drugi taki, trzeci przedźwignął się na siłowni, bo wziął z podrzutu dziesięć kilogramów na sztandze za dużo, czwarty zaś naciągnął ścięgno na macie podczas zakładania podwójnego nelsona. W końcu patrzą na mnie pytająco, a ja nic, udaję, że mnie nie ma, liczę halogeny na suficie.

– A ty coś przetrenował? – pyta mnie w końcu ten od sztangi.

Odpowiadam z wyrażającą cierpienie miną:

– Odrzuciłem kołdrę, żeby wyłączyć budzik. Strasznie głośny był.

– Fakt, budzik to chujowa sprawa – przyznają ze współczuciem.

99.58

Przychodzę do redakcji, a tam o urokach języka polskiego.

– A gdzie jest ta miła stażystka z Anglii?

– Zrezygnowała.

– Dlaczego? Tak dobrze jej szło!

– Przez pięć minut usiłowała przeczytać na antenie komunikat: „Zapraszamy też na bal sylwestrowy do miejscowości Krzywińskie, gmina Pozezdrze, powiat węgorzewski”.

99.59

Tymczasem są rzeczy oczywiste.

W cukierni. Dwóch klientów i ekspedientka.

– Dzień dobry, czy jest ciasto z baobabem?

– Jest.

- To poproszę pół kilograma.
- Drugi klient po wyjściu tego pierwszego:
- Skąd pani wiedziała, że chodzi mu o rabarbar?
- Każdy by się domyślił.

99.60

Czekam na Tulinkę, podsłuchując rozmowę kilku studentów przed wydziałem malarstwa.

– Wiecie, że mój brat dostał wczoraj wpierdol za to, że siedział w parku i na głos powtarzał deklinację po niemiecku?

- E tam, ja po wakacjach dostałem za to, że byłem opalony.
- A ja za to, że nie kibicuję ŁKS-owi.
- Ja za to, że nie miałem papierosów, żeby poczęstować.
- A ja nie dołożyłem się na flaszkę.
- Wracalem z manifestacji.
- Właściwie to dziś można dostać za byle co.
- Tak, Polska to kraj wielu możliwości.

99.61

– Do diabła, tam jednak palą się światła! – krzyczy Tulinka, wskazując przez okno dom z naprzeciwka.

Podchodzę, przyglądam się uważnie i nie widzę żadnych świateł, dom stojący po drugiej stronie ulicy jak zawsze pogrążony jest w mroku.

00.57

O czym wie mapa

Blażane pudełeczko z czarcim zieleń było na swoim miejscu. Tymon wysypał na dłoń resztę ziaren. Puste pudełko upadło mu na podłogę, stopą pchnął je pod stół, później wszystko posprząta. Ruszył do kuchni, by po raz drugi przyrządzić miksturę. Mając w pamięci halucynacje bossa mówiącego zupełnie od rzeczy, zmniejszył dawkę o połowę. Środek tym razem powinien zadziałać jako serum prawdy.

Zbliżało się południe, a Lena wciąż była w łóżku. Wszedł do jej pokoju.

– Zrobić ci herbaty? – zaproponował.

– Poproszę. Może być zielona albo ziołowa. A coś ty taki dobry z samego rana? – przeciągnęła się, spostrzegając z satysfakcją, że nie może oderwać od niej wzroku.

Tymon przyniósł herbatę. Napar był w małym czerwonym imbryczku, tak jak lubiła, a wrzątek w porcelanowym dzbanku. W milczeniu patrzył, jak wypija ją drobnymi łykami.

- Dziwny ma smak – zauważyła.
- Ziołowa, jak chciałaś.

Przez kilka minut rozmawiali o pogodzie, korkach w mieście i ostatnim meczu ŁKS-u. Z niepokojem pomyślał już, że tym razem mikstura była za słaba, ale ni stąd, ni zowąd Lena powiedziała:

- Podobasz mi się, szkoda, że ten policjant tu przychodzi.
- Jak masz na imię? – zapytał.
- Mówiłam ci przecież.

– Powiedz jeszcze raz.
– Lena. Magda, Lena. Może Magdalena. Nie jestem dziś pewna.
– A jak Maks do ciebie mówił?
– Tak jak wszyscy znajomi.
– To znaczy?
– Magda.
Serum prawdy zaczęło działać.
– Co wiesz o złocie?
– Złoto jest cenne. Kowalne, nie jestem pewna, co to znaczy, ale ze szkoły jeszcze pamiętam, że kowalne. Lubię złoto. Znalazłam szpulkę ze złotą nicią i byłam z nią u jubilera. Powiedział, że to być może z fabryki Grohmanów, którzy mieli zamiar szyć złotogłów.
Nie spodziewał się, że pójdzie tak łatwo.
– Co mieli szyć? – zapytał.
– To taki materiał przetykany złotą nicią, bardzo kosztowny. Ceny zrobionych z niego rzeczy sięgają dziesiątków tysięcy euro. A może setek tysięcy, już nie pamiętam.
– Co jeszcze ten jubiler powiedział?
– Że ktoś już go pytał o złote nici. Prawdopodobnie szyje się z nich piękne kobiety.
Tymon pomyślał, że za chwilę Magda wejdzie w fazę halucynacji i tak jak boss zacznie mówić od rzeczy.
– Gdzie schowano złoto Grohmanów? – zapytał pośpiesznie.
– Tak. Złoto, oczywiście. Miałam klienta, który przy mnie o nim rozmawiał. To było za czasów Makska. On też słyszał. Dlatego nakłamałam mu różnych rzeczy, żeby uciekł stąd do Irlandii.
– Gdzie to złoto jest schowane?
– Mapa wie.
– Co mapa wie? A ty wiesz?
Wstała z łóżka i podeszła do lustra. Rozpięła guziki pidżamy. Bluzka miękko osunęła się na podłogę.
– Ładny dziś dzień – powiedziała. – Ale spójrz na mnie, jestem ładniejsza od pogody.
Po czym osunęła się na łóżko.
Tymon poszedł do kuchni, postawił imbryczek na stole. Na wszelki wypadek postanowił nie wylewać naparu. Mógł się jeszcze przydać, gdyby Lena obudziła się za wcześnie.

99.62

Śniło mi się nasze dziecko. Blondyneczka z kręconymi loczkami. Miała pięć albo sześć lat i chciała sobie zrobić w mikrofalówce popcorn. Pozwoliłem jej, Tulinka przyszła do kuchni i zaczęła na nas krzyczeć. Twierdziła, że jak ktoś w dzieciństwie napatrzy się na tyle eksplodujących ziaren, to w przyszłości bez wątpienia zostanie pirotechnikiem. A jej brat był najemnikiem, więc ona wie, co to wojna.

99.63

Tulinka wyjechała na tydzień, po dwóch dniach dostałem od niej taki list:
Kochany mój, czytam ciekawą książkę z etnografii, bardzo mi się podoba, i zobacz, co znalazłam o osmętnicy: „demon słowiański, zwany też tęsknotą lub tęsknicą, wyobrażany w postaci bladego widma kobiecego, stanowiący personifikację stanu chorobliwego zadumania,

rozmazania czy utęsknienia. Tęsknica spadała z nieba wraz z gwiazdami, z czarnej chmury burzowej. Była bladym widmem, na głowie nosiła wianek z suchej paproci, chodziła wolnym krokiem, ze spuszczoną głową”.

Kochanie, tak na siebie patrzę i wszystko mi się zgadza w opisie, wyglądam jak blade widmo, rozmazane i tęsknione, no i sam mówiłeś przecież, że spadłam Ci z nieba. Może tylko wianka nie mam, bo mi go zabrałeś, gdy nie był jeszcze z suchej paproci.

Co, u diabła, te kobiety z tymi paprociami mają?

99.64

Tulinka maluje czarnym lakierem paznokcie u stóp. W pewnym momencie przerywa i uważnie im się przygląda.

– Podobają ci się moje stopy? – pyta po dłuższej chwili.

– Yhm – mruczę pochłonięty pisaniem.

Mężczyzna zawsze prędzej znajdzie powód do milczenia niż do mówienia.

– Mógłbyś rozwinąć swoją wypowiedź? – domaga się Tulinka. – Przynajmniej dwa podrzędnie złożone zdania poproszę.

Oczywiście. Przerywam pisanie.

– Jest taki stop niklu i tytanu, który nazwano nitinolem. Jeśli weźmie się zrobiony z niego przedmiot i dowolnie go się zdeformuje, to i tak pod wpływem temperatury wraca on do swojej pierwotnej postaci. Widziałem na przykład sprężynę, którą wyprostowano tak, że stała się prostym drutem, a po ogrzaniu zaczęła się ponownie zwijać, szybko uzyskując kształt początkowy. Stopy takie jak nitinol naukowcy określają mianem materiałów inteligentnych. Mówią też o nich, że są to stopy z pamięcią kształtu. Zupełnie jak moje. Bo moje stopy też mają pamięć kształtu – gdy tylko wchodzę pod kołdrę, same zaczynają wędrować w poszukiwaniu twoich.

Jest zadowolona, wyciąga do mnie rękę i idziemy do sypialni, by pytać kozła o zgodę.

99.65

Na ulicy spotykam listonosza. Do skrzynki domu naprzeciwko wrzuca plik rachunków, co wydaje mi się nieco dziwne, bo nie wiem, kto może opłacać rachunki za dom, w którym od lat nikt nie mieszka. Potem podchodzi do mnie i wręcza przesyłkę. Zerkam na kopertę.

– Ech, poza elektrownią nikt już do mnie nie pisze – mówię.

– A co mają powiedzieć skrzynki? – pyta listonosz.

– Jakie skrzynki?

– Wie pan, jakie skrzynki miały kiedyś bogate życie wewnętrzne? – odpowiada pytaniem na pytanie. – Nie to co dziś.

Spoglądam na niego ze zdziwieniem. Miły, zawsze uśmiechnięty starszy pan. Bystry, ale nie wiedziałem, że ma zadatki na filozofa. Już się rozgadał:

– Dawno temu, kiedy ludzie jeszcze pisali listy, skrzynki wiedziały wszystko, nie było przed nimi żadnej tajemnicy. Narodziny, śmierć czy w międzyczasie miłość albo inna choroba, o wszystkim ludzie opowiadali sobie w listach, a skrzynka cierpliwie to znosiła. Wsłuchiwała się w historie, żale i zwierzenia niczym ksiądz w konfesjonale. Gorące wyznania, listy miłosne, od których zapachu nawet nam, listonoszom, kręciło się w głowie. A dziś? Reklamówki

z supermarketów, ulotki, promocje, wezwania do zapłaty. A poza tym – pustka. I jak wygląda życie wewnętrzne skrzynki pocztowej? Tak jak nasze.

00.58

Szantaż

Irlandczyk napełnił wiadro zimną wodą i wylał zawartość na leżącego.

Petr jęknął i z trudem otworzył oczy. Napastnik pochylił się nad nim.

– Zdumiewające, ale ty wciąż żyjesz – powiedział z podziwem.

Petr spojrzał na metalową klatkę. W kącie siedziała jakaś skulona dziewczyna.

– Gdzie jest Mary? – zapytał chrapliwym głosem.

– Wywozłem ją w bezpieczne miejsce – roześmiał się rudowłosy zbir.

– Ty draniu, zatłukę cię – wysyczał Petr, usiłując wstać. Rana była jednak zbyt poważna.

Dotknął ręką klatki piersiowej. Poczul bandaż mokry od krwi.

– Pozwoliłem twojej panience, żeby cię opatrzyła – wyjaśnił rudzielec.

– Powiedz, gdzie ona jest. – Tym razem głos leżącego zabrzmiał prosząco.

– Ależ oczywiście! Jeśli tylko wskażesz mi miejsce ukrycia tych kosztowności.

– Nic nie wiem o żadnych kosztownościach.

– To dziwne. Nikt nic nie wie, a wszyscy szukają. Masz dwa dni. W przeciwnym razie już jej nie zobaczysz. Nic już nie zobaczysz.

Irlandczyk odwrócił się i wyszedł z podziemia. Wsiadł do samochodu, odszukał w nawigacji plan Łodzi i w poszukiwaniu prawdziwej Magdy ruszył pod adres wskazany przez Mary Jazz.

Pod jej domem stało dwóch mężczyzn. Zawzięcie o czymś dyskutowali. Usłyszał fragment rozmowy.

– Przysięgam, panie inspektorze, ona twierdzi, że to nie żaden grafen!

– Przecież sam mi mówiłeś, że to niezwykle cenny materiał!

– Cenny, bo ze złota!

Irlandczyk przystanął. Na jego widok mężczyźni zamilkli. Wszedł na klatkę, zadzwonił do drzwi. Nikt nie otworzył. Zadzwonił drugi raz i trzeci. Spojrzał na zamek i się uśmiechnął. Kto jeszcze używa takich zamków? – pomyślał. Z kieszeni wyjął coś, co wyglądało na kilkanaście lekko zagiętych drucików połączonych metalowym kółkiem. Po kolei wkładał je w otwór zamka, aż usłyszał odgłos odskakującej zapadki. Po sekundzie był w środku.

Wewnątrz panowała cisza. Na palcach przeszedł przez korytarz, ostrożnie zajrzał do pokoju. Nikogo. Podszedł do następnych drzwi. Nacisnął klamkę. Uchyliły się z lekkim skrzypieniem. Zobaczył, że ktoś leży na łóżku. Wyjął z kieszeni nóż sprężynowy. Ciszę przeszył świst wyskakującego ostrza. Mężczyzna powoli zbliżał się do łóżka.

Przyłożył ostrze do gardła leżącej kobiety. Zimny dotyk stali jednak jej nie obudził.

– Pora wstawać, piękna Magdo, czy jak tam się teraz nazywasz... – powiedział mocnym głosem.

Kobieta nie drgnęła.

99.66

Zazwyczaj w miłości najbardziej przeszkadzają nam ci, w których się zakochujemy.

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Tak?

- Ja specjalnie wyszedłem za późno.
- Skąd wyszedłeś za późno?
- Z ciebie.

Oczy Tulinki są pełne niedowierzania. Ze zdumienia okrągłe jak dwa spodki do filiżanek. Jej usta się otwierają, ale żadne słowo z nich nie pada. Tulinka nie znajduje w sobie ani jednego słowa, dzięki któremu mogłaby się przed tym obronić. Dlatego gdy idzie powoli przez przedpokój, otwiera drzwi i wychodzi na zewnątrz, towarzyszy jej wyłącznie cisza.

W wyniku niewłaściwie używanych słów ludzie zaczynają milczeć.

99.67

Niby to księżyc ma dziś zaćmienie.

Ale dlaczego to ja, tak cię kochając, zachowuję się jak idiota?

99.68

Niektóre kobiety mają wahania nastroju, co zapewne jest trudne do wytrzymania.

Moja dziewczyna żadnych wahań nie ma. Zawsze jest wkurwiona.

99.69

Przez dwa dni nie pojawiała się w domu. Dzwoniłem, ale nie odbierała telefonu.

W sobotę miałem dwugodzinny program w Funeral TV, gdy wróciłem, jej rzeczy już nie było. Wyprowadziła się. Musiała wpaść przy tym we wściekłość i rzucała ze złości czym popadło, torebkami ryżu, makaronu, grochu i fasoli, wszystkim, co miała w zasięgu ręki, w kuchni cukier chrząścił pod nogami, mąka osypywała się z miękkich obić krzesel. Na podłodze wielkimi literami był napis z keczupu: TY DEBILU!, przy czym na ostatniej literze keczup się skończył, więc dokończyła musztardą.

00.59

Ta pani nie żyje

Zmierzchało się i pewnie dlatego Tymon nie poznał mężczyzny wchodzącego na klatkę schodową. Poza tym był zbyt pochłonięty rozmową z inspektorem Grochem, by przyglądać się przypadkowym przechodniom. Niełatwo było wybić z głowy policjanta mrzonki o grafenie. A jednak coś go zaniepokoiło w wyglądzie tego przechodzącego mężczyzny. Ta rosła sylwetka, lekko przygarbiona. Miał wrażenie, że gdzieś ją już widział.

Po rozmowie z inspektorem pobiegł natychmiast na górę. Wszedł do mieszkania i od razu zrozumiał, że stało się coś złego. Wszystko było poprzewracane, zawartość szaf i szuflad wyrzucona na podłogę. Wyglądało na to, że ktoś pospiesznie czegoś szukał.

– Magda! Lena! Jesteś tu? – zawołał.

Cisza.

Wbiegł do sypialni. Dziewczyna leżała niemal tak, jak ją zostawił. Przykryta kołdrą tylko do pasa, z rozrzuconymi na boki połamami rozpiętej pidżamy. Podeszedł bliżej.

– Magda?

Dotknął dłoni. Była zimna.

– Lena? Źle się czujesz?

Dopiero teraz zauważył dziwny wyraz twarzy dziewczyny. Jakby zastygły skurcz.

– Co ci się stało?

Wyjął telefon i wykręcił numer pogotowia. Siadł na podłodze w kącie pokoju i czekał.

Lekko trzasnęły drzwi. Tymon zerwał się z podłogi i pobiegł do przedpokoju. Wskoczył na klatkę schodową. Jakiś mężczyzna uciekał po schodach. Ta sama zwalista sylwetka, którą widział wcześniej. Tym razem jednak lepiej widoczna. W świetle lamp ulicznych wpadającym zza okna zobaczył rude włosy. Teraz go rozpoznał. To Irlandczyk z pubu.

Powoli zaczął rozumieć. Od początku wszystko było ukartowane. Ta bójka w irlandzkim pubie, która pewnie wymknęła się Maksowi spod kontroli, i ucieczka Tymona do Polski to część planu. Wspólnego planu, opracowanego przez Maksa i Irlandczyka. Najpierw wysłali Tymona, żeby zdobył informacje o złocie Grohmanów, a potem ruszył za nim Irlandczyk, by mu je odebrać.

Z oddali słyhać już było sygnał zbliżającej się karetki. Po chwili przed drzwiami mieszkania zjawiał się lekarz. Wpuścił go do środka.

Tamten podszedł do leżącej w łóżku dziewczyny.

– Bardzo mi przykro – powiedział po kilkunastu sekundach. – Ta pani nie żyje.

99.70

Nieobecność osoby kochanej jest o wiele bardziej wszechobecna niż jej obecność. Gdy jesteście razem, to choćby nie wiem, ile mówiła, gestykulowała, miała radości lub pretensji, to i tak zawsze znajduje się tylko w jednym miejscu. Kiedy zaś odchodzi, to nie ma jej w sposób absolutny.

Widzę, że nie ma cię ani na mojej czerwonej kanapie, ani pod prysznicem, ani w łóżku. Potem rozglądam się dookoła i nie mogę uwierzyć, że nie ma cię aż w tyłu miejscach.

99.71

Śniło mi się, że Tulinka ma twarz kozła ze swoich tatuaży. Już nie kuszącym głosem mówi:

– Moje serce świeżo malowane, a ty siadłeś swoją ciężką dupą jak na parkowej ławce.

99.72

Byłem poza domem, gdy przyjechała po resztę swoich rzeczy. Wraz z nimi zniknęło z przedpokoju moje zdjęcie z dzieciństwa, powieszzone wśród innych jeszcze czterdzieści lat temu przez moją matkę. Rozczuliło mnie to, pomyślałem, że też tęskni.

99.73

Miesiąc temu Tulinka pokazała mi oświadczenie podatkowe Hitlera z 1925 roku. W rubryce zawód wpisał: „pisarz”. Dla Funeral TV zrobiłem więc program o piszących mordercach. Wbrew pozorom nie o takich, którzy zabili niełaskawych im krytyków literackich, nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, rzadko który krytyk zasługuje na przeżycie. Program był o tych, którzy popełnili zbrodnie, a potem opisali je w swoich książkach, zakładając prawdopodobnie, że poza kodeksem drogowym przeciętny policjant niczego nie czyta.

Spoza Europy wziąłem Chińczyka, Liu Yongbiao, niezwykle szanowanego pisarza po

pięćdziesiątce, członka tamtejszego związku literatów. Zabił podczas rabunku cztery osoby, a potem napisał powieść *Grzeszny sekret*, w której wzorowana na nim bohaterka stara się przechytryć policję. Jej się udaje, jemu nie – widocznie w praktyce nie dorósł do swojego talentu literackiego. Nie wziął bowiem pod uwagę pozostawionych śladów DNA, wprawdzie sam nigdy nie był notowany, ale policja ustaliła, że są charakterystyczne dla mieszkańców jego rodzinnej wioski, gdzie wszyscy byli ze sobą spokrewnieni.

Drugim był autor kilku dobrze sprzedających się kryminałów, Holender Richard Klinkhamer, którego żona wyszła z domu i nie wróciła. Tak się tym przejął, że napisał książkę o tym, jak mógłby ją zamordować na siedem sposobów, przy czym ostatni zakładał, że nie wyszła z domu, lecz została zakopana w piwnicy, co wcześniej policji nie przyszło do głowy. A ten trop akurat okazał się prawdziwy. Najbardziej zdumiewające jednak w jego przypadku jest to, że odsiedział tylko pięć lat i wyszedł na wolność za dobre sprawowanie. Nawet sobie nie wyobrażam, jak bardzo musiał być grzeszny.

W dziele literackim i w tejże mierze nie pozostajemy w tyle, mając Krystiana Balę, autora książki *Amok*, której bohater zabija biznesmena z Wrocławia uwodzącego jego żonę, a narrator dokładnie opisuje realną zbrodnię, o której detalach nikt poza mordercą nie mógłby wiedzieć. Pech chciał, że jakiś policjant przeczytał tę książkę, co się skończyło tym, że autora skazano za zabójstwo na dwadzieścia pięć lat więzienia.

Jak widać, pisanie kryminałów jest bardzo ryzykowne, w życiu nie napiszę już ani jednego.

W drodze do domu widziałem taki napis na cmentarnym murze: „Nic się nie dzieje, nudne dialogi, brak akcji jest”.

99.74

Od tygodnia widzę na naszej ulicy samochód z zaciemnionymi szybami. Dziś wydawało mi się, że wysiada z niego Marysia Jezus i idzie do parku na papierosa. Ale to chyba niemożliwe.

00.60

Akcja w kwaterze handlarzy kobiet

Po rozmowie z Tymonem inspektor Groch wracał wściekły do komisariatu. Tak liczył, że trafi na ślad afery z grafenem! Przemysł, szpiegostwo przemysłowe, kradzież. Cokolwiek. A tu nic. I jeszcze ta młoda siksa z komendy głównej, która robi wszystko, żeby przejąć sprawę handlarzy kobiet. Jego szanse na awans zbliżyły się do zera.

Był w okolicy ronda Solidarności, gdy usłyszał na służbowym paśmie krótki komunikat.

– Uwaga, uwaga! Funkcjonariusz prosi o wsparcie! Sygnał o pomoc z obserwowanego obiektu na Julianowie!

To ta pieprzona siksa – przebiegło mu przez głowę.

Włączył syrenę i nacisnął gaz do dechy. Ominął kilka rozkopanych ulic, w ostatnią wjechał pod prąd i po kilku minutach był przed zarośniętą willą. Wyjął broń i wbiegł przez otwartą furtkę. Słyszał, jak tuż za nim podjeżdża następny radiowóz.

– Ja idę od tyłu, wy od frontu! – rzucił w kierunku policjantów wyskakujących z wozu. Wiedział, gdzie szukać, rozkład domu znał z planów operacyjnych. Ostrożnie uchylił drzwi prowadzące do podziemia. W świetle padającym z okna zobaczył mężczyznę leżącego na podłodze. Pochylił się nad nim.

– Detektywie?

Petr jęknął.

– Nie ruszaj się, za chwilę będzie karetka.

– Porwali Mary Jazz – wyszeptał Petr.

– Kto, do cholery?

– Nie wiem. Nikt z obserwowanych. Jakiś rudy zbir. On mnie tak urządził.

Schodami z wnętrza domu wbiegło dwóch funkcjonariuszy.

– Panie inspektorze, sytuacja opanowana. Dwóch zatrzymanych. Dziewczyny też. Jest też jeden trup i ranny ochroniarz.

– Kończymy akcję! – zdecydował Groch. – Mamy zbirów w garści. Powiadomcie Interpol. Niech zamkną wszystkich obserwowanych. Dowody zebrane przez Mary są już na ich serwerach. I postawić wszystkich na nogi, niech jej szukają!

Wbiegł kolejny funkcjonariusz.

– Panie inspektorze, dzwonili w sprawie dziewczyny, która tu pracowała. No, tej Leny, która pomagała pani komisarz.

– Co z nią? – zapytał Groch z niepokojem.

– Nie żyje.

– Jak to?

– No normalnie. Jak to nieboszczyk.

– Chłopie, co ty gadasz? – Podbiegł do funkcjonariusza i złapał go za ramiona. – Lena?

To pewne?

Funkcjonariusz wzruszył ramionami, zdziwiony reakcją swojego przełożonego.

– Tak, panie inspektorze, ale to przecież była tylko dziw...

Nie skończył słowa, bo ciężka pięść Grocha wylądowała na jego podbródku.

99.75

Miłość to wielki spokój, gdy jesteś przy mnie, ale po stokroć większy niepokój, gdy o pięć minut za długo cię nie ma.

Kiedy byliśmy dziećmi, mieliśmy czarodziejską moc unieważniania przegranych, złych wyborów, niekorzystnych decyzji – po prostu mówiło się, że „to się nie liczy” i wszystko można było zacząć od nowa. Budzę się dziś i patrzę na pustą poduszkę obok.

– To się nie liczy – mówię i chcę się obudzić jeszcze raz.

99.76

Najbardziej kaloryczny jest smutek. Ilekroć mamy zły dzień, coś w pracy poszło nie tak albo znów nie udało się w miłości, sięgamy po czekoladę, lody lub za dużo wina, z czego wyraźnie widać, że człowiek nie tyje z łakomstwa lub obżarstwa, lecz ze smutku.

W końcu idę na obiad do restauracji. W środku wolne tylko dwa stoliki. Mały, dwuosobowy koło WC i sześćoosobowy pod oknem.

– Pan sam? – pyta kelnerka i wskazuje stół koło klopa. – Tam powinno być panu wygodnie – kłamie.

– Nie bardzo, jest ze mną sześćoosobowe ego.

– Nie ma problemu – kelnerka wskazuje duży stół pod oknem. – Dodatkowe krzesło zaraz panu dostawię.

99.77

Wystarczy, że pójdziesz na spacer do parku i zobaczysz pary przytulające się na ławkach, całujące się za drzewami, turlające się na kocach, ogarnia cię wtedy wrażenie, że każdy kogoś ma i wszyscy wokół są zakochani. Potem to spostrzegasz na każdym kroku. To jest dokładnie tak, jak było wtedy, gdy twoja ostatnia dziewczyna powiedziała ci, że trzy tygodnie temu powinna dostać okres, dookoła wówczas widziałeś same dziewczyny w ciąży. Tak jak teraz widzisz zakochanych. Na przystankach, w autobusach, w sklepach. Chłopców ze swoimi dziewczynami, mężczyzn u boku swoich kobiet. A gdy wybierzesz się do kina, gdy nieroztropnie pójdziesz tam sam, wtedy wiesz, że należysz do garstki najbardziej samotnych ludzi na świecie.

Kino jest dla singli okropne, można ich tam zliczyć na palcach jednej ręki. Czasami wystarczy sam kciuk i wtedy to jesteś ty. Zazwyczaj masz wrażenie, że tylko ty przyszedłeś do kina bez pary i wszyscy się na ciebie patrzą.

– O – mówią dziewczyny do swoich chłopaków i kobiety do swoich mężczyzn – zobacz, jaki facet tam siedzi: sam, pewnie jest tak beznadziejny, że żadna dziewczyna go nie chce.

– Masz rację – odpowiadają ich towarzysze – pewnie musi być okropny, i zobacz, jaki brzydki, na dodatek ma pewnie masę ukrytych wad.

A ty siedzisz sam, wbity w ten fotel i wyliczasz wszystkie swoje wady, niektóre wcale nie tak głęboko ukryte, a nawet całkiem na wierzchu.

Do kina nie ma sensu iść samemu, tak jak na dwuosobowy rower wodny lub huśtawkę. Jeśli o mnie chodzi, to dla singli kino powinno być zakazane. Bileter musi mieć zakaz wpuszczania ludzi bez pary, zakaz poparty ustawą zatwierdzoną przez parlament wysokością co najmniej trzech czwartych głosów i podpisaną przez prezydenta. W trosce o zdrowie psychiczne takich ludzi jak ty.

Podobnie z całowaniem. Rzuciła cię dziewczyna, a ty widzisz całującą się parę i od razu czujesz kamień nagrobny złożony za życia na piersi. Każda taka całująca się publicznie para ma grono potencjalnych samobójców na sumieniu. Ciebie będą mieć na pewno. Publiczne całowanie powinno być traktowane przynajmniej jako wykroczenie drogowe, na przykład parkowanie w niedozwolonym miejscu, a nawet przekraczanie podwójnej ciągłej.

00.61

Złota nić prowadzi do złotego kłębka

W drodze do domu Groch zatrzymał się przy sklepie monopolowym na Zgierskiej.

– Pani da pół litra – zwrócił się do ekspedientki.

– Sopllica, absolwent, bols? – zapytała, wskazując na półkę.

– Żadna z ich. Nie chcę rosyjskiej. Pani da jakąś polską.

W domu od razu odkręcił butelkę i nalał do połowy szklanki. Wypił duszkiem. Aż go otrzępało. Wyjął drugą szklankę i postawił po przeciwnej stronie stołu. Otworzył zieloną teczkę o kryptonimie „Magda/Lena”. Odszukał zdjęcie dziewczyny i oparł je o szklankę stojącą naprzeciw. Uzupełnił swoją, podniósł do góry i powiedział:

– Śpij tam w niebie dobrze, maleńka.

Wypił i ukrył twarz w dłoniach.

– Zobaczysz, zabiję drania.

Potem wypił jeszcze szklankę, rzucił się w ubraniu na łóżko i zasnął.

Obudził go telefon. Dzwonili ze szpitala. Petr prosił o pilną rozmowę.

Spojrzał na zegarek. Zaraz południe. Wziął prysznic, wykonał kilka telefonów i pojechał.

Petr czuł się znacznie lepiej.

– Inspektorze, co z Mary? – zapytał pełen niepokoju.
– Znajdziemy ją. Sprawdzamy wszystkie kamery monitoringu – zapewnił Groch. – Mamy zeznania tego mężczyzny, który mieszkał z Leną. Dzięki nim Interpol dotarł do jego współnika w Dublinie. Wypiera się wszystkiego, ale go docisną.
– Inspektorze, może być za późno.
Groch pomyślał o Lenie. Dla niej już jest za późno.
– Ten rudy zbir powiedział, że jak nie dostanie tego złota, to ją zabije. – Petr wyrwał go z zamyślenia, przypominając groźbę porywacza.
Groch spojrział w okno. Nad czymś się zastanawiał.
– Musimy zyskać na czasie i jakoś oszukać tego oprycha. – Zaczął myśleć na głos.
– Trzeba mu pokazać jakiś ślad – dodał Petr. – Taki, dzięki któremu uwierzy, że spełnimy jego żądanie.
– Ślad, powiadasz... – bezwiednie powtórzył Groch.
– Tak jak nic, po której doszedłby do kłębka.
– Złotą nic, która prowadzi do złotego kłębka – uśmiechnął się Groch.
– Właśnie!
– Wiesz, początkowo cię nie lubiłem, a ta młoda siksa komisarz tylko mnie wkurzała – przyznał Groch. – Ale dostaniesz tę nic. A nawet sznur ze szczerego złota, na którym tego drania powieszisz.

99.78

Na myśl o Tobie
dreszcz mnie przeszedł.
I teraz tęsknię,
taki podeptany.

99.79

Zadzwoiła. Po tylu dniach milczenia.
– Zostawiłam w pracowni niedokończony obraz, mogę podjechać i go zabrać?
– Oczywiście, dlaczego w ogóle pytasz?
– Chciałam się upewnić. Ale prosiłabym cię, żebyś był w domu, bo mam wrażenie, że wokół tego domu z naprzeciwka dziwne rzeczy się dzieją. Trochę się boję.
– Coś ci musiało się przewidzieć, nic tam się nie dzieje.
– Ty naprawdę niczego nie widzisz?
– Nie.
– Wiesz, jest taki film, *Split*, gra tam James McAvoy, porywa dziewczyny i zupełnie nie ma świadomości tego, co robi, bo jego jaźń jest rozszczepiona na dwadzieścia cztery osoby, które ze sobą rywalizują. Mam wrażenie, że od pewnego czasu ty masz przynajmniej dwuosobowe rozszczepienie jaźni.
– Oczywiście, ostatnio w restauracji musiałem mieć nawet dostawione krzesło. Poza tym nawet jest taki dowcip. „Przychodzi facet do lekarza, ten pyta, co mu jest, a pacjent na to: Panie doktorze, poproszę coś na rozdwojenie jaźni. Jestem taki samotny”.

– To nie jest śmieszne.

– Wróć do mnie, to rozszczepienie mi minie.

99.80

Pytam ją, na co mogę liczyć, a ona mi mówi, że na nic. Próbuję to sobie między nami wyobrazić. Nic to przerażająco mało.

99.81

Przez okno widzę listonosza, spostrzega mnie i macha ręką. Wychodzę przed dom.
– Polecony z energetyki – mówi. – Pewnie zapomniał pan zapłacić.
Tak, to prawdopodobne, przez tę historię z Tulinką zapomniałem o kilku sprawach.
– Sąsiad z naprzeciwka pewnie też nie zapłacił, bo i dla niego mam.
– Z naprzeciwka? – dziwię się. – Przecież tam od dawna nikt nie mieszka.
– E tam, od razu nie mieszka. – Listonosz macha ręką. – Może nie chce się po prostu pokazywać. Mało to dziwaków dziś jest?
– Niemożliwe. Właściciel kilka lat temu wyjechał za granicę, od lat nie widziałem tu nikogo.
– A jednak zawsze po pierwszym awizo ktoś przychodzi na pocztę po przesyłki.

99.82

Wspomnienie o pewnej pięknej. W kwestii uczuć czuła przesyt. Omijała drzwi automatyczne, by nie żalowały, że się przed nią otworzyły. Piękna była i kochana przez wszystkich. Szalał na jej punkcie także por w warzywniaku, zazwyczaj zdystansowany.

99.83

Tęsknota to także wglębiecie na poduszce, do którego pasujesz tylko ty.
Poza tobą nikt się ze mną nie rymuje.

99.84

Chodzę na fitness i ćwiczę rozstania. Po trzech seriach przechodzę na krążenie brakiem naszych spotkań. Ze wszystkich ćwiczeń najbardziej jednak lubię krótką gonitwę myśli dookoła ciebie.

99.85

Kiedyś, gdy mężczyzna spotykał kobietę, zostawał z nią do końca życia, może dlatego, że było krótkie. Potem pojawiła się teoria, że związek wypala się po siedmiu latach i ludzie masowo zaczęli się rozwodzić. Dziś naukowcy mówią, że kryzys następuje po czterech, a nawet już po trzech latach. Niebawem pewnie ogłoszą, że zaczyna się miesiąc przed ślubem. Tak czy owak, jedno jest pewne. Miłość to produkt o coraz krótszym terminie ważności.

Kiedy cię nie ma, cyfry się włączają po zegarze i pokazują byle jakie godziny. Jestem poza świadomością, przestrzenią i czasem.

Każde uczucie potrzebuje w domu swojego miejsca, niecierpliwość lubi być w przedpokoju, niepokój biega po schodach, rozpacz chowa się pod poduszkę, a tęsknotę ciągnie do okna.

99.86

Są dni, w których mógłbym zostać mistrzem smutku. Wyobrażam sobie takie mistrzostwa. Przychodzą różni tacy z marnymi minami, a jury wybiera tę najmarniejszą. Stoję potem na podium, a obok mnie smutasy, które przegrały i są przez to jeszcze smutniejsze. A ja się cieszę i tytuł mistrza zostaje mi odebrany. Przesrane.

00.62

Jubiler wpada na trop

Tymon przez całą noc nie zmrużył oka. Żał mu było Magdy, Leny czy jak jej tam było. Przez ostatnie tygodnie zdążył nie tylko się do niej przyzwyczaić, lecz także ją polubić. Miała swoje za uszami, jak to w tym zawodzie, ale nie była taka zła.

Przysnął dopiero nad ranem, a o jedenastej obudził go dzwonek do drzwi. Zwlókł się z łóżka, poczłapał do drzwi. Za nimi stał siwowłosy mężczyzna.

– Ja do pani Leny.

– Nie ma jej.

– A kiedy będzie?

– Nie będzie.

Tymon wpuścił mężczyznę do środka. Gość bardzo się przejął, gdy dowiedział się o śmierci dziewczyny.

– Widzi pan, jestem trochę jubilerem, trochę antykwariuszem – zaczął wyjaśniać. – Mam zakład nieopodal Piotrkowskiej. Kiedyś przyszła do mnie pani Lena i zdaje się, że to ja mimowolnie wpędziłem ją w tarapaty.

Roztrzęsiony opowiedział o wizycie pewnego Irlandczyka, który zawitał do jego zakładu w poszukiwaniu złotych nici. Podawał się za przedstawiciela branży kosmetycznej. Po nim przyszła Lena z takim właśnie motkiem, więc postanowił ich ze sobą skontaktować. I to był chyba błąd, który przyplaciła życiem.

– On i tak by ją znalazł – orzekł smutno Tymon, wciąż wierząc w historię, jaką usłyszał od Leny. – Ukradła mu mapę, której potem szukał.

– Mapę? – zdziwił się jubiler.

– Mogę panu pokazać – Tymon wyjął mapę wciąż przechowywaną w lodówce i podał jubilerowi. Ten chwilę się jej przyglądał.

– Tu są zaznaczone przedwojenne posiadłości Grohmanów – orzekł po chwili. – Mówiłem panu, że pracuję też jako antykwariusz. Dawno temu miałem podobną mapę. Kupił ją ode mnie pewien człowiek. Dziś jest inspektorem.

– To Groch! – Tymon aż stężał z wrażenia. – On bardzo dobrze znał Lenę!

– Co mogło łączyć te dwie mapy, szpulkę złotych nici, inspektora i panią Lenę? – zafrasował się jubiler

Przez jakiś czas wpatrywał się w mapę, jakby wśród łódzkich uliczek szukał odpowiedzi.

– Mam! Ależ to oczywiste! – poderwał się z krzesła. – Że też nikt wcześniej na to nie wpadł!

99.87

W pokoju zostawiła obraz przedstawiający mężczyznę trzymającego Dzieciątka Jezus,

upozowanego na świętego Józefa. Mężczyzna jest sędziwy, siedzi na krześle otoczony paprociami, ma postarzałe moje rysy twarzy, a dziecko jest kopią z fotografii, która zniknęła z przedpokoju. Z tyłu obrazu widnieje sygnatura DNArt×2.

„Jestem otwartą misą na twoje DNA” – powiedziała kiedyś Tulinka, więc mogę się domyślić, co dodała do farby, którą mnie malowała. Zaniepokoiło mnie jednak DNA Dzieciątka.

Zadzwoiłem do niej. Odebrała od razu, jakby czekała na ten telefon, by wszystko wyjaśnić. Rzeczywiście.

– Dobra, zamknijmy ten rozdział – powiedziała od razu.

– Co to za obraz?

– Przecież wiesz. Żywy obraz. Twój i twojego dziecka.

– Naszego.

– Już nie.

– Co to znaczy?

– Przestałam być w ciąży.

– Jak to przestałaś?

– Po prostu. Przestałam.

– Co ty wygadujesz? Można przestać mieć katar, a nie dziecko.

– Wybacz, nie byłam gotowa.

Nie rozumiem. Jak to – nie była gotowa? Cięża to nie wyjście do teatru.

– Co ty pierdolisz?

– Nie powinieneś tego robić bez mojej zgody.

– Czego?

– Kończyć we mnie.

Poczułem oblewający mnie pot.

– Co dodałaś do farby, którą namalowałaś dziecko?

– Przecież wiesz.

– Nie wierzę.

– To dobrze, moja misja polega na tym, żebyś nie wierzył.

– Powinnaś pójść na leczenie. Albo do więzienia.

– Zamknijmy ten rozdział – powtórzyła.

Odłożyła słuchawkę.

Poszedłem do kuchni po nóż. Przebiłem płótno raz, drugi, trzeci, dziesiąty. Za każdym razem czułem fizyczny ból, ale przecież nawet żywe obrazy nie mogą żyć aż tak.

99.88

Myślę o tych dwóch pisarzach, którzy opisali swoje morderstwa, i chyba zaczynam popadać w lekką w obsesję. Nocami prześladowają mnie bohaterowie *Portretu Doriany Gray* i *Pigmaliona*, zamieniam się miejscami z bohaterami mojej powieści i raz jestem Petrem, a raz bossem, Tulinka zaś staje się Magdą albo Leną, a opiekę nad nią zaczyna sprawować Marysia Jezus.

99.89

Na początku było słowo.

Na końcu też: „amen”.

Życie to w ogóle paplanina.

99.90

Na komisariacie dwie młode policjantki patrzą na mnie ze zdumieniem, gdy mówię o ciele dziecka zamkniętym w obrazie. Nic nie rozumieją, więc tłumaczę od początku, aby mogły tak jak ja w tamtych pierwszych dniach pojąć wszystko po kolei, i opowiadam o mężczyźnie, który maluje penisem, i o mojej dziewczynie tworzącej waginą, a one na razie jeszcze myślą, że żartuję, ot, przyszedł starszy aktor znany niegdyś z kina, a dziś głównie z reklam i programów funeralnych, wszedł tu i robi dla nich przedstawienie, nawet nieźle mu to wychodzi, będzie o czym opowiadać po powrocie do domu, może się nawet weźmie zaraz autograf, ale to za chwilę, bo teraz twarze im powoli tężeją, gdy mówię o pozagrobowych żywych obrazach Tulinki, o kolekcjach DNA, o łańcuchach chromosomów nierzadko podkradanych, w końcu o dziecku, którego pragnąłem, i o ciąży, do której doszło może w sposób lekko nieuczciwy, taka przecież bywa jednak natura, że nie o uczciwość pyta, zmierzając do przedłużenia gatunku, w końcu gdy żalę się i niemal płaczę za dzieckiem, które już prawie miało na imię Tulinec lub Tulineczka, ale szorstki kozioł z waginy Tulinki nie wyraził na nie zgody i teraz dziecko jest zaledwie śladem, gwiazdnym pyłem w kosmosie, odciskiem uwięzionym na obrazie, jakich są już dziesiątki, i można pobierać próbki materiału genetycznego, by hodować ludzi jak fasolki na parapecie, przecież za takie pomysły powinno iść się do więzienia, gdy to wszystko mówię, jedna z policjantek wstaje zza biurka i uspokaja: jest pan zmęczony, za dużo pan ostatnio pracuje, widzę przecież niemal codziennie w telewizji, żaden normalny człowiek nie byłby w stanie tego udźwignąć, tylu trudnych tematów i tylu śmierci, od tego każdemu przewróciłoby się w głowie, niech pan odpocznie.

99.91

W przyrodzie wszystko przechodzi z jednego stanu w drugi, wystarczy, że przekroczy graniczny poziom temperatury, napięcia lub nasycenia – tak woda zmienia się w parę, kamień w lawę, smutek w nieszczęście, a miłość w szaleństwo. Przy czym para znów może stać się wodą, lawa kamieniem, a nieszczęście smutkiem, jedynie szaleństwo nie może ponownie stać się miłością.

00.63

Aresztowanie inspektora Grocha

Tymon spojrzął na mapę, ale nadal nic z niej nie mógł wywnioskować. Ot, po prostu plątanina łódzkich ulic. Wzruszył ramionami.

– Niech pan zobaczy! – Jubiler pokazał kilka miejsc na mapie. – Zaznaczone są tu posiadłości Grohmanów, prawda?

– Prawda.

– A która z nich kojarzyłaby się panu ze złotem uformowanym na kształt nici?

– Żadna – przyznał Tymon po chwili wahania.

– A słynne łódzkie beczki?

– Jakie beczki?

– Stojące przy wjeździe do fabryki na Targowej!

– Ale dlaczego właśnie beczki?

– Niech pan sobie przypomni ich kształt. Wyglądają przecież jak gigantyczne szpulki albo

beczki, dlatego też niektórzy nazywają je beczkami Grohmana!

Tymon uderzył się dłonią w czoło. Faktycznie, wystarczy nawet wpisać w wyszukiwarce „beczki Grohmana”, a pojawią się linki z informacjami. Beczki to po prostu nazwa kolumn podtrzymujących łuk nad bramą wjazdową do fabryki. Architekt miał wyobraźnię i w projekcie nadał im kształt szpulek. To pewnie właśnie te kolumny Groch ma wytatuowane nad kostką!

– No jasne! A gdzie szukać złotych nici, jeśli nie na szpulkach? – zapytał retorycznie.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Jedźmy tam – zaproponował jubiler.

– Nie teraz, spotkajmy się tam nocą – odrzekł Tymon.

Gdy po północy przyjechał na miejsce, jubiler już czekał na niego z zadowoloną miną.

– Trochę zdążyłem poczytać na temat tych szpulek. Okazuje się, że architekt projektujący tę fabrykę kilka lat wcześniej pracował nad przebudową pałacu Scheiblerów. Natknął się tam wtedy na nietypową skrytkę. Otwierała się po naciśnięciu mosiężnej szpulki umieszczonej na płaskorzeźbie. Płaskorzeźba ta przedstawiała urządzenia tkackie, będące źródłem bogactwa łódzkich fabrykantów. Prawdopodobnie odkryciem tym podzielił się z Henrykiem Grohmanem, gdy ten zwrócił się do niego z propozycją zaprojektowania fabryki.

– Myśli pan, że w beczkach Grohmana jest skrytka?

– Spróbujmy się przekonać.

Jubiler wyjął z kieszeni dwa małe urządzenia i przystawił do jednej z beczek. Obszedł ją dookoła, uważnie obserwując wskaźniki.

– To detektory – wyjaśnił.

– Wskazują coś?

– Tak.

– A konkretnie?

– Wie pan, wyobraźnia mi podpowiada, że są to rzeczywiście olbrzymie szpulki, na które nawinięto tonę złota.

– A te detektory co na to?

– Te detektory nic na to. – Z głębi nocy usłyszeli tubalny głos.

Jakiś mężczyzna zbliżał się wielkimi krokami.

– Inspektor Groch! – wykrzyknął zdumiony Tymon.

– Panowie nie mają o tej porze nic ciekawszego do roboty? – zapytał Groch.

W tym samym czasie zobaczyli światła nadjeżdżającego samochodu. Radiowóz z piskiem opon zahamował tuż obok nich. Trzech stojących mężczyzn mogło się tego wieczoru spodziewać wszystkiego, z wyjątkiem tego, co usłyszeli.

– Inspektorze Groch, jest pan aresztowany pod zarzutem morderstwa! – powiedział jeden z policjantów.

99.92

Śniło mi się tych dwóch pisarzy, którzy opisali swoje morderstwa. Ale w moim śnie oni nikogo nie zabili. Wymyślali historie i zapisywali je w książkach, zaś postacie z tych książek szły w świat ze swoimi czynami, zupełnie jakby się to działo w Ewangelii według świętego Jana: na początku było Słowo i ono powołało wszystko do istnienia.

Budzę się i o tym myślę. Mam nagły przypływ religijności, a może raczej religijnych fraz. Jeśli rzeczy opisywane w Biblii, Starym i Nowym Testamencie miałyby być prawdziwe, to w akcie tworzenia nie można wykluczyć niczego, a zwłaszcza tego, że opowiadania wymyślone przez kogoś mogą się zdarzyć lub już się zdarzyły naprawdę, a dziś są albo w wyobraźni autora

tylko odczytywane jak artefakty znajdowane przez archeologów, albo – przeciwnie – jest tak jak codziennie miliony osób powtarza w kościołach: „a Słowo ciałem się stało i zamieszkało między nami”. Co znaczy, że możliwa jest sytuacja, w której autor traci kontrolę nad swoim bohaterem, a wtedy on zaczyna wpływać na losy autora, w końcu zamieniają się miejscami.

W ciągu tej jednej nocy cały ogród zarósł paprociami.

99.93

Przez sen słyszę dzwonek u drzwi, ale nie chce mi się wstawać, nasuwam kołdrę na uszy, chociaż dzwonek zostaje zastąpiony przez łomot, silny, twardy, nieustępujący, i dobiega do mnie mocny głos:

– Otwierać, policja!

Ale ja się na dziś nie umawiałem z policją, więc śpię dalej, kto śpi, nie grzeszy, jak mawiała moja matka. Nie grzeszę zatem, niech policja sobie stąd idzie. Łomot zmienia się w huk, a potem rumor, jakby z niecierpliwości wyważyli drzwi, budzę się i widzę pokój Tulinki, chociaż zasypiałem w swoim. Słyszę jakichś ludzi chodzących po domu; to dziwne, ale w ogóle się tym nie przejmuję. Zachowują się bardzo głośno i dość niegrzecznie, bo trzaskają wszystkimi drzwiami napotkanymi po drodze, ktoś naciska klamkę i widzę rosłego policjanta w kuloodpornej kamizelce i rynsztunku antyterrorysty. Nie wiem dlaczego, ale śmieszy mnie ten widok. Odwracam się na drugi bok, żeby to wszystko spokojnie dośnić, ale jawa zdumiewająco przeplata się ze snem i budzi mnie chłód metalowych kajdanek na przegubach dłoni.

99.94

Obcy pokój, w oknie kraty. Marysia Jezus pyta mnie w obecności prokuratora:

- Czy zna pan obywatelkę Litwy Migle Tulicką?
- Oczywiście, mieszkała u mnie jakiś czas – przyznaję.
- I co się z nią stało? Mamy informację o jej zaginięciu.
- Nie wiem, wyprowadziła się.
- Dokąd?
- Nie wiem, nie mam pojęcia.
- Czy utrzymywaliście ze sobą stosunki intymne?
- Tak.
- Odeszła od pana?
- Tak.
- Odgrażał się pan?
- Nie.
- Dyżurny z komisariatu twierdzi co innego. Wbiegł pan i domagał się kary dla niej.
- Nie, to nie było tak.
- Czy pan postanowił wymierzyć jej karę?
- Nie.
- Domagał się pan jej uwięzienia.
- Nie, może mówiłem coś o więzieniu, ale nie w tym sensie.
- A w jakim sensie?
- W bardziej metaforycznym.
- Czy przyznaje się pan do uwięzienia mieszkanki Litwy Migle Tulickiej?
- Tak, ale w tym sensie.

- Gdzie ją pan uwięził?
- W klatce.

00.64

Koniec rudowłosego zbira

Dla Petra szokiem była wiadomość o aresztowaniu inspektora. Detektyw prowadzący śledztwo w sprawie morderstwa Leny znalazł w jej mieszkaniu taśmy, na których uwieczniła miłosne igraszki z Grochem. Doszedł do wniosku, że dziewczyna zaczęła go szantażować taśmami, dlatego ten ją zabił.

Petr widział się z Grochem w przeddzień aresztowania. Nadal czuł tamto zdziwienie, gdy zobaczył, jak policjant wyciągnął wówczas z kieszeni złoty motek i wręczył mu ze słowami:

- Zwabisz tym tego Irlandczyka. I odzyskamy Mary.
- Skąd pan to ma? – zapytał wtedy zdumiony.
- Tajemnica – uśmiechnął się Groch.

To miał być dla Irlandczyka dowód, że znaleźli ukryty majątek Grohmanów. Tonę złotej nici schowanej przed wybuchem wojny. Nici, z której miały powstać najwspanialsze materie zwane złotogłowiem, a ich odbiorcami mieli być najwięksi bogacze świata.

Nazajutrz Petr czuł się już na tyle dobrze, że był gotów wziąć udział w kolejnej akcji. Zwłaszcza że przykład inspektora dowodził, iż poza sobą nie można ufać nikomu. A chodziło przecież o życie Mary Jazz.

Kiedy Irlandczyk zadzwonił, umówili się na strychu jednego z domów na Bałutach przeznaczonych do rozbiórki. Na miejscu Petr ze zgrozą spojrzął na fasadę. Groziła zawaleniem. Po skrzypiących schodach wszedł na czwarte piętro.

- Jest tu ktoś? – zawołał.

Nikogo. Cisza. Wyjął pistolet i wdrapał się na strych. Pusto. Zobaczył otwarty wąż i przystawioną drabinę. Ostrożnie wszedł na górę.

Irlandczyk siedział po drugiej stronie wjazdu i spokojnie palił papierosa.

- Gdzie jest Mary Jazz? – zapytał Petr, sięgając po broń.

– No jest przecież – rudowłosy dryblas wskazał na krawędź spadzistego dachu. Mary Jazz była zakneblowana i przywiązana do krzesła stojącego na krawędzi. Dopiero teraz Petr zauważył linę. Jeden jej koniec owinięty był wokół nogi krzesła, drugi znajdował się w dłoni Irlandczyka.

Nie trzeba było słów. Wszystko stało się jasne.

- Masz coś dla mnie? – zapytał porywacz.
- Mam – powiedział Piotr, wyciągając z kieszeni złoto otrzymane od Grocha.
- Ile tego jest na miejscu?
- Tona. Zaprowadzę cię.

Rzucił złoto wprost pod nogi Irlandczyka. Zaczęło się turlać w dół spadzistego dachu. Irlandczyk zaczepił linę o hak piorunochronu i odruchowo rzucił się za złotem. Petr tylko na to czekał. Jednym susem znalazł się przy Mary i mocno ją złapał. Tymczasem złoto staczało się w dół, a za nim zsuwał się Irlandczyk. Próbował się czegoś złapać, ale stare dachówki zostawały mu w rękach. Złoto dotarło do krawędzi, na chwilę zawisło, po czym spadło w dół. Sekundę później porywacz w ślad za nim runął na twardy bruk.

99.95

Po wyjściu prokuratora.

- Jak mogłeś zrobić coś takiego. – Marysia Jezus kręci głową z niedowierzaniem.
- Ależ ja nic złego nie zrobiłem!
- Uwięziłeś ją przecież, sam się do tego przyznałeś.
- Ale nie dosłownie przecież!
- A jak?
- Byłem zły na nią i tak jak ona zamykała w swoich obrazach osoby przez siebie malowane, tak ja postanowiłem zamknąć ją w swojej książce.
- Co ty za bzdury opowiadasz?
- Ja wiem, że to trudno wytłumaczyć, ona mówiła, że maluje żywe obrazy, ja chciałem napisać żywą książkę.
- Pytałam cię o ten opuszczony dom, mówiłeś, że nic o nim nie wiesz.
- Bo nie wiem!
- A dokładnie opisałeś to, co się w nim działo.
- To przypadek!
- I mówiłeś, że nigdy nie byłeś w środku.
- Nie byłem! Przysięgam!
- Opisałeś też regały z butami porwanych dziewcząt. Wymyśliłeś to?
- Oczywiście!
- To ciekawe, bo w tym domu znaleźliśmy dokładnie taki sam regał z butami jak w twoim opisie.
- Nie wiem, nie pamiętam, skąd mi się wziął pomysł na ten regał, może zostawili uchylone okno i go zobaczyłem.
- Przecież mówiłeś, że nikt tam nie mieszka, nigdy nie palą się światła, to jak mogłeś zobaczyć?
- Może przechodziłem obok, spojrzałem, ale pochłonięty byłem myślami o czymś innym i zarejestrowała to tylko podświadomość, przecież zdarzają się takie rzeczy.
- Nie sądzę.

99.96

Chyba mam gorączkę. Majaczy mi się opuszczony dom z naprzeciwka. Znów zjawia się prokurator i pyta, skąd żelazna klatka wzięła się w mojej powieści. Tłumaczę, że to nie jest moja powieść, wszystkie historie zapisane są w kosmosie, trzeba je tylko odczytać, ja ją tylko podałem dalej. Pisarz to człowiek, który ma umiejętność odczytywania takich powieści zapisanych w kosmosie. Można to nazwać talentem, darem, intuicją, siódmym zmysłem, dziesiątą wodą po kisielu.

Prokurator patrzy na mnie jak na wariata. Chciałbym mu opowiedzieć o demiurgu i duchu dziejów u Hegla, wtedy wszystko byłoby jasne. Ale idę na skróty:

- Może to wszystko napisał Pan Bóg. A pisarz tylko to odczytuje.
- Pan mówi to serio? – pyta prokurator.
- A co, nie wierzy pan w Boga?

00.65

Odkrycie, które wszystko zmienia

Mary Jazz zamknęła zieloną teczkę o kryptonimie „Magda/ Lena”.

- Akcja skończyła się sukcesem – stwierdziła. – Jednak szkoda mi tej dziewczyny.

– Nigdy bym nie podejrzewała, że Groch może posunąć się do morderstwa – odrzekł Petr. Mary pochyliła się nad stertą dokumentów. W skupieniu zaczęła coś czytać.

– Nie wydawaj pochopnie osądów... – powiedziała. – Coś mi się tutaj nie zgadza.

– Pokaż – poprosił Petr, przysuwając się do biurka.

– Spójrz, sekcja wykazała, że Magdy nie uduszono, lecz otruto. Prawdopodobnie ktoś podał jej skopolaminę.

– Ciekawe, bo podobnie został otruty boss – dodał Petr. – A to by świadczyło, że morderca jest kimś innym.

– Wiem nawet kim – stwierdziła Mary Jazz. – Widziałam śmierć bossa. Poza mną był tam mężczyzna, który mieszkał z Leną.

– Tymon!

– A to by znaczyło, że komisarz jest niewinny.

– A złoto, które dostałem od niego, by zwabić Irlandczyka? Zabrał je przecież Lenie.

– Nie zabrał – zaprzeczyła Mary Jazz. – Przyniósł z tej skrytki, której tamci szukali. On naprawdę wie, gdzie jest ukryty majątek Grohmanów.

– Dlaczego tak myślisz?

– Przesłuchiwałam tego jubilera. Po wojnie był antykwariuszem. Powiedział, że znalazł wtedy mapę z zaznaczonymi obiektami posiadłości Grohmanów. Były na niej dziwne zapiski. Odkupił ją pewien człowiek. Antykwariusza zdziwiło, że niemal na jego oczach od razu ją zniszczył. Wyraźnie się bał, że może wpaść w czyjeś ręce.

– A co to był za człowiek?

– Może to przypadek, ale wtedy nazywał się Grohman. Potem, gdy w kraju zaczęto prześladować przedwojennych kapitalistów, znów przyszedł do tego antykwariusza. Miał do niego zaufanie, więc poprosił, by znaleźć kogoś, kto w dokumentach przerobi jego nazwisko na bardziej polskie – Groch.

– A to znaczy, że jeśli złoto Grohmanów jest gdzieś rzeczywiście ukryte, to przez te wszystkie lata pilnował go inspektor Groch!

– Niewykluczone. Zanim się jednak tego dowiemy, musimy ująć prawdziwego mordercę – powiedziała Mary Jazz, wstając z krzesła.

Tymon nie spodziewał się ich wizyty. Siedział nad pergaminową mapą i w skupieniu ją analizował. Mary Jazz założyła mu kajdanki i zabrała się do przeszukiwania mieszkania. Petr, czując jeszcze niedawno poniesione obrażenia, z ulgą usiadł w miękkim fotelu. Obok stał czajnik z gorącą wodą i imbryczek z zaparzoną herbatą. Sięgnął, uchylił wieczko. Jaśminowa. Odłożył, nie lubił zapachowych herbat. Na końcu stołu stał drugi imbryczek. Czerwony. Ten sam, który niedawno Tymon podał Lenie. Gdy Petr podniósł wieczko, uniósł się znacznie ciekawszy zapach, mocno ziołowy. Nalał do filiżanki i dolał gorącej wody. Pił małymi łykami, rozmyślając o wydarzeniach ostatnich dni. Zastanawiał się nad tym, co by zrobił, gdyby to jemu udało się znaleźć złoto schowane przez Grohmanów. Niby czemu miałby nie spróbować? Lena nie żyje, Tymon trafi na długie lata do więzienia. A mapa jest w ich rękach, Petra i Mary Jazz. Byliby urzędnicy do końca życia. Siedział w miękkim fotelu i widział tony złota. Ukryte było w beczkach Grohmanów. Świetlista złota łuna unosiła się między nimi, mieniąc się niczym tęcza. Beczki zaczęły wirować, a wtedy zobaczył, że odwijają się z nich złote nici i wkrótce całe niebo zostało nimi zasnute jak babim latem. Wyciągnął rękę, by po nie sięgnąć. Miał piękną wizję, ale śmiertelną. Filiżanka wypadła mu z dłoni i potoczyła się pod stół, zatrzymując się w pobliżu blaszanego pudełka po czarcim ziele.

Gdy prowadzą mnie przez korytarz, skutego kajdankami, z pokoju przesłuchań wychodzi Tulinka.

– Może zamówić pani taksówkę? – proponuje towarzysząca jej Marysia Jezus.

– Nie trzeba, mam ochotę przejść się trochę.

Kiedy idą obok mnie, pytam Tulinkę:

– Dlaczego to zrobiłaś? Kim ty naprawdę jesteś?

– „Jam częścią tej siły, która zawsze zła pragnąc, wiecznie czyni dobro”.

– Co? Co ty wygadujesz?

Marysia Jezus odpowiada zdziwiona:

– Przecież nikt nic do ciebie nie mówi.

Odwracam się za nimi, patrzę z niedowierzaniem. Tulinka ma sukienkę na ramiączkach odsłaniającą łopatki, na żadnej z nich nie widzę tatuażu kozła.

99.98

Chciałbym mieć dobrą pamięć, taką, która pozwala zapomnieć.

99.99

Pozwalają mi zabrać z domu kilka niezbędnych rzeczy. Tam sięgam po czerwony imbryk, tak, jest w nim bieluń zwany czarcim ziele, serum prawdy, po którym wszystko wam opowiem.

00.00

Śni mi się, że zwierzęta zaczęły się zmieniać w ryby i wracają do oceanów. Znad fal zniknęły mewy, a na plażach pojawiły się kruki. Człowieka znowu nie ma i nikt o niego nie pyta.